

monoprice@o2.pl

**MROczne
SEKRETY
POLSKIEJ POLICJI**

**WYPALENI
ZAWODOWO – KIEDY
PRACA TRACI SENS**

**BORYS SZYC
I JEGO CÓRKA SONIA
O WSPÓLNYM FILMIE**

POLSKA

Newsweek®

www.newsweek.pl

45/2023
6-12.11.23
cena 11,90 zł
(w tym 8% VAT)
Nr indeksu 36679X

D750€

KULISY KOALICJI UKŁADANKI TUSKA

**ILE WŁADZY LIDER KO
ODDA KOALICJANTOM.
JAK BARDZO ZMIENIŁY GO
WYBORY. KOGO SŁUCHA,
A Z KIM SIĘ KŁÓCI**

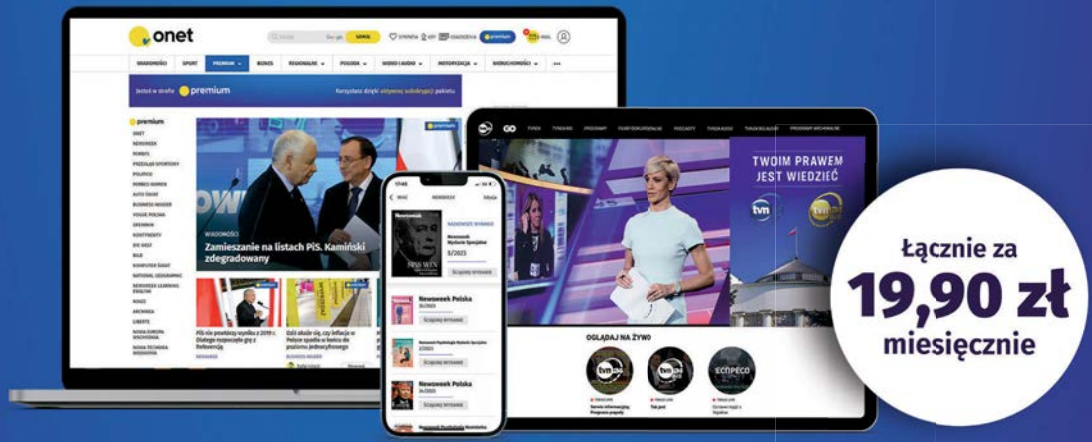


monoprice@o2.pl



Dwie subskrypcje w jednym pakiecie.

Czytaj, słuchaj i oglądaj to, co lubisz.



onet premium

Onet Premium daje Ci dostęp do:

- ✓ Artykułów z kilkudziesięciu polskich i zagranicznych serwisów
- ✓ Aplikacji Onet Audio z podcastami, shortcastami i artykułami audio
- ✓ Aktualnych i archiwalnych wydań PDF wybranych magazynów, np. Newsweek, Forbes, Forbes Women i innych
- ✓ Braku reklam na Onecie i innych serwisach Onetu Premium*



TVN24 GO daje Ci dostęp do:

- ✓ TVN24 i TVN24 BiS na żywo na dowolnym urządzeniu, z możliwością cofania do 7 dni
- ✓ Bazy filmów dokumentalnych
- ✓ Biblioteki programów i materiałów z anten TVN24 i TVN24 BiS
- ✓ Dodatkowych reportaży, programów i rozmów dostępnych tylko dla subskrybentów
- ✓ Niepokazywanych na antenie transmisji live

Wejdź na premium.onet.pl/tvn24go
lub zeskanuj qr code



TEMAT Z OKŁADKI
8 / Donald u władzy

Czy polityczny solista będzie potrafił znowu zagrać zespołowo?

14 / Jaki rząd?

Jeśli nowy układ rządowy nie utonie w sporach o wszystko, to jego koalicyjny charakter dobrze nam zrobi – uważa politolog Rafał Matyja

POLITYKA
20 / Sensacyjni debiutanci

Weszli do Sejmu przebojem, pokonując faworytów. W każdej partii jest przynajmniej jedno takie zaskoczenie

24 / Co się dzieje w policji?

Jak gen. Jarosław Szymczyk robi „porządek” przed zmianą rządu

SPOŁECZEŃSTWO
30 / Zawodowo wypaleni

Jak radzić sobie z trudnymi emocjami i stresem w pracy

34 / Spory o psychodeliki

Grzybki psylocybinowe mają leczyć depresję i przyspieszać terapię, ale rzeczywistość nie jest tak różowa

38 / Mobbing w szkole

Udowodniono go dyrektorowi trzykrotnie. Mimo wyroku sądu nadal pracuje w szkole razem ze swoją ofiarą

HISTORIA
44 / Bitwa nad Sommą

Okazała się najstraszniejszym starciem I wojny światowej

ŚWIAT
48 / Wojna z Hamasem

Reżyser Dan Shadur o winach premiera Netanjahu i kryzysie w Izraelu

52 / Białołuski cesarz

O Łukaszenko – pisze dziennikarz Onetu Witold Jurasz. Publikujemy fragmenty jego nowej książki „Demon zza miedzy”

BIZNES
56 / Pożegnanie Pinokia

Wszystkie twarze Mateusza Morawieckiego

62 / Spór o CPK

Co będzie z flagową inwestycją PIS – Centralnym Portem Komunikacyjnym?


56 BIZNES

KONIEC BAJKI PINOKIA

Facet jest przyspawany do polityki – mówi wieloletni biznesowy znajomy Mateusza Morawieckiego. Przypominamy burzliwą historię odchodzącego premiera

62 BIZNES

AWANTURA O WIELKIE LOTNISKO

Czy budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego w Baranowie ma sens? Co powinien z tym zrobić nowy rząd?

48 ŚWIAT

ALBO BIBI, ALBO IZRAEL

Mając takiego premiera jak Netanjahu, trudno nam przekonywać świat do swoich racji. Jeśli on przetrwa, to będzie koniec Izraela – twierdzi izraelski reżyser Dan Shadur, autor dokumentu „Król Bibi”

68 NAUKA

JELITA I MÓZG

Właśnie poznaliśmy kolejne niezwykle właściwości bakterii jelitowych

66 / Gadżety

Energia plus, czyli powerbanki

NAUKA I ZDROWIE
68 / Zdrowie w jelitach

Wpływ probiotyków na nasz organizm jest dużo większy, niż początkowo sądzono

72 / Z bliska

Tamandua północna, zwana też mrówkojadem meksykańskim

77 / Opiekunki dzikich kotów

Niosą jedzenie, leki, wodę. Sterylizują i leczą chore zwierzęta, często za własne pieniądze

KULTURA
80 / Rodzina na ekranie

Borys i Sonia Szycowie zagrali razem w podejmującym temat niechcianej ciąży filmie „Miało cię nie być”

84 / Barbara Kingsolver

Autorka nagrodzonej Pulitzerelem książki „Demon Copperhead” o ludziach uzależnionych od opioidów

88 / Jakub Józef Orliński

Słynny kontratenor wydał nową płytę „Beyond”

FELIETONY
4 / Dariusz Ćwiklak

Za szczytem szczyt

6 / Krzysztof Varga

Ludzkie oblicze Babilonu

18 / Andrzej Stankiewicz

Episkopat boi się Tuska

28 / Katarzyna Kasia

Jak bajka zamienia się w horror

41 / Dominika Olszyna

Koszmar małżeński

65 / Mikołaj Kunica

Biało-czerwony odlot

87 / Bartosz Węglarczyk

Artyści z odległych światów

91 / Katarzyna Janowska

Talent za śmierć





Redaktor naczelny **Tomasz Sekielski**

PO PROSTU

Wygrać zwycięstwo

Partie demokratycznej opozycji dokonały niemożliwego, pokonując w wyborczym wyścigu PiS, które dysponowało całym aparatem państwa, gigantyczną machiną propagandową i nieograniczonymi funduszami. Liderzy zwycięskich ugrupowań nie mają jednak czasu na świętowanie, przed nimi kolejne nie lada wyzwania, teraz muszą wygrać zwycięstwo.

Sukcesem nie jest bowiem samo odsunięcie PiS od władzy. Stawka tych wyborów była dużo wyższa. Jest nią sanacja państwa skażonego partyjniactwem, przeżartego korupcyjnymi układami i trawionego obsesjami partyjnego wodza. Tyle bowiem zostaje po ośmiu latach nieustannego wstawania z kolan, czyli rządów dobrej zmiany, która to okazała się grupą rekonstrukcyjną Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Byliśmy świadkami próby podporządkowania obozowi władzy wymiaru sprawiedliwości, walki z niezawisłymi sędziami, niezależnymi prokuratorami i wolnymi mediami, a wszystko to podlane było propagandowym sosem z wyraźnie wyczuwalnym posmakiem kultu jednostki. Szczęśliwie także ten projekt w wykonaniu polityków PiS okazał się fiaskiem.

Po 2015 r., czyli po odzyskaniu władzy, Jarosław Kaczyński uwielbiał powoływać się na wolę suwerena. W jego mniemaniu to ona dawała mu moc stawania ponad prawem albo naginania go do doraźnych partyjnych potrzeb. Teraz jednak, gdy ten sam suweren wybrał inaczej, prezes Kaczyński żali się, że wyborcy to niewdzięcznicy. Jakby nie mógł uwierzyć, że Polacy wysyłają go na polityczną emeryturę i to wcale nie w roli zbawcy narodu. Od ponad dwóch tygodni występujący publicznie politycy PiS wyglądają jak bokser, któremu wraca świadomość po nokautującym ciosie, ale wciąż jeszcze nie bardzo wie, gdzie jest i co robi.

W tym samym czasie, na szczęście bez nadmierne go triumfalizmu, liderzy trójkoalicji dogadują szczegóły wspólnego minimum programowego i podziału ministerialnych stanowisk. Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica dysponują wspólnie mandatem społecznym, jakiego nie miała żadna władza po 1989 r. 11,6 mln głosów poparcia to nie tylko legitymacja do przeprowadzenia głębokich programów naprawczych po rządach PiS, ale i zobowiązanie dotrzymania przedwyborczych obietnic oraz zbudowania stabilnego rządu. Zadania trudne, jeśli wziąć pod uwagę, że przyszły rząd będzie miał przeciwko sobie prezydenta, Trybunał Konstytucyjny oraz Narodowy Bank Polski.

Donald Tusk w wywiadzie, którego udzielił „Newsweekowi” w maju, mówił, że nie interesuje go moralne zwycięstwo, tylko odzyskanie władzy i to mu się udało. Politycznie zaryzykował wszystko, wracając do polskiej polityki, i wygrał. Ok-

zał się politycznym solistą, który gdy trzeba, potrafi wziąć całą odpowiedzialność na siebie, ale gdy jest taka konieczność – gra też drużynowo. Dla przyszłego szefa rządu to przydatne umiejętności, szczególnie gdy sejmowa większość oparta jest na wielopartyjnej koalicji. W tym samym wywiadzie pytaliśmy lidera KO, czy te wybory parlamentarne to jego ostatni bój, ostatnia kampania. – Tak sędzę, pewnie tak – odpowiedział Tusk, dodając, że jego rodzina nie może się doczekać, kiedy przejdzie na polityczną emeryturę. Na razie jednak

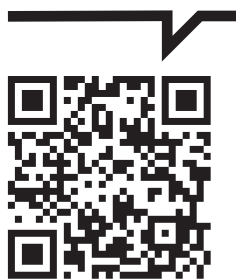
Nowy rząd czekają turbulencje, bo sprzątanie po PiS nie będzie ani proste, ani szybkie, ani bezbolesne

ma przed sobą kolejne wyzwanie – powrót na fotel premiera. Jako pierwsze decyzje nowego rządu wymieniał w tamtej rozmowie: wprowadzenie „babciowego”, zwiększenie kwoty wolnej od podatku, kredyt mieszkaniowy zero procent. – Mamy już gotowy pakiet konkretnych rozwiązań ustawowych. Na pierwszym posiedzeniu Sejmu możemy spokojnie przeprowadzić te rzeczy – zapowiadał Tusk. Ciekawe, ile z tego zostanie po zakończeniu rozmów koalicyjnych.

W przeszłości często zarzucano Donaldowi Tuskowi, że jego rządowi brakuje wizji i celów. On sam w 2010 r. mówił „Gazecie Wyborczej”: – Dopóki będę obecny w życiu publicznym, wolę politykę, która gwarantuje, jak niektórzy mówili złośliwie, ciepłą wodę w kranie. Bo wielu wita to z uznaniem, że jest wreszcie silna partia, która jest powściągliwa i skromna, jeśli chodzi o narzucanie ludziom wielkich celów, która daje za to wielką stabilizację.

Teraz priorytety wydają się inne, a i pozycja Tuska w nowym układzie władzy nie będzie tak silna jak 13 lat temu.

Nowy rząd czekają bez wątpienia turbulencje polityczne i ekonomiczne, bo sprzątanie po PiS nie będzie ani proste, ani szybkie, ani bezbolesne. Dlatego nowa władza musi postawić na transparentność swoich działań i komunikację z wyborcami. W przeciwnym razie szybko może się przekonać, że łaska suwerena na pstrym koniu jeździ. **N**



Zeskanuj kod QR i posłuchaj tego artykułu w aplikacji **Onet Audio**



POZNAJ
SWOJE PRAWDZIWE
OBLICZE

Nie ma dwóch identycznych organizmów.
Statystyki zdrowia i kondycji
opracowane dla Ciebie.
Tylko dla Ciebie.



GARMIN®

Seria smartwatchy Venu® 3 | vivoactive® 5 | inteligentna waga Index™ S2

TYDZIEŃ Z...

Dariusz Ćwiklak

Za szczytem szczyt



REKORDOWA FREKWENCJA, solidna większość w Sejmie i Senacie – wydawałoby się, że demokratyczna opozycja osiągnęła w wyborach szczyt. Ale okazało się, że po wyborach musi zmierzyć się jeszcze z kilkoma szczytami – bezczelności ze strony tracących władzę. Od dwóch tygodni raczą nas oni igraszkami z logiką i zdrowym rozsądkiem. Wszystko po to, by zasnąć z zamęt i zyskać choć trochę czasu na kolejny przetarg dla znajomych czy kolejny miesiąc wypłaty pensji w państwowych spółkach i instytucjach. Czym, jeśli nie weiskaniem kitu, jest przekonywanie, że premier Morawiecki toczy jakieś rozmowy, by przeciągnąć 37 posłów (tylu brakuje PiS do większości), skoro wszyscy potencjalni zainteresowani prowadzą właśnie prawdziwe negocjacje koalicyjne w zupełnie innym gronie? I czym innym jest deklaracja prezydenta, że Morawiecki ze 194 głosami PiS jest tak samo poważnym kandydatem na premiera jak Tusk z jasnym poparciem 248-osobowej koalicji?

SZCZYT CENOWEJ BEZCZELNOŚCI podziwiają codziennie kierowcy na pylonach stacji paliw. Przed wyborami jakaś magiczna siła trzymała ceny paliw na państwowym Orleniu poniżej 6 zł, niezależnie od wzrostów cen ropy na światowych rynkach i osłabienia złotego do dolara. Specjaliści powtarzali, że nie ma to nic wspólnego z ekonomią, za to wszystko z polityką. I że może skończyć się rozchwianiem rynku, a potem – nieuchronnymi podwyżkami na stacjach. Zupełnie jak na Węgrzech, gdzie Orbán przed swoimi wyborami zaserwował obywatelom podobny scenariusz. Sprawdziło się co do joty: najpierw w żywy kamień kleli hurtownicy i rolnicy, którzy jako pierwsi odczuli braki paliw. Potem run klientów po tanie paliwo sprawił, że na stacjach Orlenu masowo „psuły się” dystrybutory. Ostatni akt tej tragicomedii obserwujemy teraz: po wyborach ceny paliw w Polsce zaczęły pędzić w górę jak Aleksandra Miłostaw na olimpijskiej ścianie – w dwa tygodnie o prawie 50 groszy i to wcale jeszcze nie koniec. Co na to Orlen? Spółka oświadczyła, że ceny paliw w Polsce rosną z powodu zaognienia sytuacji na Bliskim Wschodzie, ale i tak należą do najniższych w Europie. Sęk w tym, że po ataku Hamasu na Izrael ropa rzeczywiście nieco podrożała, ale zaczęła ponownie tanieć niemal dokładnie wtedy, kiedy Orlen zaczął powyborcze podwyżki na stacjach. Politycy PiS latami uwielbiali sięgać do cytatu z taśm Sowy i Przyjaciół, kiedy to Jacek Krawiec, były prezes Orlenu, cytował słowa Donalda Tuska po wygranych wyborach z 2011 r.: „Teraz to paliwo może być nawet i po 7 złotych”. Historia lubi się powtarzać.

SZCZYT FINANSOWEJ BEZCZELNOŚCI zauważa niewielu – wszak wpływy i wydatki z budżetu mierzy się w miliardach złotych, a to sumy niewyobrażalne dla większości obywateli. A jednak warto zwrócić na to uwagę, bo tu bezczelność odchodzącej ekipy jest wyjątkowa. Po pierwsze, w projekcie przyszłorocznego budżetu zapisano rekordowy deficyt – prawie 165 mld zł, ale z raportu sześciorga byłych ministrów, wiceministrów i urzędników resortu finansów – a więc fachowców – wynika, że prawdziwa dziura w finansach może być nawet o 110 mld zł większa. W projekcie budżetu zawyżono dochody, zaniżono wydatki, a poza tym poza budżetem kryje się cały wianuszek funduszy i agencji obracających miliardami wydawanymi na kredyt. Premier Morawiecki nie omieszczał zorganizować konferencji, na której przekonywał, że finanse państwa są w doskonałym stanie. Wtórą mu w licznych wywiadach jego zausznik Paweł Borys (szef Polskiego Funduszu Rozwoju), a rzecznik rządu Piotr Müller już podpowiada, że opowieści opozycji o złym stanie finansów publicznych „to zasłona dymna dla wycofania się z obietnic wyborczych”. Obywatele, uwierzcie: jest tak dobrze, że dobrze wam tak.

W projekcie budżetu zapisano rekordowy deficyt – prawie 165 mld zł, ale eksperci twierdzą, że prawdziwa dziura w finansach może być nawet o 110 mld zł większa

NA MIANO SZCZYTU SZCZYTÓW zasługują jednak akty strzeliste prorządowych propagandystów w obronie... wolności mediów. Nie, nie pomyliłem się: kiedy po wyborach wyraźna stała się wizja oderwania od partyjnego kranu z kasą i przywilejami, twarze propagandy w TVP i innych mediach dotowanych przez PiS zaczęły nagle bronić wolności słowa. TVP Info uruchomiła nawet specjalną infolinię dla widzów, a list przeciw czystkom podpisali tacy czempioni wolności słowa jak Michał Adamecyk, bracia Karnowscy czy Samuel Pereira. Te krokodyle łzy wyglądają jeszcze zabawniej, kiedy przypomni się jedną z okładek tygodnika Karnowskich – z listopada 2013 r. Na ekranach telewizorów twarze Piotra Kraški, Tomasza Lisa i Beaty Tadli, ówczesnych gwiazd TVP. A obok tytuł: „Ultimatum PiS dla TVP: Mówcie prawdę albo was zamkniemy”. Nieco ponad dwa lata później na Woronicza wkroczył z turbomotylą niejaki Jacek Kurski. **N**

EMOTOPIC



PREPARAT S.O.S. MEDICAL ZALECANY PRZY LECZENIU NASILONYCH ZMIAN SKÓRNYCH W ZAOSTRZENIACH AZS

INNOWACYJNY KOMPLEKS BIOMSKIN™ wykazuje potrójne działanie barierowe:

- łagodzi miejscowe stany zapalne, które najczęściej wywołuje gronkowiec złocisty (*Staphylococcus aureus*)
- wspiera równowagę naturalnej mikrobioty naskórka
- zapobiega wtórnym infekcjom i częstym nawrotom reakcji skórnych poprzez barierę mechaniczną jaką tworzy na powierzchni skóry, nie dopuszczając do stanu zapalnego często wywołanego przez *Staphylococcus aureus*

BEZPIECZNY | SKUTECZNY
MEDYCZNY

PREPARAT S.O.S. MEDICAL do twarzy i ciała

WSKAZANIA: Wyrób zalecany przy leczeniu nasilonych zmian skórnych w zaostrzeniach atopowego zapalenia skóry, charakteryzujących się zaczerwienieniem, obecnością zapalnych, swędzących guzków, pęcherzyków i liniowych zadrapań skóry (przeczosów). Wskazany w szczególności dla pacjentów z częstymi zaostrzeniami związanymi z typową dla AZS nadmierną kolonizacją skóry przez *Staphylococcus aureus*. Polecany także dla osób z AZS o przewlekłym przebiegu (sucha, często łuszcząca się i pogrubiała skóra – lichenifikacja). Wyrób polecany do codziennego użycia. Może być stosowany długookresowo. Rekomendowany dla dorosłych i dzieci od 4. miesiąca życia. Wyrób przeznaczony tylko do użytku zewnętrznego.

Prowadzący reklamę / Producent: Dr Irena Eris S.A.
Więcej informacji o produkcie na stronie: www.emotopic.pl

+ DOSTĘPNY
WAPTECE I ONLINE



30 ml

TO JEST WYRÓB MEDYCZNY. UŻYWAJ GO
ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ UŻYWANIA LUB ETYKIETĄ.



BESTIARIUM POLSKIE

Krzysztof Varga

Ludzkie oblicze Babilonu

Spieszmy się oglądać TVP, zanim lewactwo z opcją niemiecką nie zmienią nam jej w nieustające parady równości i propagandę rosyjską, jako i ja się zacząłem panicznie spieszyć. Przecież, gdy już obłąkani ateści dorwą się do telewizji publicznej, to wytną do spodu programy kościelne i opowieści o pięknym życiu na plebaniach.

No dobrze, efekciarsko przesadzam. Nie paniczny łęk przed zlaicyzowaniem telewizji pchnął mnie do oglądania seriali „Na plebanii” o dobrych księżach oraz „Welon, fura i brawura” o fajnych zakonnicach, ale najpierw doniesienia z bluźnierczych praktyk w Dąbrowie Górniczej, a ostatnio informacja o wymuszonej przez Watykan dymisji biskupa sosnowieckiego Grzegorza Kaszaka, ściśle zresztą związanej z aferą w Dąbrowie. Tamże, jak pamiętają państwo, tak zwani duchowni urządzili sobie w mieszkaniu parafialnym gejowską orgię z udziałem męskiego pracownika seksualnego. Nieszczęśnik omal nie przyplącił tych rekolekcji życiem, bo imprezowicze najedli się tabletek na potencję, aż musiało interweniować pogotowie, ratując od śmierci biednego faceta. Zresztą księża dobrodzieje nie chcieli dopuścić do pozbawionego przytomności pracownika seksualnego służb medycznych, interweniowała więc policja.

Przed chwilą zaś nastąpiła dymisja wspomnianego biskupa Kaszaka, któremu podlegała parafia w Dąbrowie, ponoć od lat bliższa Sodomie i Gomorze niż jakimkolwiek innemu miejscu na ziemi. Biskup Kaszak, jak się okazało, „nie mógł udźwignąć ciężaru nauki Kościoła”, podobnie jak ksiądz Tomasz, wikary z parafii Najświętszej Marii Panny Anielskiej, organizator tragicznych bachanalii. Natychmiast pojawiły się doniesienia prasowe, że sam Kaszak lubił sobie popoľgować, równocześnie – co zupełnie naturalne – piętnując wszelką rozwiązłość, osobliwie tę spod znaku LGBT. Pojawienie się seriali o fajowych księżach i zajefajnych zakonnicach czytam jako rozpaczliwą próbę ratowania wizerunku ludzi zwanych duchownymi, którzy z prawdziwą żarliwością pracują na całkowity już upadek odwiecznej instytucji Kościoła.

„Chrzest czy pogrzeb. Pierwsza komunია święta czy ślub. Na plebanii większość Polaków bywa przynajmniej kilka razy w życiu” – ekscytuje się narrator w czołówce serialu „Na plebanii”, a ja wpadam w panikę, bo zupełnie nie pamiętam, kiedy byłem na plebanii. Może dlatego, że na śluby chodzę wyłącznie cywilnie, na pogrzeby też ostatnio świeckie, nie znam nikogo chrzczącego dziecko, o pierwszej komunii szkoda nawet mówić. „Na plebanii toczy się życie nie tylko duchowe” – zachęca narrator, a ja potakuję gorliwie. Toczy się, wedle doniesień prasowych,

przede wszystkim życie cielesne, nie tylko – jak sądzę – w diecezji sosnowieckiej i nie tylko biskup Kaszak łaskaw był prowadzić „dość swobodny tryb życia, co było wiadome powszechnie”, jak pisano w artykułach.

Oto w serialu „Na plebanii” sympatyczny ksiądz z kaszubskiej wioski przyrządza właśnie twarożek z pomidorami, gdy od stołu wygania go sygnał alarmu pożarowego. Wskakuje na rower i pedałuje do remizy, bo jest strażakiem ochotnikiem. Ksiądz Damian robi też sok z aronii i przetwory z buraków, bo jest księdzem wielu talentów. W seminarium miał chwile zwątpienia, ale przeczytał przypowieść o nieurodzajnym drzewie figowym, które nie dawało owoców, więc trzeba było je „nagnoić”. To przekonało alumna, żeby zostać jednak księdzem. Niestety, wątek nagnojenia nie został pociągnięty, bo mnie się zdaje, że cały Kościół jest tak już nagnojony, że bardziej nie można – nagnojone drzewo obrosło owocami grzechu śmiertelnego i rodzi plony jak szalone. Jest też ksiądz z Bukowiny Tatrzańskiej, ale nie ma on żadnych problemów, bo na Podhalu jest szacunek dla stanu duchownego. Potem pojawia się

Pojawiły się doniesienia prasowe, że sam biskup Kaszak lubił sobie popoľgować, równocześnie – co zupełnie naturalne – piętnując wszelką rozwiązłość

zażywny ksiądz Sławek z Bydgoszczy, organizujący występy chóru gospel, mający za sobą okres buntu przeciw Kościołowi. Teraz już jest pogodzony z Kościołem, ale nadal słucha Metalliki, choć cicho, żeby nie przeszkadzać konfratrom ze zgromadzenia.

W serialu „Welon, fura i brawura” trzy zakonnice podróżują po Polsce „do miejsc od lat jednoczących katolików”. Siostry są muzykalne i mają ciągoty artystyczne – Anna gra na gitarze, Teresa śpiewała na festiwalach muzyki religijnej i przyjaźni się z trupą aktorską Piotruś Pan i Elfy, Karina zaś uwielbia discopolowy zespół Boys, szczególnie ich przebój „Jesteś szalona” – siostra utożsamia się z tym nieśmiertelnym hitem, powołanie do życia zakonnego poczuła zresztą na dyskotecce. W istocie siostra Karina jest szalona – najpierw wiozą ją bryczką, a potem rusza w podróż z harleyowcami. Siostra Anna, prócz tego, że smaży racuchy i gra na gitarze, jest certyfikowaną trenerką dialogu motywującego. Słuszne i zbawienne byłoby, gdyby zmotywowała kolegów z branży, księdza Tomasza z Dąbrowy Górniczej i biskupa Kasza-

ka z Sosnowca, by dokonali zmiany w swoim życiu. Niech zostaną strażakami chociażby, jak ksiądz Damian. Choć może to zły pomysł: księdza Tomasza i biskupa Kaszaka trzeba jak najdalej trzymać od ludzi, szczególnie ofiar wypadków i pożarów.

Słodki serial o zakonnicach jeżdżących po Polsce okazał się mieć jednak swój nieoczekiwany skutek – przypomniał mi się serial dokumentalny sprzed trzech już lat „Dzieci siostry Bernadetty”. Historia o diabelskiej zakonnicy i jej boromeuszkach prowadzących w Zabrzu specjalny ośrodek wychowawczy, która wstrząsnęła Polską lata temu, opisana też w książce Justyny Kopińskiej „Czy Bóg wybacza siostrze Bernadecie?”, dzisiaj jest całkiem zapomniana. Wytarła się z naszej pamięci, bo kaskady, lawiny i tsunami wszelakiego rodzaju skandali, rozlicznych emanacji grzechów śmiertelnych Kościoła wyparowują z powszechnej świadomości, tak jak wietrzeją już po kilku dniach największe afery pisowskiej władzy. Byłoby jeszcze bardziej zbawienne, gdyby zrobić nowy dokument o Bernadecie, skoro tamten już zapomniany, jeszcze lepiej byłoby nakręcić o Bernadecie fabułę – kilka lat temu Borys Lankosz miał kręcić film o piekielnej boromeuszce, ale nie nakręcił, zatem temat leży na stole. A przecież zaorałoby to te wszystkie idiotyczne horrory o nawiedzonych przez szatana siostrach zakonnych, o bohaterkich egzorcystach i diabłach szalejących po klasztorach.

Ocieplanie wizerunku kleru aż furczy: straż pożarna, Metallica, buraki i góralskie wesele zaprężone do ciężkiej pracy, by pokazać nam ludzkie oblicze Babilonu. Zakonnice jeżdżące na motorach i brzdąkające na gitarach, śpiewające i smażące racuchy mają nam wytrzeć pamięć o wszystkich Bernadettach polskiego Kościoła. Oglądam więc drwiący sobie z mojej inteligencji serial o fajowskich zakonnicach i robiący ze

Mnie się zdaje, że cały Kościół jest tak już nagnojony, że bardziej nie można – nagnojone drzewo obrosło owocami grzechu śmiertelnego i rodzi plony jak szalone

mnie idiotę serial o zajefajnych księżkach i myślę o tym, że z jakiegoś powodu najczęstszym tematem filmowych horrorów są diabeł w sutannie i szatan w habitcie. Większość tych produkcji to potworne gnioty, ale co rusz na ekrany wchodzi kolejna jatka rozgrywająca się w klasztorze i nowa opowieść o diabelskim spisku w Watykanie. I nawet jeśli są to filmy potworne w swoim idiotyzmie, to jest w nich straszniejsza jeszcze prawda – nigdzie piekło tak się wygodnie nie rozgościło, jak wśród tych, którzy zawodowo zajmują się promocją miłości bliźniego. **N**

Krzysztof Varga jest pisarzem, publicystą, a także autorem tekstów piosenek zespołu Dr Mizio

Newsweek

od 2001 roku

Adres redakcji tygodnika: 02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 49. Kontakt z Czytelnikami www.newsweek.pl, redakcja@newsweek.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Sekielski / Zastępcy redaktora naczelnego: Dariusz Ćwiklak, Michał Szadkowski / Redaktorzy prowadzący: Lukasz Ramlau, Andrzej Olejniczak / Dyrektor artystyczna: Magdalena Mamajek-Mich /

Sekretarz redakcji: Konrad Sadurski / Zastępczyni sekretarza redakcji: Katarzyna Klejnocka /

Polska: Dominika Długosz-Gierszewska, Renata Grochał, Aleksandra Pawlicka, [Teresa Torafska](#) / Dział śledczy: Jakub Korus, Grzegorz Rzeczkowski, Agnieszka Żadło / Społeczeństwo: Renata Kim, renata.kim@newsweek.pl, Marcin Chłopaś, Karolina Rogaska, Małgorzata Świąchowicz, Elżbieta Turlej / Historia: Dariusz Ćwiklak, Mateusz Wojtalik / Świat: Jacek Pawlicki, jacek.pawlicki@newsweek.pl, Maciej Nowicki, Nowy Jork: Piotr Milewski, piotr.milewski@newsweek.pl

Biznes: Konrad Sadurski, konrad.sadurski@newsweek.pl, Radosław Omachel, Miłosz Węglowski / Nauka: Dorota Romanowska, dorota.romanowska@newsweek.pl, Katarzyna Burda / Kultura: Dawid Karpiuk, Jacek Tomczuk, [Piotr Bratkowski](#) /

Felietony: Dariusz Ćwiklak, Katarzyna Janowska, Katarzyna Kasia, Mikołaj Kunica, Dominika Olszyna, Henryk Sawka, Andrzej Stankiewicz, Krzysztof Varga, Bartosz Węglarczyk

Newsweek.pl: Beata Minkiewicz (product manager), Emilia Stawikowska (szefowa wydawców) / wydawcy: Karolina Brzezińska, Jakub Korus, Jan Rakoczy, Maciej Sitarz, Mateusz Wojtalik / dziennikarze: Anna Podlaska,

Marcin Wieczorkowski / Grafika: Michał Bieniek / Media społecznościowe: Igor Iwaniuk / Foto: Ewa Fałkiewicz, Jacek Gruszecki, Mikołaj Starzyński, Marek Szczepański / Studio graficzne: Grzegorz Brodowski, Urszula Gardy,

Izabela Królkowska, Aleksandra Kuc, Sylwia Nieraszkowska, Michał Peas / Korekta: Ewa Leszczyńska-Al-Khafagi, Małgorzata Tamitowska, Iwona Trzaskoma /

Asystentka redaktora naczelnego: Kamila Skowron, kamila.skowron@newsweek.pl

Wydawca: RINGIER AXEL SPRINGER POLSKA Sp. z o.o., Czołnek Izby Wydawców Prasy i Związku Kontroli Dystrybucji Prasy, www.ringieraxelspringer.pl / Adres: ul. Domaniewska 49, 02-672 Warszawa, recepcja główna tel.: (22) 232 00 00,

232 00 01 / Prezes zarządu: Aleksander Kutela / Prezes honorowy: Wiesław Podkański / Dyrektor generalny: Marcin Biegłuk / Dyrektor finansowy: Krzysztof Stopa / Dyrektor wydawniczy treści premium: Jakub Makulski

Dyrektor ds. rozwoju projektów wydawniczych treści premium: Bernadetta Byrska / Menedżer wydawniczy: Joanna Skolimowska / Dyrektor personalna: Monika Remiszewska / Dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej: Karolina Sznajder

Dyrektor marketingu: Olga Korolec / Head of Press Monetization Hub: Anna Dygasiewicz, zespół: Marcin Czyż, Elżbieta Jung, Ryszard Korlak, Aneta Kulesz, Marta Mikiel, Ewelina Milczek, Agnieszka Skiba, press@ringieraxelspringer.pl

Biuro reklamy: Piotr Kupis, tel. 695388021, piotr.kupis@ringieraxelspringer.pl / Marketing: Agata Surmacz-Mocko

Prenumerata: litteria.pl, zakładka PRASA / Zamówienia B2B: Menedżer ds. sprzedaży bezpośredniej i trade marketingu: Agnieszka Ślusarczyk-Salicka (agnieszka.salicka@ringieraxelspringer.pl) /

Menedżer ds. prenumeraty: Sylwia Kowalska (sylwia.kowalska@ringieraxelspringer.pl)

Księgowość: Sylwia Skibińska (dyrektor) / Kolportaż: Rafał Kamiński (dyrektor) / Produkcja: Mariusz Gajda (dyrektor), Jarosław Sokolowski / Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

Prenumerata i zamówienia kolekcji: tel.: 22 336 79 01, 801 000 869, prenumerata.axel@og.com, www.newsweek.pl / Sprzedaż internetowa wydań archiwalnych, specjalnych i prenumeraty: www.kiosk.redakcja.pl

Reklamacje: tel.: 22 336 79 01, 801 000 869, e-mail: prenumerata.axel@og.com / Prenumerata krajowa: Poczta Polska oraz Ruch SA na terenie całego kraju / Prenumerata zagraniczna: <http://kiosk.redakcja.pl>

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe. Zabroniona jest bezumowna sprzedaż czasopisma po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po innej cenie jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Newsweek magazine Published by Newsweek LLC, EDITORIAL STAFF: Editor in chief: Jim Impoco / Deputy Editor: Bob Roe / International Editor: Nicholas Wapshott +

Managing Editor: Kira Bindrim BUSINESS STAFF: Chief Content Officer, IBT Media: Johnathan Davis / Chief Executive Officer, IBT Media: Etienne Uzac





Newsweek TEMAT Z OKŁADKI

JAK SIĘ ZMIENIŁ DONALD TUSK

DŁUGODYSTANSOWIEC

Wymagający, skrupulatny, skupiony na pracy – tak o liderze PO mówią jego współpracownicy. Czy polityczny solista będzie potrafił znowu zagrać zespołowo?

TEKST RENATA GROCHAL

Tusk jest zadaniowy, co najlepiej było widzieć w wieczór wyborczy. Fajnie, że wygraliśmy, jest toast, ale jedziemy dalej. Zaczyna się nowa robota, rozmowy z koalicjantami – mówi bliski współpracownik lidera KO. Zapewnia, że rozmowy koalicyjne toczą się w dobrej atmosferze. Choć prezydent pewnie w pierwszym kroku powierzy misję tworzenia rządu PiS, koalicja demokratyczna będzie dogadana co do obsady najważniejszych stanowisk przed pierwszym posiedzeniem Sejmu, które odbędzie się 13 listopada.

– Tusk jest w stanie wiele oddać Trzeciej Drodze i Lewicy, bo zależy mu na tym, żeby ten rząd powstał jak najszybciej – zdradza ten sam rozmówca. Dodaje, że pierwotny plan był taki, że najważniejsze funkcje w państwie zostaną rozdzielone między koalicjantów. Skoro Tusk ma zostać premierem, co akceptują zarówno Trzecia Droga, jak i Nowa Lewica, to marszałkiem Sejmu miałby być Szymon Hołownia, lider Polski 2050, marszałkiem Senatu – Magdalena Biejat z partii Razem, a jedynym wicepremierem – Władysław Kosiniak-Kamysz. Lider ludowców jednocześnie miał objąć tekę ministra gospodarki albo obrony narodowej. Hołownia ma chrapkę na fotel marszałka

Sejmu, bo choć nie ma doświadczenia parlamentarnego, to wie, że funkcja marszałka buduje polityka, a on zamierza kandydować w wyborach prezydenckich w 2025 r.

Plan Tuska nie bardzo jednak przypadł do gustu Lewicy, która też chce mieć wicepremiera w rządzie. Co prawda lider Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty ma marszałkowskie ambicje, ale liderzy Lewicy nie widzą powodu, by Trzecia Droga była traktowana jako dwie odrębne partie, a Lewica nie, choć mają na pokładzie partię Razem. Dlatego chcą stanowiska wicepremiera i ministra cyfryzacji dla Krzysztofa Gawkowskiego, szefa klubu Nowej Lewicy.

W sejmowych kularach coraz częściej mówi się o tym, że stanowisko marszałka Sejmu będzie rotacyjne – pół kadencji dla Hołowni, pół dla Czarzastego. Czarzastemu i jego ludziom byłoby to na rękę, bo w tym scenariuszu marszałkiem Senatu zostałaby Małgorzata Kidawa-Błońska z KO, co by oznaczało, że w nowym rozdaniu nie zostanie wzmocniona partia Razem.

– Jeśli Hołownia będzie chciał być marszałkiem Sejmu, to będzie, a Lewica dostanie wicepremiera, choć początkowo Donald chciał jednego wicepremiera w rządzie dla Kosiniaka-Kamysza. Dogadamy się. W sprawach programowych Tusk ma obsesję na punkcie podwyżki dla nauczycieli, którzy zarabiają

naprawdę upokarzająco mało, i rozliczenia PiS – opowiada mój rozmówca z władz KO. – Przedstawiliśmy 100 konkretnych. Wiadomo, że nie wszystko da się zrobić jednego dnia, bo są też kwestie podatkowe, ale podwyżki dla nauczycieli, podniesienie kwoty wolnej od podatku i przywrócenie obywatelom mediów publicznych to są nasze priorytety na pierwsze 100 dni.

W CIĄGU PRAWIE DWÓCH LAT OD POWROTU DO POLSKI Donald Tusk przejechał 70 tys. kilometrów po kraju. Zaczęło się od spotkań z przedsiębiorcami, z mieszkańcami podwarszawskich gmin, wyłączonego z powodu budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Na podwórko, które za chwilę miały rozjechać buldożery, przyszło kilkadziesiąt osób.

– Tusk to twardy facet. Potrafił zachowywać pogodę ducha mimo obrzydliwych kłamstw na swój temat, kolportowanych przez rządową telewizję. Nigdy nie narzekał, zagryzł zęby i skupił się na robocie. Zresztą myślę, że pisowcy przesadzili, mając Polaków za idiotów. Ten hejt obrócił się przeciwko nim – mówi jeden z najbliższych ludzi Tuska.

Posłanka KO Monika Wielichowska, która organizowała spotkania Tuska z wyborcami, wspomina, że początkowo rezerwowała sale gimnastyczne. Szybko jednak okazało się, że przychodzi tak dużo ludzi, że nie są w stanie się pomieścić, i trzeba było szukać amfiteatrów.

– Żaden polityk w Polsce nie gromadził takich tłumów. Ponad 5 tys. osób przyszło na spotkanie w Koszalinie. To nie byli partyjni działacze, zwiezieni autokarami, tylko zwykli Polacy, ciekawi tego, co Tusk ma do powiedzenia. U mnie w Kłodzku na spotkanie w hali sportowej przyszło ponad 3 tys. ludzi. W środku było ponad 50 st. C, ale nikt nie wyszedł. W Nowej Rudzie sala na 460 krzeseł, a przyszło ponad 800 osób, ludzie stali na dworze, żeby posłuchać – opowiada mi Wielichowska. – W pewnym momencie zaczęliśmy mocno wierzyć, że pomimo tego hejtu, nieustannej propagandy w TVP, zwycięstwo jest możliwe. Oni mieli cały aparat państwa, ale my mieliśmy Polki i Polaków, którym nie było wszystko jedno. To ludzie wygrali te wybory – podkreśla.

POWRÓT DO KRAJU PO PIĘCIU LATACH W BRUKSELI wymagał od Tuska odwagi.

– Nigdy nie przepadałem ani za polityką PO, ani za tą partią. Ale trzeba przyznać, że odwaga Tuska, podjęcie decyzji o powrocie do Polski – to wcale nie było oczywiste – przyznaje politolog Aleksander Smolar, były prezes Fundacji im. Ste-

fana Batorego. Tusk już wcześniej potrafił pójść pod prąd. W czasach PRL działał w opozycji demokratycznej. W 2007 r. nie uległ presji, by po rozpadzie koalicji PiS-Samoobrona-LPR wejść w koalicję z przystawkami, które znalazły się poza rządem.

– On wtedy postąpił dalekowzrocznie, mądrze i odważnie, choć wynik nie był oczywisty. Poszedł na wybory i wygrał. To, co działo się ostatecznie, przypomina tamto jego zachowanie. Człowiek, który doświadczył takiego awansu, miał zabezpieczoną też przyszłość materialną, był przewodniczącym Europejskiej Partii Ludowej, i on postanawia wrócić do Polski, żeby podjąć wyzwanie, wystąpić przeciwko PiS i Kaczyńskiemu osobiście – mówi mi Smolar. Postawie Tuska przeciwstawia zachowanie Aleksandra Kwaśniewskiego, który był bardzo popularnym prezydentem, najlepszym z dotychczasowych, a równocześnie nie zdecydował się na powrót do polityki, choć gdyby wrócił, to prawdopodobnie wyglądałaby ona inaczej.

– PiS nie zdominowałoby naszej polityki i wtedy byłaby walka między trzema formacjami – PiS, PO i Lewicą i wielkie problemy polskiej polityki by nie zaistniały. To pokazuje odwagę Tuska, który gotów był wrócić, kiedy to nie było oczywiste. Wiemy, w jakim punkcie była PO. Potrafił wyciągnąć Platformę i doprowadzić ją do zwycięstwa. Wcale nie jest oczywiste, czy opozycja by wygrała bez Tuska. Odegrał niesłyszczaną rolę i zapisał się w historii – ocenia politolog.

Część moich rozmówców uważa, że Tusk musiał wrócić, żeby wyrównać rachunki.

Sekwencja zdarzeń była nieubлагana. Kiedy w 2014 r. Tusk wyjechał, było to odbierane przez część opinii publicznej tak, że zostawił Polskę, wygrało PiS i zaczęło spychać kraj z demokratycznego kursu.

– On musiał wrócić, żeby odwrócić bieg wydarzeń, pokazać, że może Polska przez osiem lat była w czarnej dziurze, ale teraz wraca do Europy. Psychologia była tu kluczowa i z niej wynikała decyzja o powrocie – podkreśla Tomasz Siemioniak, wiceszef PO. – Tusk skończył kadencję przewodniczącego Rady Europejskiej, z drugiej strony nikt w kraju nie był w stanie podjąć się wyzwania odsunięcia PiS od władzy. Wyborcy to docenili, chyba nikt nie zaryzykuje tezy, że bez Tuska to by się tak samo skończyło – dodaje.

W najbliższym otoczeniu Tuska nie jest tajemnicą, że wrócił do polskiej polityki wbrew własnej rodzinie. Ani jego żona, ani dzieci nie były entuzjastami tej decyzji.

– Szef często powtarza, że zrobił to dla swoich dzieci i wnucząt. Oczywiście, to było związane z jego ambicjami, ale myślę, że miał takie poczucie, że jeśli nie wróci, to PiS na wiele lat się tu



AFERA PODSŁUCHOWA GO ZMieniŁA. SKOŃCZYŁ SIĘ „DWÓR”, CZYLI SPĘDZANIE WIECZORÓW PRZY WINIE I CYGARACH W ZAUFANYM GRONIE

TAK MÓWI WIELOLETNI ZNAJOMY TUSKA

rozgości i może być tak jak za komuny, że przez długie lata nie da się tego odkręcić – mówi zaufany współpracownik Tuska.

NA ILE PIĘĆ LAT SPĘDZONYCH W BRUKSELI zmieniło Donalda Tuska? Gdy wyjeżdżał z Polski, na krajowym podwórku był politycznym dominatorem, pierwszym liderem po 1989 r., który dwukrotnie wygrał wybory, co później powtórzyło PiS. Miał przekonanie, że kampanię w 2011 r. wygrał praktycznie jednoosobowo, wsiadając do tuskobusa i objeżdżając kraj. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że zmęczona władza, osłabiona aferą podsłuchową Platforma nie wygra trzeciej kadencji. Na dodatek ta afery pozbawiła Tuska złudzeń wobec własnego środowiska. Po jej wybuchu pozbył się z rządu i kancelarii premiera najbliższych współpracowników i zaczął być politycznym solistą.

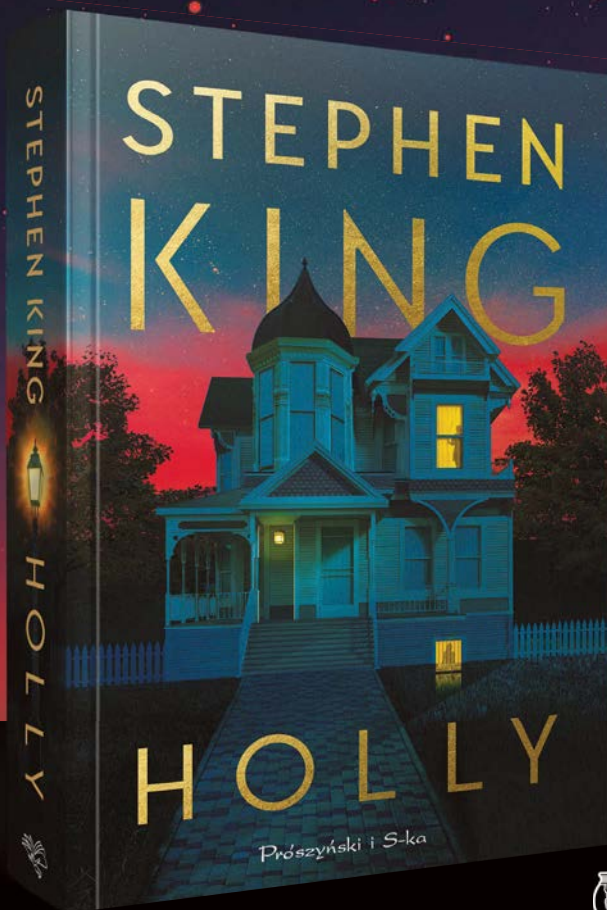
– Afera podsłuchowa zmieniła Tuska. Skończył się słynny „dwór”, czyli wspólne spędzanie wieczorów przy winie i cygarach w zaufanym gronie, oglądanie meczów piłkarskich – mówi mi wieloletni znajomy Tuska. W pewnym sensie symbolem tej przemiany był fakt, że Tusk coraz rzadziej grywał w piłkę, za to zaczął biegać.

Po powrocie do kraju nie sięgnął już po dawnych kompanów. Grzegorza Schetynę i Rafała Grupańskiego odesłał w ostatnich wyborach do Senatu. Ze starej ekipy zostali przy nim tylko Bartłomiej Sienkiewicz, były szef MSWiA, oraz Igor Ostachowicz, który formalnie pracuje w biznesie, ale pomagał w kampanii. Lider KO zaprosił do współpracy polityków z młodszego pokolenia – Borysa Budkę, który odstąpił mu stanowisko przewodniczącego, Marcina Kierwińskiego, sekretarza generalnego PO, i Jana Grabca, rzecznika partii.

Postawił też na kobiety, co było novum, bo wcześniej kobiety – zresztą nie tylko w PO – były traktowane jak „paprotki” albo – mówiąc bardziej dyplomatycznie – statystki.

– Kilka lat temu w polityce było mniej kobiet, teraz jest ich więcej. To się zmienia, tak samo jak podejście do aborcji. Pamiętam pierwsze głosowania sprzed lat, kiedy w Sejmie były przepisy liberalizujące aborcję, trzy-cztery osoby w PO głosowały za. Teraz Platforma jest za liberalizacją aborcji. Nie tylko Tusk, ale i większość z nas rozumiała, że kobiety zdecydują o wygranej w wyborach, ale nie tylko – że one po wyborach także będą coś znaczyć – zastrzega polityk z władz KO.

REKLAMA



KING IS THE KING

Patroni medialni

Newsweek

onet

na EKRANIE.PL

StephenKing.pl

OKOŃ
wsiedzi

CRIME+
INVESTIGATION
POLSAT

SMARNAZI
SMARNAZI.PL

BOOKLIPS.PL IIII

lubimyczytać

Monice Wielichowskiej Tusk zaproponował, żeby organizowała jego podróże po kraju. Wielichowska jest od 2007 r. posłanką KO, jedną z niewielu, które od początku opowiadały się za liberalizacją aborcji. Ma doświadczenie w zarządzaniu i organizacji. Zanim trafiła do Sejmu, była starostą jednego z największych powiatów w kraju. Oprócz tego prowadziła swoją firmę muzyczną. Była menedżerką kilku zespołów, organizowała trasy koncertowe, wydawała płyty. Pomagała w kampanii prezydenckiej Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, prowadziła akcję PO skierowaną do kobiet. Początkowo wahała się, czy przyjąć propozycję, bo to oznaczało, że przez dwa lata praktycznie nie będzie jej w domu. W końcu jednak się zgodziła. Oprócz niej w najbliższym otoczeniu Tuska znalazły się też Wioletta Paprocka, szefowa sztabu KO, i Agnieszka Rucińska, która objeżdżała z Tuskiem kraj i odpowiadała za kontakty z mediami. Wszystkie trzy mają dostać teraz propozycje objęcia ważnych stanowisk.

– Czasami po 16 godzin na dobę byliśmy na nogach. Pobudka o 5 rano, jeśli program wizyty na to pozwalał, szef biegł 8-10 km, żeby się rozbudzić. Sport to endorfiny, przypływ energii. Donald tak odreagowuje stres, ładuje akumulatory. Spotkania z ludźmi były pełne emocji. Tusk najbardziej przeżywał, kiedy przychodziły dzieci i skarżyły się, że psychiatria dziecięca nie działa, trzeba więcej psychologów, bo po pandemii młodzi są w kryzysie, że rodzice siedzą w telefonach i nie zwracają na nich uwagi, że w szkole jest źle – mówi jeden ze sztabowców Tuska.

Dodaje, że szef wymaga od współpracowników 100 proc. zaangażowania, bo sam jest zaangażowany na sto procent. Ale najbliższe otoczenie dobiera tak, by czuć się komfortowo. – Gdy spotyka się z Bašką Nowacką [liderka koalicyjnej Inicjatywy Polska – red.], to wiadomo, że zaraz zjedzie na temat aborcji, będzie krytyka, że PO jest zbyt konserwatywna i robi się z tego sparing – relacjonuje jeden z moich rozmówców.

Jednak polityk znający Tuska od ponad 30 lat przekonuje, że nie jest tak, iż lubi on się otaczać potakiwaczami.

– Donald lubi dyskuszę i ma do siebie dystans. W bliższym kręgu potrafi śmiać się z własnych błędów i niedoskonałości. To mi się w nim zawsze podobało, że choć był moim szefem, nigdy nie miałem wrażenia, że nie można z niego zażartować. Tysiąc razy śmiałyśmy się z kampanii Kongresu Liberalno-Demokratycznego z 1993 r., która była bardzo nowatorska i zakończyła się tym, że KLD dostał 3,99 proc. głosów i nie wszedł do Sejmu. Tusk do dziś wspomina, że nasze hasło o milionie miejsc pracy wisiało na więzieniu w Gdańsku, a marszem kobiecej orkiestry przez Warszawę wyprzedziliśmy własną epokę – śmieje się mój rozmówca.

WEDŁUG ALEKSANDRA SMOLARA SŁABOŚCIĄ TUSKA z lat 2007-2014 było to, że nie był zwolennikiem wielkich wizji programowych.

– Sam o sobie mówił, że jest miękkim populistą, a u schyłku swoich rządów powiedział, naśladując Helmuta Schmidta, byłego kanclerza RFN, że jak ktoś chce wizji, to niech idzie do psychiatry. Tusk powiedział to wtedy, kiedy już było widoczne, że bez wizji, przedstawienia koncepcji rozwoju, nie ma szans na zwycięstwo – mówi mi Smolar. – „Ciepła woda w kranie” jako program nie wystarczała. Tusk potrafił świetnie wykorzystywać antypis, tak jak Kaczyński potrafił wykorzystywać antytusk, aż do groteski. Drugi problem z Tuskiem był czysto personalny. Kiedy był przywódcą wcześniej, niszczył wszystkich swoich konkurentów, właściwie bardziej niż Kaczyński. Przy całej jego historycznej roli to są punkty jego słabości – dodaje politolog. Jednocześnie ma nadzieję, że teraz Tusk będzie potrafił zbudować wokół siebie zespół.

– On ma za sobą bardzo poważną szkołę międzynarodową. Jego stanowisko to był taki middleman, który miał szukać porozumienia między przywódcami i przygotowywać posiedzenia Rady Europejskiej. Teraz będzie miał do czynienia z Hołownią, Kosiniakiem-Kamyszem, przywódcami Lewicy i to nie są ludzie od niego zależni. Choć politycy PO twierdzą, że Trzecia Droga zdobyła tak wysokie poparcie dzięki nim, ja w to wątpię. To było widać w debacie w TVP, kiedy świetnie wypadli Joanna Scheuring-Wielgus z Lewicy i Hołownia, a najgorzej Tusk i Morawiecki. To,

co oni wówczas pokazali, to była karykatura POPiS-u, skłaniająca do głosowania na bardziej umiarkowaną Trzecia Droga – ocenia Smolar. – Tusk z jego inteligencją i doświadczeniem zagranicznym będzie szukał porozumienia, choć to może nie być łatwe. Czy on będzie w stanie stworzyć zaplecze intelektualne, taki think tank, który będzie mu przygotowywać koncepcje zmian, to się okaże – zaznacza politolog.

Jednak w KO panuje przekonanie, że paradoksalnie czteropartyjna koalicja może sprzyjać wypracowaniu kompromisu.

– Tusk ma wielką inteligencję emocjonalną. Potrafi odczytywać dążenia ludzi, to, na czym im zależy, i potrafi z tymi ludźmi rozmawiać. Gdy spotyka się z kimś, kto pasjonuje się NBA, potrafi wymienić najlepszych koszykarzy, a w rozmowie z miłośnikiem twórczości Ortegi y Gasset – jego wczesne książki – zaznacza wieloletni znajomy Donalda Tuska. – Zawsze oczarowywał w ten sposób ludzi, a im jest starszy, tym jest w tym lepszy. **N**

”

**TUSK JEST W STANIE
WIELE ODDAĆ TRZECIEJ
DRODZE I LEWICY, BO
ZALEŻY MU NA TYM, ŻEBY
TEN RZĄD POWSTAŁ JAK
NAJSZYBCIEJ**

– TAK MÓWI BLISKI WSPÓLPRACOWNIK LIDERA KO

renata.grochal@newsweek.pl

KATEDRA ŚW. ELŻBIETY | KOSZYCE

SŁOWACJA

ZASKAKUJĄCA

TRAVEL TO
SLOVAKIA
GOOD IDEA

www.slovakia.travel



WYZWANIA DLA NOWEGO RZĄDU

Potrzebujemy koalicji, ale nie jednomyślności

Jeśli nowy układ rządowy nie utonie w sporach o wszystko, to jego koalicyjny charakter dobrze nam zrobi, stworzy naturalną przestrzeń do debaty publicznej – mówi politolog RAFAŁ MATYJA

TEKST JAKUB MAJMUREK

NEWSWEEK: Przed wyborami PiS straszyci „koalicj3 chaosu”, zlozon3 z 11 partii – bo tylu mozna si3 doliczyc w ugrupowaniach popierajacych nowy rz3d. To problem czy szansa, by przywrócic bardziej demokratyczny model rz3dzenia?

RAFAŁ MATYJA: Nowe polityczne rozdanie jest szans3 na powrót do pewnej normalnošci, do elementarnego pluralizmu politycznego. Naprawd3 nie jest tak, że polskie społeczeństwo dzieli si3 na dwie wielkie homogeniczne grupy, tylko wyst3puje w nim wiele zróżnicowanych postaw politycznych. Ješli wi3c nowy ukł3d rz3dowy nie utonie w sporach o wszystko, to jego koalicyjny charakter dobrze nam zrobi, stworzy naturaln3 przestrzeñ do debaty publicznej.

Osiem lat rz3dów PiS przyniosło załamanie nie tylko w obszarze j3zyka użwanego w propagandzie, ale też psuło atmosfer3 po drugiej stronie. W reakcji na totalizm piŃsowskiej propagandy rodziła si3 potrzeba jednomyšlnej odpowiedzi – mam nadzieję, że to odeszło w przeszłość. Bo teraz potrzebujemy koalicji, ale nie jednomyšlnošci.

Przeciw czemu albo za czym Polacy zagłosowali tak licznie?

– Cz3ść wyborców na pewno bardzo zniechęciła si3 do PiS. Przejrzałem map3 strat rz3dzącej partii. Widać, że bardzo straciła w dużych miastach, ale także w mniejszych ošrodkach. W ci3gu ostatnich czterech lat wiele rzeczy mogło zniechęcać do PiS: pandemia i lockdowny, pi3tka dla zwierząt, drożyzna. Mimo to notowania sondażowe nie były złe – co moze sugerować, że zawiodła kampania. **Co konkretnie?**

– Myślę, że PiS zaszkodziło głównie to, co mówił premier. Bo prezes Kaczyński mówił to, co zawsze, i ludzie niczego innego od niego nie oczekiwali. To, co mówił premier, było natomiast zaskakujące w ustach człowieka, który uchodził za pragmatyka, skupionego na rz3dzeniu krajem, a nie na miotaniu obelg wobec przeciwników politycznych. J3zyk premiera mógł wytworzyć u cz3ści wyborców PiS poczucie, że partii, mówiac potocznie, „peron odjechał”. Druga kwestia, która mogła zaszkodzić, to kształt

list wyborczych. Układano je wedle karypsów Nowogrodzkiej, a nie pod kątem takiego ustawienia, by wycisnąć w każdym okr3gu maksymalny wynik. **Przykładem moze być „manewr świątokrzyski” Kaczyńskiego, który kosztował PiS dwa mandaty w stolicy i dwa w okr3gu kieleckim?**

– Tak, Świątokrzyskie to dobry przykład. Jednocześnie tam widać wyraźne osłabienie, ale nie klęsk3 PiS. Wynik głosowania nie jest jeszcze czerwonn3 kartk3 dla partii Kaczyńskiego. Drugi odczyt z wyborów, choć już mniej pewny, wydaje si3 sugerować, że opozy-

” Tezy o jakimś szczególnym konserwatyźmie elektoratu Trzeciej Drogi to na razie fantazje wyborcze

cja zyskała, bo poszła na trzech listach. Widać to zwłaszcza po dobrym wyniku Trzeciej Drogi, który uratował wynik całej opozycji.

Wiemy, kto dokładnie poparł Trzeci3 Droge? Pojawiły si3 głosy, że swój sukces zawdzi3cza głosom konserwatystów zniechęconych do PiS i że to powinien być sygnał dla nowej wi3kszošci, by w zmianach światopogl3dowych zachować ostrożnošć.

– Pierwsze wraźenie, z pobieżnej analizy danych wyborczych, jest takie, że Trzecia Droga miała bardzo dobre wyniki tam, gdzie najbardziej wzrosła frekwencja. Media skupiły si3 na rekordowej frekwencji w dużych miastach, ale ona jeszcze bardziej wzrosła na prowincji. A wi3c o wyniku wyborów mógł zadecydować elektorat, którego jeszcze nie potrafimy do końca politycznie przyporządkować: „trzeci-drogowo-prowincjonalny”, ale nieko-

niecznie konserwatywny. Tezy o jakimś szczególnym konserwatyźmie elektoratu Trzeciej Drogi to na razie fantazje wyborcze. Za poparciem dla tej listy mógł równie dobrze stać l3k wyborców z mniejszych ošrodków przed Tuskiem i powrotem do liberalnej polityki gospodarczej z lat 2011-2014.

Dlaczego po te głosy nie sięgnęła Lewica?

– Elektorat lewicowy zmalał, w miastach widać to nawet w liczbach bezwzględnych. Najpewniej cz3ść elektoratu Lewicy z 2019 r. przepłynęła do Platformy, moze cz3ść do Trzeciej Drogi. Nie mamy twardych danych pozwalajacych nam ocenić, dlaczego tak si3 stało, ale gdybym miał stawiać jak3ś hipotez3, to powiedziałbym, że Lewica w tej kampanii zrobiła bład, za bardzo zbliżając si3 do Koalicji Obywatelskiej, zwłaszcza że KO była jej w stanie podebrać cz3ść wyborców, przyjmując niektóre progresywne postulaty.

Nowa koalicja nie zakłinczuje si3 w sporze z Andrzejem Dud3?

– Opozycja nie ma dziś moźliwosci przełamania weta, co najbardziej osłabia jej mandat do rz3dzenia. Ale pole gry moze si3 jeszcze poszerzyć. Gdyby nowa koalicja porozumiała si3 w konkretnych sprawach z Konfederacj3, to przybliżyłaby si3 do wi3kszošci koniecznej do odrzucenia weta. A i nie wszyscy posłowie PiS mog3 mieć ochot3, by iść na wojnę z nowym rz3dem. Choć nawet przy spełnieniu tych warunków przełamanie weta prezydenckiego będzie trudne.

Co jest największym wyzwaniem stoj3cym przed now3 wi3kszošci3?

– Moim zdaniem to przede wszystkim zarządzanie koalicj3 w inny sposób niź wymuszanie na słabszych partnerach, by robili to, czego chce Tusk. Ważny jest tu zwłaszcza pierwszy rok funkcjonowania, gdy czekają nas jeszcze dwie kampanie wyborcze: do samorz3du i europarlamentu. Dla nowej wi3kszošci kluczowe jest, by rozpoznać swój elektorat z 15 października i go nie stracić. Moze to przynieść lepsze efekty niź w ostatnich wyborach, bo w przyszłym roku moźna spodziewać si3 pewnej demobilizacji elektoratu PiS – tak na ogół si3 dzieje

w wyborach organizowanych po tym, gdy partia przegrywa wybory parlamentarne. **Te dwie kampanie nie podzielą nowej większości?**

– Ona przynajmniej w samorządzie ma wspólny cel: wygrać wybory lokalne w większości regionów, odbić je PiS. Za rok opozycja wobec PiS nie będzie już bowiem grać na remis, jak w 2018 r. Pojawi się tu wiele pytań: czy wystawiać wspólnie kandydatów na prezydentów miast, na ilu listach iść do sejmików wojewódzkich. Wspólny cel powinien jednak chronić przed skłóceniem. Pierwszy rok rządów nowej większości skończy się w listopadzie 2024 r., gdy faktycznie zacznie się już działanie w logice nowej kampanii, prowadzącej do wyborów prezydenckich w 2025 r. Do tego czasu ważne jest, by nowa większość wypracowała jakiś model negocjowania wspólnej polityki.

Drugim wyzwaniem jest sterowność koalicji. Będzie musiało powstać jakieś centrum decyzyjne nowego układu. Pytanie: gdzie? Jak będzie układało swoje relacje z zapleczem eksperckim? To ważne, bo świat stał się znacznie bardziej skomplikowany od czasu, gdy Donald Tusk odchodził z polskiej polityki. Nowy rząd będzie działał w warunkach wielostronnego kryzysu w naszym otoczeniu międzynarodowym. Państwo będzie też o wiele bardziej zniszczone po PiS, niż było, gdy Tusk przejmował władzę w 2007 r. – PiS wtedy tak naprawdę niczego jeszcze nie zdążyło trwale popsuć.

Czy opozycji nie będzie trudno dotrzymać wielu obietnic, które złożyła w kampanii? Czy to w sprawie przywrócenia praworządności, czy uzdrowienia służby zdrowia?

– Na pewno to będzie przedmiotem negocjacji i sporów. Często przebiegających w poprzek partyjnych podziałów. Bo nie jest tak, że cała KO albo cała Lewica ma jedną wizję polityki publicznej w ochronie zdrowia czy w edukacji. Wracamy do problemu zarządzania koalicją i negocjacji stanowisk.

Jak negocjować między obietnicami kwoty wolnej do 60 tys. zł i powrotu do naliczania składki zdrowotnej dla przedsiębiorców sprzed Polskiego Ładu z jednej strony a obietnicami

zwiększenia wydatków na zdrowie do 8 proc. PKB?

– Realia rządów koalicyjnych poniekąd zakładają, że żadna z tworzących koalicję sił nie dowiezie w pełni tego, co obiecywała w kampanii. Tak samo jest z praworządnością. Tu też trudno spełnić wszystkie obietnice i z pewnością zapadną decyzję, które nikogo nie zadowolą, bo część zaplecza nowego rządu chce radykalnych rozliczeń, twórczo traktujących literę prawa, inni się tego obawiają.

W sprawie kwoty wolnej warto powiedzieć, że jej kolejne podwyższenie uderza w istotnego sojusznika KO, czyli

” Nawet jeśli KO przeszła za sprawą Tuska pewną progresywną korektę, to pozostaje centroprawicą

w samorząd lokalny. Już Polski Ład poważnie obciążył fundusze władz lokalnych. Uzdrowienie sytuacji na styku rząd-samorząd to moim zdaniem zadanie na pierwszy miesiąc funkcjonowania nowego rządu.

Po centralizmie PiS w relacjach z samorządem czeka nas powrót do stanu sprzed 2015 r.?

– W polityce nie ma Ctrl-Z, nie da się też tego zrobić w sprawie samorządów, bo od 2015 r. pojawiło się wiele nowych wyzwań. Ustawę metropolitalną PO przyjęła dopiero na samym końcu swoich rządów, w październiku 2015 r. PiS ją wywróciło. Dziś widać, jakim problemem jest brak tej ustawy. Nowy spis powszechny pokazał, jak wygląda demografia i jakie będą konsekwencje, wręcz cywilizacyjne, sytuacji, w której wielkie miasta dalej nie będą miały narzędzi do współpracy z otaczającymi je gminami, gdzie osiedla się coraz więcej ludzi pracujących w miastach. Pierwszym krokiem w relacjach z samo-

rządem powinno być przywrócenie elementarnego zaufania i przewidywalności w kwestiach finansowych.

Nowej większości nie wysadzą kwestie światopoglądowe? Będzie w stanie ustalić jakiś wspólny program w kwestii aborcji albo praw osób LGBT+?

– To będzie jedno z poważniejszych wyzwań. Część wyborców nowej większości odczytuje jej zwycięstwo jako sygnał do wyraźnej, progresywnej zmiany. Największą przeszkodą dla przeprowadzania ustawowych zmian wychodzących naprzeciw tym oczekiwaniom będzie prezydent. Pytanie, czy nowa koalicja będzie to potrafiła tak rozegrać, by wina za brak zmian, jakich oczekuje część jej wyborców, spadła na prezydenta, a nie np. na PSL. Wiele będzie zależało od dobrej woli skrzydła konserwatywnego – czy pozwoli rządowi rozwiązać pewne sprawy pozaustawowo, czy da sygnał, że po 2025 r. nawet pewne ustawowe zmiany będą możliwe. Warto jednak mieć świadomość, że wybory wygrały partie centroprawicowe. Nawet jeśli KO przeszła za sprawą Tuska pewną progresywną korektę, to pozostaje centroprawicą. Takie wyniki nie są zapowiedzią bardzo daleko idących zmian. Te zmiany wcześniej czy później się dokonają, są nieuchronne, ale nie uda się ich uchwalić w pierwszych stu dniach nowego rządu.

Na ile ta progresywna korekta KO objęła kwestie socjalne i gospodarcze? Bo już toczy się spór, czy rząd nie powinien wrócić do polityki zaciskania pasa, bo trzeba załatać „dziurę Morawieckiego” i pieniędzy na realizację obietnic wyborczych nie ma. Korekta społeczna, jaka dokonała się w czasach PiS, nie będzie zagrożona?

– Na pewno będzie przedmiotem sporu wewnątrz nowej koalicji. Niekoniecznie będzie się on układał po czysto partyjnych liniach. Ten spór będzie miał więcej wymiarów niż rygorystyczny monetarny, o którym pan wspominał. Bo nawet jeśli nowy rząd uzna, że pieniądze są i nie robimy radykalnych cięć, to jest pytanie, komu je dać. Czy przeznaczyć je na 800+ lub inne programy bezpośredniej redystrybucji, czy np. dofinansować sektor

publiczny? Czy podnieść płace nauczycielom, czy świadczenia rencistom i emerytom? To będą realne wybory, bo nikt nie twierdzi, że pieniądze są na wszystko. Najciekawszym pytaniem jest to, na ile Donald Tusk po latach spędzonych w Brukseli zmienił zdanie w temacie: czy kapitalizm potrzebuje korekty? To się może przekładać na istotne decyzje polityczne nowego rządu.

Mógłby pan podać konkretny przykład?

– Weźmy mieszkalnictwo. W Polsce miasta kształtują dziś nie tyle deweloperzy, ile rynek kredytów hipotecznych i sytuacja, w której nie ma gdzie uciec z oszczędnościami. Mieszkanie stało się dla wielu osób optymalną lokatą kapitału i coraz więcej mieszkań buduje się tylko jako przedmiot inwestycji. To jest stymulowane nie przez politykę państwa, ale przez wewnętrzną logikę ka-

pitalizmu. I tu pojawia się pytanie, czy polityka powinna poddać ten proces jakiejś korekcie.

Programy oparte na dopłatach do kredytów hipotecznych zakładają: niech się mury pną do góry, niech to się wszystko kręci, państwo co najwyżej ma pomóc wejść w ten układ kolejnym osobom. Tymczasem wiadomo, że wszyscy nie wejdą, i jest pytanie, co z ich potrzebami mieszkaniowymi.

Albo inny, powiązany problem. Kapitalizm zbudował nam rynek pracy, gdzie dobrze płatne miejsca pracy skupiają się w kilku dużych miastach. To ściąga do tych aglomeracji kolejne osoby, podbijając ceny mieszkań i tworząc strukturę osadniczą, która wcale nie jest optymalna z punktu widzenia walki ze skutkami zmian klimatycznych. Co z tym robimy? O to samo można zapytać w kontekście polityki państwa wobec gigantów IT.

Unia Europejska prowadzi z nimi walkę i próbuje uregulować ich działanie. Polskie rządy zachowywały się w tej sprawie jak dotąd mocno ambiwalentnie. Pytanie brzmi: czy podchodzimy do gospodarki jak w latach 90., czy jak kraj UE? Liczę, że europejskie doświadczenie mogło zmienić Tuska. Że zobaczył, jak to wygląda z perspektywy Brukseli, i wie, że boomeryzm gospodarczy jest dziś równie poważnym problemem co obyczajowy. **N**

Jakub Majmurek



Zeskanuj kod
i przeczytaj pełną
wersję rozmowy
z Rafałem Matyją

REKLAMA



magazyn

Newsweek
HISTORIA

N

W numerze m.in.:

- Jak przeciętny komunista został namiestnikiem Stalina w Polsce?
- Skąd się wziął „Mały kapral”? Poznaj przyczyny militarnego i politycznego sukcesu generała Napoleona Bonapartego.
- Dlaczego Bolszewicy byli tak bezlitośnie nieludczy? O wojnie domowej w Rosji.

Od 9 listopada szukaj w salonach prasowych, na Literia.pl i czytaj **w pakiecie onet premium**

Historia do potęgi **Newsweek**

POLITYCZNE ZŁOTO

Andrzej Stankiewicz Episkopat boi się Tuska



Rzykowna inwestycja episkopatu w Kaczyńskiego właśnie kończy się kłopotami. Dlatego kardynałowie, arcybiskupi i biskupi nagle przypomnieli sobie numery telefonów do polityków PSL. Liczą na to, że ludowcy ochronią ich przed gniewem Tuska.

Nikt nie dał Kościołowi przez ponad trzy dekady III RP więcej niż Jarosław Kaczyński w ciągu dwóch mijających kadencji rządów PiS. Skierował do kościelnych instytucji sięgający setek milionów złotych strumień gotówki. Najbardziej widowiskowym beneficjentem był ojciec Tadeusz Rydzyk, który dostał pewnie z pół miliarda. Nie ma wątpliwości – Kaczyński za pieniądze kupował sobie poparcie Kościoła. Szkoda, że za nasze.

Pieniądze to jedno. Ale Kościół lubi mieć też wpływ na władzę i za rządów PiS to dostał. Kaczyński dał biskupom zaostrenie prawa aborcyjnego – zrobił to po to, aby na stałe związać tron z ołtarzem. Nie przewidział, że słono za to zapłaci. Pod koniec 2020 r., po decyzji Trybunału Przyłębskiej w sprawie aborcji, notowania PiS na stałe spadły o kilka punktów i już nigdy nie wróciły do poziomu 40 proc., który gwarantował Kaczyńskiemu hurtowe zwycięstwa.

Jeden z wysokiej rangi polityków PiS powiedział mi niedawno, że po wyborczej klęsce Kaczyńskiego część biskupów uznała, że zaostrenie prawa aborcyjnego było jego błędem. Szkoda, że zrozumieli to dopiero, gdy w oczy zajęrzało im widmo rządów Tuska.

Kaczyński dał episkopatowi jeszcze jedno, być może najważniejsze – poczucie bezpieczeństwa. Za jego rządów żadnemu biskupowi nie spadł włos z głowy za tuszowanie skandali pedofilskich. Prokuratura ani razu nie odwiedziła żadnej kurii. Powołana pod naciskiem opinii publicznej Państwowa Komisja ds. Pedofilii była jedynie wybiegiem. Biskupi przez nią przesłuchiwanie zachowywali się butnie, słusznie zakładając, że realną władzę ma Kaczyński – który nic im nie robi, bo taka jest istota ich sojuszu.

Za rządów PiS biskupi zamienili się w akwizytorów politycznych – za pieniądze, władzę i bezkarność. Miarą politycznego upadku episkopatu było to, jak ważny stał się abp Marek Jędraszewski, który zgodnie z linią partii walczył z Brukselą i LGBT, podsycił wiarę w zamach smoleński, a w finale kazał dziękować Bogu za to, że dał nam braci Kaczyńskich.

Po raz pierwszy w III RP Kościół stracił swój instynkt, który latami pozwalał mu budować poprawne relacje z każdą rządzącą ekipą, łącznie z postkomunistami z SLD.

Dzięki temu może Kościół nie miał tyle pieniędzy i tyle władzy co za PiS, ale zręcznie sobie radził w III RP i nikt nigdy nie wypowiedział mu wojny.

Co zrobi Tusk? Jako nowy szef rządu będzie chciał poukładać relacje z Kościołem na nowo – to koniec sojuszu tronu z ołtarzem. Wciąż co prawda większość sejmowych formacji deklaruje związki z Kościołem – zwłaszcza PiS, Konfederacja i PSL. Ale jednocześnie wiele głosów w wyborach zebrała odmieniona Platforma Obywatelska, którą Tusk zwrócił bardziej na lewo – ku liberalizacji aborcji i ograniczeniu przywilejów Kościoła.

Do tego w rządzie będzie intensywnie antyklerykalna Lewica i partia Szymona Hołowni, niedoszłego zakonnika, który dziś dystansuje się od biskupów.

Jednym słowem – po raz pierwszy w historii III RP dojdzie do władzy koalicja, która realnie może ograniczyć pozycję episkopatu. Dla jasności – jeśli do takich rozliczeń

Po raz pierwszy w historii III RP dojdzie do władzy koalicja, która realnie może ograniczyć pozycję Kościoła

dojdzie, będzie to skutek niemądrej polityki biskupów, którzy nie zakładali, że Kaczyński odda władzę.

Czego się może spodziewać Kościół? Cofnięcia wszystkiego, co dostał od PiS. Ucięte zostaną państwowe przelewy, a dotacje dla Rydzyka sumiennie sprawdzone. Tusk sugerował nawet, że skonfiskuje redemptoryście państwowe dotacje wypłacone przez PiS, tyle że Rydzyk jest zbyt sprytny, żeby to było proste. W dodatku nowa koalicja na pewno poluzuje prawo aborcyjne. Wściekłość na biskupów za ich wspieranie twardych rządów PiS jest tak duża, że zmiany mogą dotyczyć religii w szkole.

Biskupi już to wiedzą. Dlatego odgrzebali numery telefonów do polityków PSL – ludowcy będą w nowym rządzie jedyną formacją, która może ich ochronić. Szkopuł w tym, że latami nadskakując Kaczyńskiemu, duchowni pomagali mu także osłabiać PSL na wsi – wśród ludowców do dziś żywe są wspomnienia dożynek w terenie, gdzie lokalni księża patrzyli na nich wilkiem.

Nawet jeśli nie chcą wojny z Kościołem, to nie ma w nich wielkiego entuzjazmu, by w ciemno bronić biskupów.

Tak, Kościół w Polsce czeka czas próby. Przejrzystości finansowej, rozliczenia afer seksualnych, odklejenia się od państwa – test normalności. **N**

Andrzej Stankiewicz jest dziennikarzem Onetu i współtwórcą podcastu „Stan wyjątkowy”



Marcin Józefaciuk
- lista KO w okręgu łódzkim (8893 głosy)



Agnieszka Wojciechowska van Heukelom - lista PIS w okręgu łódzkim (10 557 głosów)



Karina Bosak - lista Konfederacji, w tzw. obwarzanku warszawskim (21 217 głosów)



Łukasz Litewka - lista Lewicy w okręgu sosnowieckim (40 579 głosów)

Newsweek **POLITYKA**

PIERWSZY RAZ NA WIEJSKIEJ

SENSACYJNI DEBIUTANCI

Weszli do Sejmu przebojem, pokonując faworytów. W każdej partii jest przynajmniej jedno takie zaskoczenie

TEKST ALEKSANDRA PAWLICKA



Adam Gomoła – lista Trzeciej Drogi (Polska 2050) w okręgu opolskim (21 923 głosy)



Agnieszka Kłopotek – lista Trzeciej Drogi (PSL) w okręgu bydgoskim (11 049 głosów)



FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM, DAMIAN LUGOWSKI/FORUM, WOJCIECH OLUKUSNIK/EAST NEWS, PIOTR MOLECKI/EAST NEWS, PAWEŁ SUPERNIAK, JAN BIELECKI/EAST NEWS

Pewnie największą niespodzianką wyborów jest Łukasz Litewka, debiutant z Sosnowca, startujący z ostatniego miejsca list Lewicy. Miał wynik niemal dwukrotnie lepszy niż lider partii Włodzimierz Czarzasty. Na banerach wystąpił z psami do adopcji.

– Psy pomogły? – pytam.

– Zwróciły uwagę, ale co najważniejsze, cztery z dziesięciu, które pojawiły się na moich banerach, znalazły w czasie tej kampanii nowy dom – odpowiada.

– Rozmawiał pan z Włodzimierzem Czarzastym po wyborach?

– Oczywiście. Pogratulowaliśmy sobie nawzajem. Okręg, z którego startowaliśmy, jest jedynym w Polsce poza Warszawą, gdzie Lewica wzięła dwa mandaty. To nasz wspólny sukces.

Z powyborczych statystyk wynika, że w poselskich ławach zasiądzie w tej kadencji ponad 100 debiutantów – to przeszło 20 proc. parlamentarzystów.

BURZA I ZRZUTKA

LITEWKA TO LOKALNY AKTYWISTA, SAMORZĄDOWIEC, którego konto na Facebooku obserwuje 260 tys. osób. To za jego pośrednictwem Litewka prowadził różne akcje. – Najgłośniejszy był przypadek dziewczynki z rdzeniowym zanikiem mięśni. W ciągu 20 dni zebraliśmy ponad 5 mln zł. Sam bym tego nigdy nie zrobił – mówi „Newsweekowi”.

Organizował pomoc dla osób starszych, chorych, bezdomnych. Pierwszy raz rozmawialiśmy, gdy wybuchła wojna w Ukrainie. Litewka ogłosił zbiórkę na szpital polowy. – To była jedna z pierwszych zrzutek po wybuchu wojny. Zebraliśmy ponad 100 tys. zł – mówi już jako poseł. Wcześniej przez dziewięć lat był radnym, którym został, jak podkreśla, dzięki łutowi szczęścia: – Wpisano mnie na listę jako zapchajdziurę, gdy dwie kolejne osoby zrezygnowały. Byłem człowiekiem z ulicy, na którego nikt nie stawał.

15 października zdobył mandat poselski i napisał na Facebooku: „Teamie Litewko, to ogromny zaszczyt! Zamiatalem ulice w Londynie, po powrocie do Polski byłem sprzedawcą w sklepie odzieżowym, kurierem i przedstawicielem handlowym. Zawsze chciałem być blisko ludzi”.

Już jako poseł wraz z życzeniami świątecznymi wysłał zaproszenie na spotkanie wszystkim organizacjom zajmującym się zwierzętami, to ma być burza mózgów w sprawie poprawy losu zwierząt.

– Ma pan psa? – pytam.

– Jasne, nazywa się Burza, gdyby był chłopak, nazywałby się Piorun.

MAŻ MÓWI: PANI POSEŁ

GŁOŚNĄ DEBIUTANTKĄ JEST BEZ WĄTPIENIA KARINA BOSAK, żona jednego z liderów Konfederacji Krzysztofa Bosaka. Będą teraz jednym z dwóch sejmowych małżeństw (drugim są Kinga Gajewska i Arkadiusz Myrcha, oboje z KO).

Karina Bosak to działaczka ultrakatolickiej organizacji Ordo Iuris stojącej za projektami ustaw zakazujących wstępu do szkół organizacjom pozarządowym zajmującym się edukacją seksualną, zaostrzających prawo aborcyjne i zamykających osobom transseksualnym drogę do zmiany płci. Jako prawniczka specjalizuje się w przeciwdziałaniu chrystianofobii, czyli – jak tłumaczyła w jednym z wywiadów – atakom środowisk LGBT na religię, m.in. „znieważaniu Matki Boskiej na marszach równości”. Jest dyrektorką Centrum Wolności Religijnej, które tego typu działania określa jako prześladowcze.

– Co zdecydowało o starcie w wyborach? – pytam.

– Chęć wsparcia Konfederacji. Do polityki powinni iść ludzie dobrzy i posiadający kompetencje. Dotychczas polityka nie była w moim życiu zawodowym priorytetem i nie spodziewałam się zdobycia mandatu. To wielki kredyt zaufania, którym obdarzyli mnie wyborcy, i zrobię wszystko, aby ich nie zawieść – odpowiada.

Startowała z drugiego miejsca i zdobyła ponad dwa razy więcej głosów niż jedynka, czyli Janusz Korwin-Mikke, pozabawiając go szansy na mandat. Przyznaje, że od tamtego czasu ze sobą nie rozmawiali.

Karina Bosak chce zaangażować się w prace parlamentarnego zespołu opieki okołoporodowej stworzonego przez posłów Konfederacji. W listopadzie urodzi trzecie dziecko. Zapewnia, że przedyskutowała z mężem podział obowiązków domowych, kiedy oboje staną się parlamentarzystami.

Łączą ich poglądy i pasja do tańca towarzyskiego. Krzysztof Bosak przed laty wystąpił w „Tańcu z gwiazdami”.

– Często tańczycie? – pytam.

– W ciąży to trochę trudne, ale gdy tylko jest okazja, Krzysztof stara się ze mną tańczyć – odpowiada.

Znanym nazwiskiem wśród debiutantów jest także Kłopotek. Tym razem w poselskich ławach zasiądzie Agnieszka Kłopotek, która zdobyła mandat z list PSL, podobnie jak przez wiele kadencji udawało się to jej mężowi Eugeniuszowi. Ona w tym czasie była działaczką samorządową. Eugeniusz od 2021 r. jest wójtem.

– Mąż zrezygnował z dużej polityki cztery lata temu. Ja uznałam, że trzeba zrobić w mojej karierze kolejny krok i zaważać o mandat parlamentarzysty. Zdobyłam ponad 11 tys. głosów. To motywuje i zobowiązuje – mówi „Newsweekowi” i dodaje ze śmiechem: – Mąż mówi do mnie teraz „pani poseł” i myślę, że jako społeczny asystent bardzo mi pomoże.

W Sejmie Agnieszka Kłopotek chce przede wszystkim zająć się przywróceniem finansowania procedury in vitro. – U siebie w sejmiku przeprowadziłam taki manewr jako prezeska kujawsko-pomorskiego stowarzyszenia Kobiety w Centrum. W Polsce rodzi się coraz mniej dzieci, kobiety boją się rodzić. Sprawą do załatwienia jest także zapewnienie w małych miejscowościach i na wsiach dobrze wyposażonych gabinetów ginekologicznych, które będą uwzględniały potrzeby także kobiet z niepełnosprawnościami i starszych.

– Poza tym – dodaje – moim celem są działania zwiększające udział kobiet w życiu publicznym: w gospodarce, na uczelniach, w mediach, bo nawet jeśli jest już ciut lepiej, to gdy przychodzi do decydowania czy wypowiedzania się w najważniejszych kwestiach, widzimy wciąż głównie mężczyzn. W obecnym Sejmie liczba kobiet zwiększyła się tylko o 1 proc. w stosunku do poprzedniego i wciąż nie przebiła pułapu 30 proc.

MARATOŃCZYK Z TATUAŻEM

JEDNĄ Z BARWNIJSZYCH POSTACI W PARLAMENCIE będzie zapewne poseł KO Marcin Józefaciuk. Anglista, nauczyciel, showman telewizyjny, ultramaratończyk, zdeklarowany singiel. Gdy pytam, które z tych określeń jest mu najbliższe, bez zastanowienia odpowiada: nauczyciel. Najbardziej lubi nieprzewidywalność i to, że ma kontakt z młodzieżą: – Można zmienić kawałek ich życia. Dzieciaki wyraziły zgodę, żebym poszedł do Sejmu, pod warunkiem, że nadal będę miał z nimi zajęcia. Jako poseł w ramach wolontariatu.

Jest nauczycielem siedmiu przedmiotów: od angielskiego do WF i od fizyki do etyki. W marcu tego roku został prowadzącym program „Nastolatki rządzą kasą” w TVN. – Jako dyrektor szkoły udzieliłem wywiadu jednej z łódzkich stacji, pokazały to „Fakty”, a potem przyszła propozycja współpracy. Szukali nowej twarzy i kogoś, kto ma dobry kontakt

z młodzieżą – mówi. Z tej pracy jako poseł musi zrezygnować.

Dlaczego zdecydował się kandydować do Sejmu? – Do stałem propozycję od łódzkiej KO, lubię wyzwanie, więc postanowiłem spróbować. Byłem przekonany, że się nie uda, traktowałem to jako nowe doświadczenie.

Jako poseł chce zająć się edukacją. – To mój konik. I coś, w czym się znam – mówi.

– Czas odczarnkować szkołę? – pytam.

– Powiedziałbym raczej, że chodzi o przywrócenie współpracy, aby dobrze czuł się w szkole zarówno ktoś o poglądach prawicowych, jak i lewicowych, ktoś, kto organizuje dzień papieski i tęczyowy piątek, a nie o przestawienie wajchy o 180 stopni, bo to będzie Czarnek bis.

Pasją nowego posła jest bieganie. Z okazji przypadającego w tym roku 600-lecia Łodzi, gdzie startował w wyborach, bie-



**GDY PIERWSZY RAZ
ZJAWIŁEM SIĘ W SEJMIE,
KILKORO POSŁÓW
PRZYZNAŁO MI SIĘ,
ŻE TEŻ MAJĄ TATUAŻE,
TYLKO NIEWIDOCZNE**

MARCIN JÓZEFACIUK, NOWY POSEŁ KO

gał codziennie przez sześć miesięcy. – Moje bieganie zaczęło się od odchudzania, bo jako nastolatek byłem bardzo duży. Najpierw crossfit, potem runmageddony, a w końcu odkryłem, że w życiu codziennym tam, gdzie chcę dotrzeć, krócej biegnę, niż jadę – opowiada.

Próbował pobić rekord Guinnessa, biegnąc na bieżni przez siedem dni 680 km. Prowadził przy tym zbiórkę na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Innym razem pokonał 305 km w 48 godzin, wspierając zbiórkę dla dzieci z chorobami nowotworowymi. Brał udział w sztafecie na 900 km pod hasłem: „Przełoń raka dla dzieciaka”.

– Moje bieganie jest może związane z męską depresją, bo ponoć wszyscy faceci w wieku około 40 lat chwyają się czegoś bardziej ekstremalnego – żartuje. Właśnie skończył 41 lat. W wywiadach deklaruje, że jest „zatwardziałym singlem”, bo „bycie singlem to wolność wyboru”.

Będzie najbardziej wytatuowanym posłem obecnej kadencji. – A mam jakieś dziury? – śmieje się, gdy pytam, kiedy zrobił pierwszy tatuaż. Wygląda tak, jakby tatuażu nie miał jedynie na twarzy. – Z tego, co wiem, to chyba jeszcze na podbiciu stóp – mówi. – Pierwsze tatuaże pojawiły się na studiach, większość tych widocznych powstała w pandemii, bo studio tatuażu było naprzeciwko szkoły i nie miało znaczenia, czy szkołę prowadzę online z pustego budynku, czy z łóżka tatuażysty. Gdy pierwszy raz zjawiłem się w Sejmie, kilkoro posłów przyznało mi się, że też mają tatuaże, tylko niewidoczne.

WYGRAĆ Z JANINĄ GOSS

Z LIST PiS DO SEJMU DOSTAŁA SIĘ AGNIESZKA WOJCIECHOWSKA VAN HEUKELOM. – To była moja trzecia próba, do trzech razy sztuka – mówi „Newsweekowi”.

W 2007 r. kierowała kampanią wyborczą Joanny Kluzik-Rostkowskiej, ówczesnej ministry w rządzie Jarosława Kaczyńskiego. – Kaczor rzucił mnie wtedy na Łódź, gdzie nikt mnie nie znał ani ja nikogo nie znałam. Ktoś powiedział o Agnieszce, którą Janina Goss wyrzuciła z partii – opowiada Kluzik-Rostkowska. Janina Goss to jedna z najbardziej wpływowych osób w otoczeniu prezesa Kaczyńskiego, przyjaciółka jego matki, łódzka baronowa PiS.

– Pamiętam, gdy zadzwonił do mnie Jarosław Kaczyński, wtedy premier, i powiedział: „Dzwoni Janina Goss i mówi, że masz natychmiast przestać pracować z jakąś Agnieszka” – wspomina Kluzik-Rostkowska. – Odparłam: „Albo mam wygrać te wybory, albo niech wygra je sobie Janina Goss. Rozumiem, że ją szanujesz, ale tego polecenia nie spełnię”. I Jarek stanął po mojej stronie. Można powiedzieć, że we dwie z Agnieszka wygrałyśmy z Janiną Goss.

Gdy pytam Agnieszka Wojciechowską van Heukelom o powód wyrzucenia z PiS, opowiada: – Zostałam usunięta na skutek intrygi ówczesnego szefa lokalnych struktur Jarosława Jagiełły.

Idiotyczną uchwałę przyjęto na podstawie donosów podrzuconych na wycieraczkę. Gdy intryga wyszła na jaw (donosy były pisane na zlecenie tego posła), uchwałą komitetu politycznego PiS zostałam przywrócona, ale wkrótce moja ówczesna szefowa, Joanna Kluzik-Rostkowska (byłam szefową jej biura poselskiego), wyszła z PiS, więc i ja wraz z nią wypadłam z partii. Wspólnie zakładałyśmy ugrupowanie Polska Jest Najważniejsza, gdzie do trwałam do końca już po jej przejściu do PO.

Kluzik-Rostkowska o nowej posłance mówi: „Absolutnie szalona, bardzo samodzielna i skutecznie uparta. Jeśli do czegoś dąży, to nie poprzestanie, dopóki nie osiągnie celu.

Na sali plenarnej będą siedzieć w ławach przeciwnych obozów politycznych. – Jako posłanka chciałabym doprowadzić do skutecznej nowelizacji prawa spółdzielczego, żeby wszyscy ludzie, którzy mieszkają w blokowiskach, odzyskali kontrolę nad własnym majątkiem. Spółdzielnie mieszkaniowe stanowią państwo w państwie. Zadbam o prawa lokatorów. Monitoruję tę kwestię od lat – mówi „Newsweekowi”.

Pytam, czym zajmowała się przed startem w wyborach. – Z racji bycia niepokorną nie miałam łatwo. Jako specjalistka zaangażowana w sprawy społeczne realizowałam różne zadania zleczone. Na skromną egzystencję pozwalał wynajem domu, który posiadałam w Holandii, gdzie przez lata mieszkalam i pracowałam – mówi.

Po wejściu Polski do UE jako przedstawicielka prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego organizowała biuro regionu w Brukseli. Była też koordynatorem polskiej delegacji w europejskim Komitecie Regionów.

TO IDZIE MŁODOŚĆ

NAJMŁODSZYM POSŁEM TEJ KADENCJI BĘDZIE 24-LETNI ADAM GOMOŁA. Eko-

nomista, absolwent Szkoły Głównej Handlowej, kończy teraz politologię na Uniwersytecie Warszawskim – pisze pracę magisterską pt. „Budowanie marki Polska 2050”. Z list tej partii startował w Opolu. Zdobył 22 tys. głosów, czyli więcej niż rywal ze stażem parlamentarnym – Janusz Kowalski czy Marcelina Zawisza.

Podkreśla, że wygrał, mając do dyspozycji tylko jeden billboard. – Wspomagało mnie kilkudziesięciu wolontariuszy i brat. Rzucił wakacyjną, studencką pracę i zaangażował się w moją kampanię. Jemu najwięcej zawdzięczam. Swoje zrobiły social media, w których czuję się swobodnie. W ostatnich dniach kampanii mieliśmy po kilkaset tysięcy wyświetleń dziennie.

– Co było główną zachętą dla wyborców w pana kampanii? – pytam.

– Wiele osób mówiło mi, że potrzebujemy świeżości, młodości w Sejmie. Biorąc pod uwagę frekwencję i udział młodych wyborców, sądzę, że to oni wygrali te wybory dla opozycji. **N**

aleksandra.pawlicka@newsweek.pl

”

TO BYŁA MOJA TRZECIA PRÓBA, DO TRZECH RAZY SZTUKA

AGNIESZKA WOJCIECHOWSKA VAN HEUKELOM,
NOWA POSŁANKA PiS



ZA KULISAMI SŁUŻB

Policja na słuchawkach

Byliśmy jak Kościół: jeśli ktoś dawał płamę, której nie udało się przykryć, to się go – jak księdza – przenosiło do innej parafii

TEKST MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ



Jarosław Szymczyk (drugi od lewej), podczas XXII Jasnogórskich Spotkań Środowiska Policyjnego, częstochowski plac Biegańskiego, 29 września 2023 r.

FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

Zaczęło się od tajnej narady w Komendzie Głównej Policji, dziewięć dni po wyborach. Generał Jarosław Szymczyk ściągnął komendantów wojewódzkich i stołecznego. Tam, jak ustalił Onet, padła propozycja: jeżeli teraz ogłoszą, że odejdą, dostaną wyższe dodatki do pensji zasadniczej. To duża pokusa, bo od wysokości ostatniego wynagrodzenia zależy wysokość emerytury.

Potem podobne rozmowy miały się toczyć z dyrektorami biur w KGP.

– To coś, co się chyba nie zdarzyło w żadnym europejskim kraju. Rodzaj dekapitacji policji na chwilę przed oddaniem władzy – mówi poseł Koalicji Obywatelskiej Bartłomiej Sienkiewicz, były minister spraw wewnętrznych. – To samo dzieje się w straży pożarnej i prawdopodobnie w straży granicznej. Po prostu postanowiono sparaliżować służby podległe ministrowi spraw wewnętrznych. Obietnica przyznania podwyżek tuż przed odejściem to perspektywa maksymalnie wysokich emerytur i zachęta do gromadnego odchodzenia – mówi Sienkiewicz.

– To ma znamiona propozycji korupcyjnej. Przypomina układ, w którym wszyscy mają się wzajemnie chronić. Trudno nie odczytywać tego w taki sposób: wy wiecie, co robiliśmy, my wiemy, co wy robiliście, trzymajmy się razem do końca i nie mówmy nic na siebie nawzajem – dodaje poseł Krzysztof Brejza. Zastanawia się tylko, co na to podatnicy.

Komendant główny – nawet bez specjalnego dodatku na koniec – miałby niezłą emeryturę, bo też i zarobki ma niezłe. Z oświadczeń majątkowych wynika, że po pierwszym roku pracy w KGP zarabiał średnio miesięcznie 23 tys. zł, ale w ubiegłym roku już o 10 tys. zł więcej (przychód za cały 2022 r. to ponad 399 tys. zł).

DZIAŁANIA OPERACYJNE

DO POSŁA BREJZY ZGŁASZA SIĘ CORAZ WIĘCEJ POLICJANTÓW, opowiadają, co się działo w tej formacji przez ostatnie osiem lat.

– Sytuacja w policji jest nawet gorsza niż w służbach specjalnych. Mam wraże-

nie, że w policyjnych strukturach udało się zbudować maszynę podporządkowania i zastraszania jeszcze skuteczniejszą niż gdzie indziej. Ludzie, którzy się do mnie zgłaszają, mówią o systemie zamkniętym, zabetonowanym. O tym, że widzieli nieprawidłowości, ale nie mogli zgłosić tego przełożonym, bo ci, którzy zgłaszali, od razu stawali się niewygodni. Słyszę, że były wobec nich wszczynane jakieś naciągane postępowania, próbowano ich zniszczyć – opowiada poseł Brejza. I dodaje, że do dnia wyborów wielu policjantów było w stanie zamrożenia strachem, teraz ten strach topnieje i coraz więcej mówią. – O nieprawidłowościach, mobbingu, atmosferze jak z czasów PRL. Chociaż to już chyba nie było tylko odtwarzanie klimatu socjalizmu, to szło dalej, w kierunku budowy państwa na wzór białoruski, gdzie policja i służby specjalne działają w sposób pozbawiony zasad i kontroli – twierdzi poseł Brejza.

Michał Kokot w książce „Polska na podsłuchu” wyliczył, że służby specjalne tylko w ubiegłym roku złożyły łącznie ponad 6 tys. wniosków o kontrolę operacyjną, co dawało po 30-40 dziennie. W tym samym czasie policja złożyła takich wniosków aż 11 tys. Poza podsłuchami są jeszcze inne możliwości: śledzenie, zbieranie danych z różnego rodzaju baz, rejestrów, urzędów. A przede wszystkim policja bez żadnego trudu może sprawdzać billingi – Fundacja Panoptikon wylicza, że zaczęto to robić masowo, tysiącami dziennie. Funkcjonariusze mają stały dostęp do baz operatorów i ściągnięcie listy kontaktów osoby, która ich zainteresuje, albo ustalenie lokalizacji jej telefonu, zajmuje im tyle, co zaparzenie sobie herbaty.

– To niektórym tak weszło w krew, że kumpel kumpla potrafi prześledzić albo wziąć „na słuchawki”. Jestem pewien, że mnie brali przynajmniej kilka razy – mówi jeden z policjantów, do którego dzwonię, żeby zapytać, czy zgodzi się porozmawiać o atmosferze w komendzie. Jest dochodzeniowcem. Wziąć kogoś „na słuchawki” – czyli założyć podsłuch na krócej niż pięć dni, na co nie jest wymagana zgoda sądu, lub sprawdzić, z kim

się ktoś łączył albo gdzie był – to już nie jest nic nadzwyczajnego.

Policjanci obawiają się, że z jednej strony oni „sprawdzają”, a z drugiej są „sprawdzani”.

– Nie mogę rozmawiać. Prawdopodobnie jestem na podsłuchu – ucina policjant z wydziału prewencji.

A inny: – Chyba jestem na podsłuchu, ale co tam, pogadajmy.

I tak z każdym. Rozmowa zaczyna się od: „jestem na podsłuchu”, „uprzedzam, mogę być na podsłuchu”, „nie zdziwiłbym się, gdyby mi włączyli podsłuch”, „już przywykłem do tego, że słuchają”.

– No to właśnie tyle w temacie tego, co się dzieje w firmie. Wiedząc, jakie są możliwości kontrolowania, zbierania haków, zaczęliśmy żyć w przekonaniu, że nas też ktoś kontroluje i coś na nas zbiera – tłumaczy policjant, ten od „chyba jestem na podsłuchu, ale co tam, pogadajmy”.

Dochodzeniowiec: – Ludzie w firmie przestali sobie nawzajem ufać.

Pracownik cywilny (w policji od 20 lat): – Są głębokie podziały. Nas, cywilów, jest w policji 25 tys., gliniarzy – cztery razy więcej. Oni, choć narzekają na pisowskie metody, to w większości popierali PiS, bo PiS to zaostrzenie przepisów karnych, to podwyżki dla mundurowych. A z kolei „cywilki” w większości są przeciw PiS. Podział pogłębiły zarobki. „Cywilki”, choć ogarniają wszystko, bez czego komendy by nie mogły funkcjonować: systemy policyjne, bazy danych, kancelarie tajne, logistykę, to najczęściej za najniższą krajową. A mundurowym PiS nie żałowało. Dostawiali podwyżki, premie, mają trzy-nastki, mundurówki, sufitówki, czyli dodatkowe pieniądze raz do roku niby na remont mieszkania. Do tego „dziadkowe”, które nazywamy „dziąsłowym” – PiS wprowadziło specjalny dodatek motywacyjny dla tych, którzy – jak złośliwie mówimy – zjedli już swoje zęby. Gliniarzowi, który mimo przepracowania 25 lat nie odszedł na emeryturę, daje się co miesiąc 1,5 tys. zł brutto. A taki, który przepracował więcej niż 28 lat i 6 miesięcy, dostaje ekstra 2,5 tys. zł. To na ogół naczelnicy, komendanci – ci

wszyscy z dużym stażem i na stanowiskach. PiS dało im kasę, jakiej wcześniej nie widzieli. Co jakiś czas wpada im premia 5, a nawet 10 tys. zł. Dołowym wpadnie co najwyżej 1,3 tys. zł. PiS najczęściej pchało w tych, co na górze, by mieli motywację do poganiania tych na dole. Żeby żaden się nie zawahał, gdyby trzeba było jeszcze raz rzucić dołowych z gazem i pałkami na protestujące kobiety, i żeby nie czuli dyskomfortu, wyznaczając ludzi do pilnowania smołęńskich schodków czy domu prezesa.

”Zaczęły się podchody, kto pierwszy sobie załatwi stanowisko. Oczywiście, załatwił ten, kto wiedział, jak dotrzeć do polityków PiS

POLICJANT
Z WYDZIAŁU DOCHODZENIOWEGO

CZYSTKI I NACIĄGANE ZARZUTY

JAROSŁAW SZYMCZYK STAJE NA CZELE POLICJI w kwietniu 2016 r. Mariusz Błaszczak, ówczesny minister MSWiA, mówi, że nowy komendant „gwarantuje energię we wprowadzaniu dobrej zmiany w polskiej policji”. Kolejne miesiące to bezprecedensowa wymiana kadr. Policjanci nazywają tamten czas „rewolucją”, „czystkami”, „krucjatą kadrową”. W półtora roku odeszło lub zostało zmuszonych do odejścia – głównie ze stanowisk kierowniczych – ok. 6 tys. policjantów.

– Zmiany weszły głęboko – od komend wojewódzkich w dół: do miejskich, powiatowych, także komisariatów i wydziałów. Jedni czekali, aż to się skończy, myśleli: jakoś się schowam, przetrwam. Inni chcieli skorzystać z okazji, umościć

się w nowym układzie. Zaczęły się podchody, wyścigi, kto pierwszy sobie załatwi stanowisko. Oczywiście, załatwił ten, kto wiedział, jak dotrzeć do polityków PiS – mówi dochodzeniowiec.

I opowiada, jak kiedyś jeden z takich szybko awansujących, politycznie umocowanych komendantów spił się, awanturował, zdewastował swój gabinet. – Ponieważ to nie był jego pierwszy występ, gdy miałem okazję porozmawiać nieoficjalnie z jednym z posłów PiS, zapytałem, czy naprawdę nie mogli znaleźć kogoś innego, tylko gościa z problemem alkoholowym i włączającą się agresją. Na to usłyszałem, że „nie, nie, on nie pije, tylko akurat zmienił leki psychotropowe i źle na te nowe zareagował” – wzdycha dochodzeniowiec. – Skoro wyznaczili swojego, to on nie może się przecież nie nadawać. Przestało mieć znaczenie, kto co potrafi, jakie ma doświadczenie, ważniejsze stało się, kogo zna, z kim się ułożył. Dobrani w taki sposób ludzie dobierali sobie podobnych. Nie twierdzę, że wcześniej wszystko było super i że nikomu nie zdarzało się wchodzić na stanowisko po politycznych plecach, ale to były przypadki, a w ostatnich latach stało się to regułą – twierdzi.

Na to jeszcze należało się obniżanie wymagań przy naborze do służby i skracanie szkolenia – dawniej trwało 1123 godziny, a w czasie pandemii decyzją gen. Szymczyka skrócono je do 455 godzin. Później sukcesywnie czas zwiększano, by wrócić do tego, co było, ale ci, którzy przeszli kurs krótszy, niż trwa przyuczanie do bycia ochroniarzem w sklepie spożywczym, chodzą teraz po ulicach z bronią.

– Ten, kto przyjdzie po Szymczyku, natknie się na tyle problemów, że nie wiem, jak to ogarnie. Już mu współczuję – mówi jeden z policjantów. I dodaje: powinien przyjrzeć się przestępczości ludzi z firmy.

Jak wynika z raportów Biura Spraw Wewnętrznych Policji, tylko w ciągu dwóch ostatnich lat przestępstw z udziałem policjantów stwierdzono 3215. Zarzuty postawiono 569 funkcjonariuszom. Najczęściej korupcyjne. Poza tym fałszowanie dokumentów, wynoszenie tajemnic, ostrzeżenie środowisk prze-

stępczych przed działaniami policji. Co-raz większym problemem są narkotyki – w jednym z postępowań, w których policjant okazał się członkiem zorganizowanej grupy przestępczej, przejęto 12,5 kg mefedronu.

POCZEKAMY, AŻ SPRAWA PRZYCICHNIE

– **O TYM, ŻE FORMACJA SIĘ OBSUWA**, OFICJALNIE OCZYWIŚCIE SIĘ NIE MÓWIŁO. No skąd! Jest świetnie! Staliśmy się trochę jak Kościół: jeśli ktoś ze swoich dawał płamę, której nie udało się przykryć, to się go – jak księdza – przenosiło do innej parafii. Niektórzy w tym nowym miejscu też dość szybko się kompromitowali, więc znów byli przesuwani. Na zasadzie: może teraz tam cię schowamy? Poczekamy, aż sprawa przycichnie – twierdzi pracownik jednej z komend wojewódzkich.

I dodaje, że najpierw dołowi narzekali, że fachowcy poodchodzili, że nie ma się od kogo uczyć i w ogóle za mało jest ludzi do policyjnej roboty, a za dużo do ostrzeżenia kredek, czyli siedzenia za biurkiem i odbierania pism z Komendy Głównej. Później dołowi złościł się, że ci na górze się pourządzali i zaczęli ich rzucać, jak nie na płotki, to na wschodnią granicę. Płotki to zabezpieczanie Sejmu, miesięcznik smoleńskich, stanie na ulicy w czasie protestów opozycji czy Strajku Kobiet. Początkowo nie chcieli brać w tym udziału, kładli L-4, później część zobaczyła w tym szansę wykazania się, zasłużenia na awans.

Zanim nastał gen. Szymczyk, na miesięcznicze wysyłano najwyżej stu policjantów, później szybko liczba się podwoiła, a w końcu skoczyła do 2-3 tys. Do protestujących w obronie sądów czy kobiet, które wychodziły na ulice po zastrzeżeniu ustawy antyaborcyjnej, też ludzi nie żałowano. Potrzebni byli, żeby pałować, szarpać, traktować gazem, zakuwac w kajdanki, przewozić do komisarjatu. Sędziowie później orzekali, że działania policji były „nieprawidłowe”, „niezasadne”, „nielegalne”.

Zespół ObyPomoc zebrał informacje o 917 osobach, które w związku z udziałem w protestach były przez policję za-

trzymane, dostały zarzuty z kodeksu wykroczeń lub z kodeksu karnego. Okazało się, że w 96 proc. spraw, które już się zakończyły, sąd oddalił zarzuty.

Policjantów, z którymi rozmawiam, pytam, czy były jakieś szkolenia, czy analizowano te przypadki. Czy zrobiono coś, żeby się nie powtarzały?

Żaden o tym nie słyszał.

A może były jakieś narady po tym, jak w lipcu 2018 r. policjanci uszkodzili kręgosłup jednej z liderok Strajku Kobiet Klementynie Suchanow? – dopytuję.

– A może w grudniu 2020 r., gdy pod komendą przy Wilczej w Warszawie policjant złamał 19-letniej Moli przedramię w trzech miejscach? A może później, gdy

”To niektórym tak weszło w krew, że kumpel kumpla potrafi prześledzić albo wziąć „na słuchawki”

JEDEN Z POLICJANTÓW

Oliwia Masola, protestując pod Trybunałem Konstytucyjnym, została rzucona przez policjanta o ścianę tak, że doszło do złamania nosa?

Nie słyszeli o tym, żeby ktoś w policji się z tego tłumaczył. Generał Szymczyk publicznie zapewniał: „My nie walczyliśmy z kobietami, my walczyliśmy z pandemią”.

WSZYSTKICH NIE ZNISZCZA

ZALEDWIE MIESIĄC PO TYM, JAK SZYMCZYK ZOSTAŁ KOMENDANTEM GŁÓWNYM, we wrocławskim komisariacie zostaje zamęczony 25-letni Igor Stachowiak. Szczegóły jego śmierci są ukrywane. To, jak zginął, ustala i nagłaśnia dopiero Wojciech Bojanowski z TVN.

Gdy w listopadzie 2019 r. w Koninie od strzału z policyjnej broni ginie

21-letni Adam Czerniejewski, rzecznik KGP Mariusz Ciarka stwierdza, że „w świetle prawa i oceny kierownictwa” policjant jest niewinny. Policja sugeruje, że funkcjonariusz działał w obronie własnej. Tymczasem, jak wynika z opinii laboratorium kryminalistycznego, Czerniejewski został zabity strzałem w plecy.

Hanna Machińska, była zastępczyni rzecznika praw obywatelskich, wylicza, że w ciągu ostatnich pięciu lat w wyniku lub w czasie interwencji policji życie straciły co najmniej 34 osoby. To tylko przypadki, które zostały zgłoszone rzecznikowi przez rodziny zabitych.

Gdy ostatnio poseł Brejza podał na platformie X, że jest popłoch w policji, i zdradził, że – jak wynika ze zdobytych przez niego informacji – „cyberbronią Pegasus atakowany był znany, kontrowersyjny bloger”, wróg osobisty Zbigniewa Ziobry (chodzi o Zbigniewa Stonogę), a papiery na kontrolę operacyjną blogera „były naciągane” – natychmiast zareagowała Komenda Główna Policji.

Na platformie X ukazał się krótki komunikat: „Dość kłamstw i manipulacji”. Zapewniono, że policja nie posiada „cyberbroni”, nie inwigilowała blogera. I w obronie swego dobrego imienia skieruje zawiadomienie do prokuratury.

– Mam déjà vu, bo za każdym razem, kiedy wskazywałem nieprawidłowości w policji, reagowali właśnie takim atakiem – mówi Brejza.

– Gdy w grudniu ubiegłego roku ujawniłem, jaką mam wiedzę na temat wybuchu granatnika w Komendzie Głównej Policji, było to samo. Robili wszystko, by informacja o eksplozji nie dotarła do dziennikarzy. Nikt nie wie, co się stało z człowiekiem, na którego – po wybuchu – prawdopodobnie spadły kawałki betonu. To, jak ukrywa się informacje o wybuchu granatnika, pokazuje skuteczność układu w zacieraniu śladów. Ale to się skończy. Zdamy sobie sprawę, że teraz trwa proces niszczenia materiałów, ale wszystkich nie zniszczą – mówi poseł Brejza. **N**

malgorzata.swiechowicz@newsweek.pl

ATAK PANIKI

Katarzyna Kasia

Jak bajka zamienia się w horror



Jadę pociągiem przez mój kraj taki piękny. Niby listopad, ale za oknem dominuje zieleń, tylko gdzieś tam trochę brązu czy świetlistej żółci. Pendolino mknie bezszelestnie, bez kolejowego turkotu. Ograniczam swój ślad węglowy, a nad Polską wstaje nowy dzień. Podróżując, myślę o tym, jak mało by było trzeba, żeby w tym akurat miejscu – bogatym, europejskim, położonym w dobrej strefie klimatycznej – można było żyć bez stresów. Tym bardziej że mam graniczące z pewnością przecucie, że większość z nich sami sobie generujemy.

Dowody? Proszę bardzo, opowiem Wam bajkę o świetnym muzeum. Było tak dobre, że ludzie przyjeżdżali z całego świata, żeby je obejrzeć. Miało stać wystawę, na której można było obejrzeć najważniejsze dzieła, z których wyrasta współczesna kultura – w takiej konstelacji dostępne tylko tam. Na 3 tys. mkw. wyeksponowano 13 opowieści o nowoczesności. I warto było wracać, bo ten Atlas był żywy, zmienny, wciąż na nowo układany, żeby za każdym razem chwytać inną perspektywę, patrzeć pod innym kątem i dzięki temu jeszcze lepiej rozumieć. Tak było w Muzeum Sztuki MS2 w Łodzi.

Tu niestety bajka się kończy i zamienia w horror klasy D. Po oprostowanym przez cały świat zwolnieniu z MS2 dyrektora Jarosława Suchana jego miejsce zajął Andrzej Biernacki i postanowił Atlas Nowoczesności zlikwidować. 16 października zamknięto pierwsze z trzech pięter wystawy, za nim pójdą kolejne. Dlaczego? Czemu Biernackiemu przeszkadzała jedyna w naszym kraju tak przekrojowa ekspozycja o wybitnym znaczeniu historycznym i pedagogicznym? Czemu podjął decyzję, która sprawia, że naprawdę nie ma już dokąd zabrać szkolnej wycieczki, której chcielibyśmy opowiedzieć o narodzinach sztuki nowoczesnej i o tym, z czego wyrasta współczesna kultura? Proste wytłumaczenie, że chodzi o to, by odróżnić się od poprzedniego dyrektora, mnie nie satysfakcjonuje. Tym bardziej że tych różnic jest i tak aż zbyt wiele. Tu chodzi o coś więcej. I to coś bardzo mnie niepokoi.

W swoim programie Biernacki pisał: „Bez względu jednak na fakt stale dokonującego się procesu skanowania horyzontu kulturowego, ujawniającego nowe tendencje i teorie reinterpretujące tryb i logikę zmian zachodzących w otoczeniu sztuki, mającego oczywisty wpływ na jej współczesne odczytanie i wartościowanie (np. neo-

instytucjonalizm, eksponujący kontekst sztuki jako źródło jej znaczeń), nadal obowiązuje istniejąca i konsekrująca dzieło »rama muzealna«, stawiająca przed całą strukturą współczesnego sita krytycznego silniejszy niż zazwyczaj wymóg samorefleksji”. Jako że tekst ten nie należy być może do najbardziej przystępnych, pozwolę sobie na eksplikację, tfu, wyjaśnienie. Jeśli odłożymy na bok „skanowanie horyzontu”, „sito krytyczne” i „konsekwowanie” (choć to ostatnie akurat jest ciekawe, jeśli się zastanowić, dlaczego świeckie dzieło w państwowym muzeum miało być właśnie akurat być „konsekwowane”, ale rozumiem, że autor posłużył się tu pewnego rodzaju na poły ironiczną figurą stylistyczną), to tym, co pozostanie, będzie przeświadczenie, że muzea są w istocie niepotrzebne. Śmiała teza jak na dyrektora! Idąc dalej, dzieło powinno bronić się samo, kuratorstwo należy ograniczyć do minimum, a placówka taka jak MS2 wręcz nie może zajmować się interpretowaniem sztuki, a więc również edukacją estetyczną.

Jedyna nadzieja w tym, że nowa ministra kultury przypomni osobom kierującym instytucjami o właściwym znaczeniu pojęcia „dziedzictwo”

Jeśli dodamy do tego, że według Biernackiego poprzednie kierownictwo Muzeum Sztuki „powzięło ostatecznie... kurs na imitację dominujących narracji (zachodnich), uwypuklających słabość, pasywność, niezdolność do określenia własnej mentalności”, to decyzja o zamknięciu Atlasu Nowoczesności stanie się całkowicie oczywista. Nie rozumiem co prawda, czym miało być „określenie własnej mentalności”, ale szczerze zinterpretuję to (być może zbyt szczerze) jako dążenie do zrozumienia siebie samego, swojego dziedzictwa, odpowiedź na pytanie o to, skąd się przyszło. Szczerze mówiąc, w postawie obecnego dyrektora bardzo mi takiego dążenia brakuje. Bo polskie dzieci znowu będą się o awangardzie uczyły z internetu, zaś w MS2 pan dyrektor ustawi dzieła wymykające się jakiegokolwiek eksplikacji, działowi edukacji każe zamilknąć na wieki, mówiąc „nie” zarówno „krytycznym sitom”, jak i dialogicznemu charakterowi sztuki współczesnej. Jedyna nadzieja w tym, że nowa ministra kultury przypomni osobom kierującym instytucjami o właściwym znaczeniu pojęcia „dziedzictwo”. **N**

Katarzyna Kasia – filozofka, wykładowczyni akademicka, publicystka związana ze „Szkłem Kontaktowym” w TVN24, „Kulturą Liberalną” i Radiem Nowy Świat



wydanie specjalne

Newsweek^{POLSKA} TECH & SCIENCE

W nowym numerze:

- Nowości, nauka, poradniki, rozrywka. Sprawdź najważniejsze newsy ze świata technologii!
- Technologie cyfrowe - bogactwo, szansa i źródło zagrożeń. Jak sobie z nimi radzić?
- Co najchętniej kupujemy w sieci? Przegląd rynku jesień 2023.

Od 8 listopada szukaj w salonach prasowych,
na Literia.pl i czytaj **w pakiecie** ● **onet premium**



ZAWODOWO WYPALENI

WIĘCEJ NIE UDZWIGNĘ

Najszybciej wypalą się ci, którzy płoną, czyli pracują dużo i chętnie. Nikt ich nie chroni, a wręcz przeciwnie, bo „jak koń dobrze ciągnie, to mu się dorzuca”

TEKST RENATA KIM ILUSTRACJA PAWEŁ KUCZYŃSKI

Ja w tej pracy po prostu wysiaduję – mówi Katarzyna, 49-letnia specjalistka ds. projektów grantowych z Krakowa. Codziennie robi to samo: odhacza kolejne zadania, przekłada papiery z jednej kupki na drugą i czeka na 17.00, gdy będzie mogła pójść do domu.

Przyjaciółka podsunęła jej ostatnio raport, w którym były opisane symptomy wypalenia zawodowego. Był też minitest: „Czy kiedy rano myślisz o pracy, odczuwasz zmęczenie? Czy kiedy zbliżasz się do miejsca pracy, odczuwasz ból brzucha, masz problemy z oddychaniem? Miałas kiedyś hobby, ale już nie pamiętasz jakie, bo tak dużo pracujesz?”. Na większość pytań Katarzyna odpowiedziała: tak.

Czasami jest tak zmęczona i obolała, że ledwie się rusza. Zamiast więc iść do biura, dzwoni do lekarza i prosi o L-4. – Urlopu od ręki nie dostanę, a na zwolnieniu choć trochę odpocznę – mówi.

Myślała, że to zmęczenie ma związek z menopauzą, ale doszła do wniosku, że nie. Osoby znacznie od niej młodsze też narzekają.

LĘK, BEZSILNOŚĆ I GNIEW

JUŻ ROK TEMU AUTORZY RAPORTU Benefit Systems informowali, że aż co piąty pracownik w Polsce odczuwa zmęczenie jeszcze przed rozpoczęciem pracy. Tłumaczono to wtedy tym, że po pandemii i lockdownach w wielu przedsiębiorstwach rozpoczęła się czas intensywnego odrabiania strat. Potem doszły wojna w Ukrainie oraz inflacja, więc niektórzy nie wytrzymywali obciążenia.

Najnowsze dane są jeszcze bardziej alarmujące. Z raportu Agencji Badań Rynku i Opinii SW Research oraz platformy Mindgram wynika, że aż 45 proc. polskich pracowników cierpi na wypalenie zawodowe. A 26 proc. doświadcza jego ciężkiej formy.

W Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób ICD-11 wypalenie zostało opisane jako syndrom wynikający z „chronicznego stresu w miejscu pracy, którego nie udało się skutecznie opanować”. – Człowiek wypalony czuje się, jakby uszło z niego całe powietrze. Wie, że musi działać, bo ma zobowiązania, często rodzinę i rachunki do zapłacenia, ale po prostu nie ma mocy – tłumaczy Sylwia Królikowska, psycholog i trener biznesu.

Wypalenie nie pojawia się nagle. Zaczyna się od trudności z koncentracją, drażliwości, zapomnienia, mniejszej satysfakcji z obowiązków i spadku zaangażowania. – Robimy tylko tyle, ile trzeba i ani pół kroku więcej. Regularnie doświadczamy albo apatii i bezsilności, albo lęku i gniewu. Charakterystyczna jest także cyniczna postawa wobec pracy i ludzi, z którymi pracujemy. Jeśli na tym etapie nie nauczymy się radzić sobie z napięciem i frustracją, nasz stan może się pogłębić. Przejdzie w przewlekły stres, objawiający się uporczywym zmęczeniem, problemami ze snem, z libido, zaburzeniami apetytu. Pojawiają się ataki paniki, problemy z żołądkiem i jelitami, pogłębienie stanów zapalnych, zaostrenie chorób autoimmunologicznych – wylicza Sylwia Królikowska.

Według ZUS w ubiegłym roku wystawiono prawie 1,3 mln zwolnień lekarskich z powodu zaburzeń psychicznych.

NIE TAK MIAŁO BYĆ

– LUDZIE BIORĄ NA SIEBIE zbyt dużo obowiązków. Nie umieją wyznaczyć priorytetów ani oddawać innym zadań – uważa Jolanta Łuczowska, mentorka i coach. Takie osoby – a zna ich wiele – narzekają na wypalenie, ale nie robią nic, by zmniejszyć obciążenia. Zdarza się, że jeszcze same sobie dokładają obowiązków.

– Często jednak to kierownicy i dyrektorzy robią pracownikom krzywdę, narzucając nierealne cele i wymagania – mówi Łuczowska. Kilka lat temu wracała z biura późnym wieczorem

i była tak zmęczona, że wpadła w krzak forsycji. Uświadomiła sobie wtedy, że nie zauważyła, iż jest wiosna, bo myślami była jeszcze w zimie.

– Tak się kończy przepracowanie. Nie dostrzegasz, że zmieniają się pory roku, zapominasz o rodzinie, o tym, że poza pracą istnieje życie – ostrzega.

Michał pracuje właściwie bez przerwy, bo w gastronomii zawsze coś się dzieje. I tak jest od 1999 r., czyli prawie od ćwierć wieku. – Pierwsze symptomy wypalenia pojawiły się u mnie bodajże siedem lat temu. To wtedy zauważyłem, że nastąpiła dość radykalna zmiana pokoleniowa, a z nią zmienili się klienci moich lokali. Poczulem, że praca, która kiedyś była misją, sprawiała mi mnóstwo radości, niepostrzeżenie stała się jak każda inna. Nie miałem

już poczucia, że robię coś ważnego. Zostały tylko kawa i ciacho w kawiarni i sprzedaż alkoholu w knajpie, klientów przestało interesować, co chcemy im przekazać, ważny jest dla nich tylko produkt. I to, jak jest reklamowany w social mediach – tłumaczy przedsiębiorca z Poznania.

Nie tak sobie wyobrażał swoją pracę. Kiedy zaczynał, w lokalach robił wystawy i pokazy awangardowych filmów, zapraszał zespoły muzyczne. – I ludzi to interesowało. A w ostatnich latach przestało, dziś oczekują, że będą dostawać coraz to nowe atrakcje. Widzę, że wszyscy z branży muszą grać w tę grę idealnych, sztucznie wykreowanych pod social media miejsc.

Mnie to bardzo ciąży – mówi Michał.

– Najszybciej wypalają się ci, których praca polega na kontakcie z ludźmi, zwłaszcza na radzeniu sobie z ich emocjami: lekarze, nauczyciele, pracownicy działów obsługi klienta. A także ci, którzy uwielbiają swoją pracę, oddają jej się niemal w całości, a w zamian nie dostają nawet „dziękuję”. Mają poczucie krzywdy i wykorzystania – tłumaczy Sylwia Królikowska.

MYŚLAMI GDZIE INDZIEJ

WYPALENIE PRACOWNIKÓW ma też ogromny wpływ na to, jak działa firma. – Osoby, które są wypalone albo przechodzą jakiś kryzys psychiczny, są dwuipółkrotnie bardziej narażone na zwolnienie z pracy. Albo same odchodzą, bo już nie dają sobie rady. Do tego dochodzą nieobecności, zwykle krótkie, dwu- lub trzydniowe i tzw. prezenteizm. To stan, w którym pracownik przychodzi do biura, siedzi przy komputerze, ale myślami jest gdzie indziej. Nie może się skupić na pracy. Według firmy doradczej Deloitte jego produktywność spada aż o 50 proc. – mówi Adam Plona, współzałożyciel Mindgram.

Przypomina, że według Światowej Organizacji Zdrowia do 2030 r. depresja będzie najczęściej występującą ze wszystkich chorób. – A wypalenie zawodowe jest jednym z objawów depresji. I coraz częściej zdarza się tak, że przychodzi pracownik i mówi przełożonemu, że przeżywa depresję. A on nie wie, co zrobić. Obniżyć wymagania czy oczekiwać takiego samego za-



NIE WYPALI SIĘ TEN,
KTO WIDZI SENS
SWOJEJ PRACY

KASIA MATYJEWICZ, SPECJALISTKA DS. HR I REKRUTACJI

angażowania jak dotychczas? A jeśli jednak obniżyć, to jak powiedzieć o tym członkom zespołu? Nikt menedżerów do tej pory nie uczył, jak sobie z takimi problemami radzić, więc radzą sobie słabo. To doprowadza do napięcia w zespole – mówi Plona.

Sylwia Królikowska zwraca uwagę, że kiedy pracownik ma gorsze wyniki, robi błędy i nie dotrzymuje terminów, wielu szefów przeprowadza z nim rozmowę dyscyplinującą. A byłoby lepiej, gdyby powiedzieli: „Widzę, że masz spadek formy i martwi mnie to, bo oznacza, że dzieje się coś dla ciebie trudnego. Powiedz, proszę, jak mogę ci pomóc”.

Szef nie powinien jednak wchodzić w rolę psychologa czy terapeuty, bo nie ma stosownego przeszkolenia, a poza tym mieszanie ról jest nieetyczne. – Rolą szefa jest poinformowanie pracownika, jakiego wsparcia może szukać i gdzie. Warto zapytać, czy potrzebuje urlopu, czy czasu w ciągu dnia, by spotkać się ze specjalistą. A może woli zacząć pracę później, bo najtrudniejsze są poranki? – wylicza ekspertka.

Adam Plona sugeruje, by wspólnie ustalić, jak będzie wyglądała praca. I jak zostanie o tym poinformowana reszta zespołu. – Bo jeśli pracownik będzie pracował mniej, a reszta zespołu nie dowie się dlaczego, to może zostać poddany ostracyzmowi. Tyle że on może nie chcieć o tym powiedzieć. Kluczowe jest więc, by menedżer miał fundamentalne umiejętności oceny stanu psychicznego człowieka i umiał o tym rozmawiać. Firmy muszą zainwestować w podniesienie takich umiejętności – uważa. Przypomina, że w styczniu 2024 r. wejdzie w życie nowa unijna dyrektywa, która zobowiąże 50 tys. notowanych na giełdzie firm w Europie do działań na rzecz dobrostanu pracowników, w tym m.in. zdrowia psychicznego.

POMYŚL NA SIEBIE

– DO POLSKI DOTARŁ JUŻ trend otwartego rozmawiania o wypaleniu zawodowym. Coraz więcej firm edukuje pracowników, jak radzić sobie z trudnymi emocjami i stresem. Coraz więcej liderów uczy się tzw. empatycznego przywództwa, bo naprawdę chcą być dla współpracowników wsparciem, a nie tylko wymagającymi szefami. Niestety, nadal zapominamy, że najszybciej wypalają się ci, którzy płoną, a więc ci, którzy pracują dużo, intensywnie. Takie osoby nie są chronione, a wręcz przeciwnie – „jak koń dobrze ciągnie, to mu się dorzuca”. Pracownik, który uwielbia swoją pracę, będzie przekraczał normy i oczekiwania. Szef, który nie wyśle go nawet na siłę na urlop, nie odbierze mu kolejnego zadania, przyczynia się do wypalenia – ostrzega Sylwia Królikowska.

– Korporacja nie ma pamięci, nie postawi nam w biurze pomnika za nadmierną, wypalającą pracę. Musimy sami o siebie zadbać. Powiedzieć: tyle udźwignę, a więcej już nie. Na szczęście kultura morderczej pracy powoli zaczyna się kończyć, bo do firm przychodzą młodszy ludzie, którzy nie chcą tak żyć – dodaje Jolanta Łuczowska.

Rekruterzy potwierdzają: młodsze pokolenia cenią work-life balance. Kiedy szukają pracy, to takiej, w której będą dodatkowe dni płatnego urlopu lub czterodniowy tydzień pracy.

– Jesteśmy świadkami rewolucji, bo na rynek pracy weszła sztuczna inteligencja. To zmiana porównywalna z wprowadze-

niem komputerów, a później z internetem. Trzeba ją traktować jak pracownika i widzieć w niej nie tylko zagrożenia, ale także zyski. Bo będzie nas odciążała od rutynowych zadań, a to one prowadzą do wypalenia. Nie zabierze nam pracy, tylko zmusi do tego, by mieć nowy pomysł na siebie – twierdzi Kasia Matyjewicz, specjalistka do spraw HR i rekrutacji.

Uważa, że trzeba odnaleźć sens pracy: – Powinna nam w tym pomóc firma, bo to wpływa na wyniki. Ale to nie jest jej obowiązek, my sami musimy zmieniać świat, w którym żyjemy, na lepsze. Kto widzi sens swojej pracy, ten się nie wypali.

NIE MA NADZIEI

MICHAŁ ZAMKNAŁ jeden ze swoich lokali, do kolejnych przychodzi jak do zwykłej pracy. – Robię, co trzeba, a potem wracam do domu. W jednym z nich nawet nie afiszuję się z tym, że jestem właścicielem. Jest to trochę przykre. Przez ćwierć wieku wydawało mi się, że robiłem coś ważnego, myślę, że dzięki naszej działalności wiele się w Poznaniu zmieniło. Ale przykre jest to, że nie czuję się już społecznikiem związanym z miastem. I chciałbym stąd uciec, zacząć w nowym miejscu od nowa, niekoniecznie w Polsce – mówi.

Na razie ucieka w sport i muzykę. Dwa razy w tygodniu gra z kolegami w piłkę, umawia się też z przyjaciółmi i grają hobbystycznie w metalowej kapeli. No i właśnie zaplanował kolejną podróż.

Katarzyna w szufladzie służbowego biurka ma tabletki no-spa, pomagają, kiedy całe ciało jest spięte. Ale to nie jest tak, że nie lubi swojej pracy. Chciałaby tylko, żeby była bardziej rozwijająca. Bo teraz ma poczucie, że stoi w miejscu. I że chodzi do pracy wyłącznie po to, żeby zarobić.

Ona też często myśli, że powinna wszystko rzucić, zająć się czymś innym. – Ale zaraz sobie przypominam, że to jest stała pensja i socjal. I że nie mogę sobie pozwolić na przeprowadzkę w Bieszczady, bo muszę spłacać kredyt, regulować rachunki – mówi.

W tamtym teście na wypalenie tylko na jedno pytanie odpowiedziała przecząco: czy masz nadzieję na poprawę sytuacji? Nie ma nadziei, będzie dalej w tej pracy wysiadywać. **N**

renata.kim@newsweek.pl

Newsweek POLECA



Więcej o wypaleniu zawodowym znajdziesz w najnowszym numerze „Newsweeka Psychologii”, do kupienia w salonach prasowych i na Literia.pl



SPORY O PSYCHODELIKI

Czy grzyby nas ulecza?

Grzybki psylocybinowe przeżywają renesans. Mają leczyć depresję, pobudzać kreatywność, przyspieszać terapię. Rzeczywistość nie jest jednak tak różowa

TEKST KAROLINA ROGASKA ZDJĘCIA MIKOŁAJ STARZYŃSKI

Zycie dzielę na czas przed wzięciem grzybów i ten po – mówi 32-letnia Marta. Opowiada, że jej pierwsze doświadczenie było bardzo intensywne. Trip – czyli stan, jakiego doświadcza się po zażyciu substancji psychoaktywnych – trwał u niej sześć godzin. To – jak twierdzi – pozwoliło jej zupełnie inaczej spojrzeć na swoją przeszłość, relacje. – Poczułam na przykład wielką miłość do swojej mamy i zobaczyłam, ile ona mi dała miłości, gdy byłam mała, o czym trochę zapomniałam – opowiada.

Zauważa, że od czasu, gdy zjadła psylocybinę, nie miała nawrotu depresji. Wcześniej leczyła się farmakologicznie i zawsze po odstawieniu leków następował nawrót. – To nie jest tak, że teraz jest idealnie. Ale łatwiej mi radzić sobie z trudnymi emocjami i sytuacjami. Nie łąpię od razu wielkiego doła – mówi Marta.

Podkreśla, że to nie jest tylko zasługa grzybów. Wcześniej latami chodziła na terapię, wiele rzeczy miała już poukładane w głowie. A po tripie poświęciła czas na to, by przyjrzeć się temu, czego doświadczyła, i dogłębnie to przeanalizować.

POD OPIEKĄ

– **PSYLOCYBINA** NIE JEST JAKĄS MAGICZNĄ SUBSTANCJĄ, która nagle zmieni wszystko w naszym życiu. Może pomóc, ale tylko, jeśli będziemy zaangażowani. Znam przypadki ludzi, którzy wzięli grzyby, ale nie zrobili nic, by tę nową perspektywę, którą im dały, zatrzymać na dłużej. Szybko wpadli z powrotem na stare schematy zachowań – zaznacza Marta.

Jest przekonana, że jej doświadczenie było tak pozytywne także dlatego, że odbywało się w bezpiecznych warunkach. Grzyby przyjęła razem ze swoją przyjaciółką, a czuwała nad nimi trzeźwa opiekunka. Osoba przeprowadzająca ceremonię – która odpowiada za wydzielenie dawki substancji, wprowadza przyjazną atmosferę i prowadzi przez to doświadczenie – wiedziała, jak reagować, gdyby pojawił się „bad trip”. To znaczy, kiedy zamiast pozytywnych

emocji, pięknych obrazów i poczucia spełnienia, pojawiłyby się lęk, przerażające halucynacje, a czasem też wymioty i biegunka.

– Ja tego na szczęście nie doświadczyłam, chociaż było blisko, bo dawka psylocybiny, którą przyjąłem, była większa, niż zakładałam. Niby wszystko było odmierzone, ale nigdy nie można precyzyjnie przewidzieć, ile dokładnie substancji znajduje się w grzybie – mówi Marta. Nie żałuje, że spróbowała.

OGROMNY BÓL

KAMIL ZDECYDOWAŁ SIĘ NA PRZYJĘCIE PSYLOCYBINY kilka lat po poważnym wypadku. Był pasażerem auta, które wpadło w poślizg i zderzyło się z innym samochodem. Doznał urazu rdzenia kręgosłupa – wylądował na wózku, a jego jelita i nerki przestały właściwie funkcjonować. Wszystko to wiąże się z ogromnym bólem, który doprowadził też do depresji.

– Przez pierwsze dwa lata dostawałem opiaty i pregabalinę. Byłem całkowicie otumaniony i cierpiałam na tym moja wątroba, która powiększyła się o sześć centymetrów, strasznie przytyłem. W końcu lekarz Poradni Leczenia Bólu w Szpitalu Praskim pomógł mi zejść z tych leków i dostałem medycyną marihuanę oraz gabapentynę na ból neuropatyczny. Jakość mojego życia podskoczyła radykalnie, bez żadnej diety zeszło ze mnie 30 kilo – opowiada.

Jednak wciąż nie czuł wystarczającej motywacji, żeby walczyć o możliwość chodzenia. A wiedział, że chociaż nikła, to taka szansa istnieje. Mimo leków dalej pojawiał się też ból. Nie tak dotkliwy, ale męczący. Wtedy zaczął więcej czytać na temat grzybów i postanowił spróbować – dowiedział się, że pomagają zmienić nastawienie nawet w sytuacji z pozoru beznadziejnej.

JAK KRYMINALISTA

– **NIE CHCIAŁEM** O TYM MÓWIĆ BLISKIM, wiedziałem, że źle by zareagowali, bo grzyby są postrzegane jako jakieś straszne narkotyki. Próbowałem z różnymi dawkami, aż trafiłem na idealną, która pozwala mi na wgląd, czyli nieoczekiwa-

ne, nowe spojrzenie na problem i głębsze jego zrozumienie – mówi Kamil.

Co prawda ból nie zniknął, ale psylocybina nauczyła go, jak się od niego separować. Zapisał się też na eksperymentalną rehabilitację w jednym z warszawskich ośrodków. W końcu poczuł, że to ma sens. – Nie chodzę jeszcze sam, ale udaje mi się sporo przejść o kulach – mówi. I dodaje, że dzięki grzybom w końcu przestał tyle myśleć o śmierci.

– Szkoda, że terapia grzybami nie jest legalna. Wielu osobom by to pomogło. I ja bym przestał się czuć jak jakiś kryminalista, bo je przyjmuję – zauważa.

POMOST DLA PSYLOCYBINY

WRAZ Z ROSNĄCYM ZAINTERESOWANIEM psychodelikami, także wśród naukowców i lekarzy, ich status prawny zaczyna się powoli zmieniać. Przełomem było rozpoczęcie na szeroką skalę terapii wlewami ketaminowymi. Ketamina to substancja znieczulająca, która ma właściwości psychodeliczne i – jak się okazało – jest silnym lekiem przeciwdepresyjnym. Psychoterapeutka i integratorka doświadczeń psychodelicznych, Dorota Dot Okulicz, pracująca w KetamineClinic, mówi o skuteczności leczenia depresji lekoopornej sięgającej nawet 70 proc. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że z jednej strony ketamina doprowadza do odblokowania wielu sieci neuronalnych. Z drugiej – zwiększa neuroplastyczność, co wspomaga zmianę nawyków i zachowań w trakcie psychoterapii. Przede wszystkim jest jednak silnym psychodelikiem, umożliwiającym wejście w dotychczas niedostępne rejony psychiki. Podróż jest przeprowadzana podczas sesji integracji psychodelicznej, która odbywa się po każdym zabiegu.

– Doskonałe wyniki leczenia ketaminą mogą stać się pomostem do wprowadzenia psylocybiny, ale w Polsce to raczej daleka przyszłość – mówi Dorota Dot Okulicz. Na razie psylocybina w „Wykazie środków odurzających i substancji psychotropowych” (który powstał w związku z ustawą o przeciwdziałaniu narkomanii) znajduje się w kategorii I-P – to znaczy „związków

niemających medycznego zastosowania i o dużym potencjale do nadużywania”.

UŻYCIE NADZOROWANE

W INNYCH KRAJACH WIDAĆ JUŻ PEWNE ZMIANY. W Australii psylocybina jest dalej nielegalna, ale w tym roku została dopuszczona do użycia medycznego i może być stosowana u pacjentów z lekooporną depresją. Z kolei w stanie Oregon w USA zdekryminalizowano (przestano karać za posiadanie) wszystkie substancje psychoaktywne i zalegalizowano ośrodki, w których można wziąć udział w sesji psylocybinowej. Nie oferują one strictly medycznej kuracji, ale możliwość przejścia przez doświadczenie psychodeliczne pod nadzorem licencjonowanych opiekunów, którzy nie muszą być lekarzami.

Co więcej, nie trzeba mieć zdiagnozowanej depresji ani innego zaburzenia, by móc poddać się sesji psylocybinowej.

” *Nie chciałem o tym mówić bliskim, bo grzyby są wciąż postrzegane jako jakieś straszne narkotyki*

KAMIL

Udział w niej jest jednak poprzedzony badaniami przesiewowymi wykluczającymi osoby z grupy ryzyka – to znaczy takie, w których rodzinie występują psychozy.

NAUKA I GWIAZDY

WEDŁUG SOCJOLOGA MACIEJA LORENCA, członka zarządu Polskiego Towarzystwa Psychodelicznego i autora książki „Grzybobranie. Kulturowa historia psylocybiny”, zmiany w podejściu do psylocybiny to m.in. efekt doniesień medialnych o badaniach naukowych dotyczących jej zastosowania w leczeniu depresji.

– To na tyle rozpowszechniona choroba, że każde remedium na nią wydaje się warte rozważenia. Psylocybina działa nieco krócej niż wiele innych psychodelików, takich jak LSD czy meskalina, więc jej użycie w terapii wymaga mniej czasu, dzięki czemu jest tańsze. Opiekun nie musi siedzieć z uczestnikiem sesji przez 8-10 godzin, jak ma to miejsce w przypadku LSD, ale tylko przez 4-6 godzin – mówi Lorenc. – Renesans psychodelików wynika też z tego, że substancje te coraz częściej pojawiają się w filmach czy literaturze. Píše o nich chociażby Olga Tokarczuk w „Empuzjonie”.

Ogromne znaczenie ma też – według Lorenca – fakt, że gwiazdy i celebryci zaczęli publicznie mówić o swoich doświadczeniach psychodelicznych. Wychwalają je Sting i Miley Cyrus, Elon Musk zachęca, by ludzie otworzyli się na możliwości psychodelików. Wiele osób pracujących w Dolinie Krzemowej podkreśla zalety mikrodawkowania, czyli regularnego przyjmowania bardzo małych ilości substancji. To pozwala na uniknięcie efektów wizualnych, a zwiększa chęć do działania i kreatywność.

NIE DLA KAŻDEGO

LORENCA CIESZY, ŻE ZAKOŃCZYŁA SIĘ ERA negatywnej propagandy wokół psylocybiny i innych psychodelików, którą zainicjowano na początku lat 70. w USA. Martwi go jednak, że ludzie zachwycceni ich działaniem zbyt rzadko wspominają o możliwych skutkach ubocznych. I nie zaznaczają, że nie są to substancje dla każdego.

– Nie można zagwarantować, że nie przytrafi nam się „bad trip”. Część ludzi, którzy tego doświadczyli, odczuwa długofalowe pogorszenie dobrostanu i żałuje przyjęcia psychodelików – podkreśla Lorenc.

Mówi, że u niektórych występuje HPPD, czyli zaburzenia postrzegania spowodowane halucynogenami. – Polega to na przewlekłym lub nawracającym odczuwaniu efektów, które przypominają działanie przyjętej substancji, ale utrzymują się przez długi czas po jej zniknięciu z organizmu. Efekty te często przybierają formę zaburzeń wzro-

kowych, np. smug za poruszającymi się obiektami – wyjaśnia Lorenc.

BEZ REWOLUCJI

TO, ŻE ZAŻYWANIE PSYCHODELIKÓW może nieść ze sobą zagrożenia, podkreśla też psychiatra i naukowiec ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, dr Gniewko Więckiewicz. – Jeżeli w rodzinie były osoby z zaburzeniami psychicznymi, szczególnie psychotycznymi, to istnieje ryzyko, że przyjęcie psylocybiny aktywuje ukryte zaburzenia psychiczne u zażywającego – mówi.

Może też pojawić się ostry proces psychotyczny, w którym występują m.in. halucynacje i urojenia. Zazwyczaj przemija dość szybko, ale czasem się przeciąga, co wiąże się z hospitalizacją. – U większości pacjentów już nie wraca po leczeniu. Pod warunkiem że nie zażywają ponownie substancji – dodaje dr Więckiewicz.

Podkreśla też, że szerokie wprowadzenie psylocybiny do leczenia depresji nie będzie dla psychiatrii rewolucją. – Po prostu zyskamy kolejne narzędzie do leczenia. Zaleta psylocybiny polega na tym, że wyjątkowo szybko – zaledwie w kilka godzin – zwiększa wrażliwość receptorów serotoninowych. Podczas gdy w przypadku dotąd używanych leków trwa to trzy, cztery tygodnie. A to zaburzenia receptora serotoninowego są jedną z prawdopodobnych przyczyn depresji – tłumaczy.

Jednak, jak zaznacza psychiatra, zwiększona wrażliwość po psylocybiny nie jest zmianą trwałą. Co więcej, nie znamy też jeszcze długofalowych efektów jej przyjmowania.

Lekarz zauważa przy tym, że chociaż przyjmowanie części substancji psychoaktywnych wiąże się z niskim ryzykiem uzależnienia fizycznego, to może prowadzić do uzależnienia psychicznego, kiedy brak danej substancji wywołuje rozdrażnienie i niepokój.

KWESTIA BEZPIECZEŃSTWA

DOKTOR WIĘCKIEWICZ OPOWIADA, że przychodzili do niego pacjenci, którzy oczekiwali aprobaty związanej z tym, że spróbowali samodzielnej „terapii”

psylocybina. Nie słyszeli jej, bo lekarz widział za wiele osób, które po takich doświadczeniach czy rytuałach z szamanami miały poważne problemy psychiczne.

Dlatego nie jest zwolennikiem legalizacji (wprowadzenia do legalnego obrotu) psylocybiny. Podkreśla jednak, że sensowna byłaby depenalizacja substancji. Jak mówi, 90 proc. spraw sądowych związanych z narkotykami – a tak w prawie są klasyfikowane również psy-



„*Nie można zagwarantować, że nie przytrafi nam się „bad trip”. Część ludzi, którzy go doświadczyli, żałuje, że przyjęła psychodeliki*

MACIEJ LORENC, SOCJOLOG, CZŁONEK ZARZĄDU POLSKIEGO TOWARZYSTWA PSYCHODELICZNEGO

chodeliki – dotyczy zatrzymania osób, które miały przy sobie trochę substancji na własny użytek, a nie tych, które nimi handlują.

– Policja skupia się na łapaniu nastoletków, często łamiąc im życiorysy – zauważa dr Gniewko Więckiewicz. Ekspert wskazuje na Czechy, w których dekryminalizację wprowadzono wiele lat temu, co nie tylko nie zwiększyło skali zażywania, ale też pozytywnie wpłynęło na bezpieczeństwo – człowiek, który nie boi się kary, ma znacznie mniejszy problem, aby opowiedzieć lekarzowi, co zażywał, a to wpływa na

możliwość uratowania życia w kryzysowej sytuacji.

REMEDIUM NA WYPALENIE

ROBERT I ALICJA DŁUGO MIELI W GŁOWACH negatywny obraz psylocybiny. – Kiedy byliśmy w szkole, to na lekcjach wmówiono nam, że grzyby czy LSD właściwie nie różnią się od heroiny. Przekonywano, że po jednym i drugim kończy się w kryzysie, gdzieś pod mostem – mówi Alicja.

Do tego mieli znajomego, który po grzybach dostał psychozy i już nie wrócił do pełni zdrowia psychicznego. Jednak z czasem ich nastawienie zaczęło się zmieniać.

– Jesteśmy architektami, obracamy się w środowisku kreatywnym. Zaczęliśmy więc słyszeć opowieści o tym, jak grzyby pomagają w pracy, jak pobudzają twórczo – wyjaśnia Robert.

Po kilku latach prowadzenia swojej firmy architektonicznej poczuli, że przyszło wypalenie, i wtedy uznali, że może warto spróbować. Zdecydowali się na mikrodawkowanie.

– Dzięki temu znów zaczęliśmy tworzyć projekty, które mają w sobie to coś. Bo wcześniej działaliśmy już trochę na zasadzie kopiuj-wklej, zero polotu. Klienci przestali nas polecać, a teraz mamy zapelniony grafik – cieszy się Robert.

CIEŃ STRACHU

SĄ TEŻ EFEKTY ZDROWOTNE. Rzucili palenie, ograniczyli również alkohol. Niby wiedzieli, że to trucizna, ale dopiero psylocybina pozwoliła im w pełni to sobie uświadomić.

Alicja i Robert robią regularne przerwy od przyjmowania grzybów, żeby dalej działały przy małych dawkach. Trzymają się także zasady, aby nie przyjmować ich w trakcie urlopu.

Alicja wyznaje: – Jednak trudno mi sobie wyobrazić, żebym w ogóle przestała z nich korzystać. Fizycznie to byłoby łatwe, ale emocjonalnie... Boję się, że straciłabym całą kreatywność. To chyba nie jest dobry znak? **N**

karolina.rogaska@newsweek.pl

MIIONA BOHATERÓW ZOSTAŁY ZMIENIONE

PRZEMOC W SZKOLE

Mobbing bez kary

Nikt tu pani nie lubi – powtarzał jej dyrektor, odkąd założyła związek zawodowy. Potem sfalszował dowody, że pięć uczennic doprowadziła niemal do samobójstwa. Pracują nadal w tej samej szkole

TEKST ALEKSANDRA PEZDA
ZDJĘCIA PIOTR ULANOWSKI

Dorota Olszewska-Sioma,
nauczycielka mobbingowana
przez dyrektora

W uzasadnieniu wyroku sędzia Sądu Rejonowego w Toruniu przyznał, że dyrektor „manipulował faktami” i oskarżył nauczycielkę „fałszywie”. Działal „z zamiarem doprowadzenia do zwolnienia jej z pracy”. Skrupulatnie wyliczył oskarżonemu, że ten spreparował notatki służbowe tak, żeby w sposób nieprawdziwy przedstawiały przebieg zdarzeń. Do tego poniżał nauczycielkę w oczach kolegów, stosował wobec niej „groźby bezprawne”.

Za mobbing oraz tworzenie fałszywych dowodów sąd mógł wymierzyć byłemu dyrektorowi karę do pięciu lat więzienia. Prokurator zażądał roku w zawieszeniu i zakazu pełnienia funkcji kierowniczych na pięć lat, nauczycielka domagała się prac społecznych w ramach zadośćuczynienia. Sąd jednoznacznie przesądził o winie dyrektora, po czym warunkowo

umorzył mu karę. Dlaczego? Aby nie pozbawiać go szansy na dalszą pracę w zawodzie nauczyciela.

SZKOŁA PODSTAWOWA NR 8 W TORUNIU. Klasyczna tysiąclatka, ale wewnątrz pracowni, których mogłaby pozazdrościć każda publiczna placówka: w językowej – słuchawki, w muzycznej – keyboardy i perkusje, w przyrodniczej – mikroskopy. Jest kuchnia i bogato wyposażona sala zajęć praktyczno-technicznych. To dorobek ośmioletniej kadencji byłego już dyrektora Grzegorza B. „Pracowałem z pełnym zaangażowaniem, nieraz po 12 godzin” – zezna dyrektor w sprawie karnej.

„Przez siedem lat atmosfera w szkole była wspaniała” – powie przed sądem. W ostatnim roku jego urzędowania musiała się popsuć z powodu założenia przez Dorotę Olszewską-Siomę oddziału Inicjatywy Pracowniczej.

W 2020 ROKU DYREKTOR WPROWADZIŁ podział starszych roczników na grupy według umiejętności.

– Zostałam w pojedynkę z 33-osobową grupą 13- i 14-latków. Najślabszych, jeśli chodzi o szkolne postępy, w tej grupie były też dzieci z różnymi problemami, np. emocjonalnymi – opowiada polonistka Dorota Olszewska-Sioma. – Na spotkaniu polonistek poruszyłam temat sensowności tego rozwiązania. Dyrektorowi to się nie spodobało. Kiedy się okazało, że rodzicom też to nie pasuje i ściągnęli do szkoły kuratorium, zrobił ze mnie kozła ofiarnego – mówi nauczycielka. Wtedy założyła związek zawodowy. – Chodziło o to, żeby pracownicy też mieli wpływ na to, co się w szkole dzieje – mówi.

W LISTOPADZIE 2020 ROKU DYREKTOR GRZEGORZ B. żali się na Radzie Pedagogicznej na związek założony przez po-

lonistkę. Czuje się nękanie. Oskarża ją o „ostentacyjne negowanie” jego innowacyjnych rozwiązań i podburzanie rodziców. Mówi, że to wywołało „szereg konsekwencji”, m.in. kontrolę dokumentacji przeprowadzoną przez Kuratorium Oświaty.

Kuratorium nakazało zlikwidować grupy międzyoddziałowe, bo prowadziły do segregacji uczniów.

– Po tej decyzji dyrektor już nękał mnie bezustannie – mówi Olszewska-Sioma. Wzywał do gabinetu, mówił: – Nikt tu pani nie lubi. Dziwię się, że tu pani jeszcze pracuje!

Na radach była stawiana jako negatywny wzór. Coś się nie udało – winna Sioma. Dyrektor przy kolegach zarzucał jej np., że nie stawiała się na korytarzowym dyżurze. Gdy udowodniła, że tego dnia nie miała przydzielonego dyżuru, wycofał oskarżenie, ale już w rozmowie w cztery oczy. Za to czatował na nią na korytarzu i nagrywał, gdy podczas jej dyżuru jakieś dziecko odważyło się przebiec korytarzem.

– Dyrektor miał obsesję, że ktoś go chce wysadzić ze stołka – mówi Aleksandra Kowalska, anglistka. Już nie pracuje w SP nr 8. Też była członkinią Inicjatywy Pracowniczej. Podpadła, bo podczas pandemii w mailu zaadresowanym do wszystkich pracowników zwróciła dyrektorowi uwagę, że nie została poinformowana o zawieszeniu zajęć. – Dyrektor zawiadomił rodziców, że szkoła będzie zamknięta, zapomniał poinformować nauczycieli. O szóstej rodzice dzwonili, czy muszą zostać z dziećmi w domu? Odpowiadałam, że to plotka, zrobiła się afery – opowiada nauczycielka.

Potem była wzywana na dywanik. – Krzyczał na mnie, że to on jest dyrektorem, że mam się nie mieszać. Jak mi się nie podoba, mogę zrezygnować z pracy. Powtarzał, że nikt mnie nie lubi i że czyham na jego stanowisko.

Na początku Inicjatywa Pracownicza liczyła 17 członków. Po aferze z kuratorium dyrektor wręczył wypowiedzenia trojgu z nich. Dwoje odeszło do innej pracy, jedna osoba wywalczyła powrót. – Zastraszał ludzi, jednocześnie odeszło ze związku osiem osób – mówi Olszewska-Sioma. Wreszcie przyszedł czas i na nią.

WEDŁUG DANYCH CENTRALNEGO INSTYTUTU OCHRONY PRACY – Państwowego Instytutu Badawczego co dziesiąty nauczyciel w Polsce może doświadczać mobbingu. W ankiecie przeprowadzonej w 2022 r. przez OSKKO (Ogólnopolskie Forum Oświatowe Nauczycieli i Dyrektorów) aż 76 proc. nauczycieli przyznało, że zetknęło się z różnymi formami przemocy ze strony przełożonego.

– W szkołach panują stosunki feudalne. Drobnny sprzeciw czy próba wyrażenia swojego zdania kończy się takim właśnie atakiem i niszczeniem – mówi Violetta Kalka, polonistka z technikum

„Krzyczał na mnie, że to on jest dyrektorem, że mam się nie mieszać. Jak mi się nie podoba, mogę zrezygnować z pracy. Powtarzał, że czyham na jego stanowisko

ALEKSANDRA KOWALSKA, ANGLISTKA

w Toruniu. Prowadzi na FB strony: Uwaga, mobber w szkole (4,3 tys. członków) oraz Nauczyciel zmienia zawód (39 tys. członków). – Nauczyciele często nie decydują się iść do sądu. Nie mają pieniędzy na prawnika i brakuje im przekonania, że mogą sprawę wygrać – mówi Kalka. Z jej perspektywy Dorota Olszewska-Sioma jest fajterką, która przyczyni się do wzrostu świadomości wśród nauczycieli. Choć kosztem własnego zdrowia. – Nauczyciele nie znają swoich praw, nie walczą o swoje, w ogóle mają małą świadomość praw pracowniczych – tłumaczy Kalka. – To się musi zmienić. Bo co to za społeczeństwo, gdzie za fasadą dobrej

szkoły często kryje się niewyobrażalna przemoc?

W MARCU 2021 ROKU DOROTA OLSZEWSKA-SIOMA w klasie 6a prowadziła lekcję o problemach psychicznych dorastającej młodzieży. Trwała pandemia, zajęcia odbyły się na Zoomie. – Tyle się słyszało, że dzieci cierpią zamknięte w domach. Wydawało mi się ważne, żeby z nimi o tym porozmawiać – mówi nauczycielka. Rozmawiali o anoreksji, potem zapytała, jakie jeszcze problemy przychodzą im do głowy? Wymienili depresję. Zadała im do domu reportaż o depresji i poleciła film na YouTube.

Afera wybuchła w czerwcu. Matka jednej z uczennic opowiedziała dyrektorowi, że dziewczynka po tych zajęciach próbowała się okaleczyć, tzn. zadrapała się w dłoń nożyczkami i zapytała matkę, czy to już depresja. Potem oglądały wspólnie filmy na ten temat i poszły do psychologa. Druga z uczennic zrobiła w sieci psychotest i z wynikiem poszła do rodziców – wyszło, że ma zaburzenia nastroju. Wystarczyła jednak rodzinna rozmowa. – Cel był taki, żeby dzieci rozmawiały z rodzicami o tym problemie. To była część zadania domowego – mówi polonistka.

Ale dyrektor natychmiast zawiesił ją w obowiązkach i złożył zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Zznał, że w klasie 6a pocięto się pięcioro dzieci, wszystkie z powodu niekompetentnego zachowania nauczycielki od polskiego.

Od 21 czerwca do 21 grudnia 2021 r. Olszewska-Sioma nie pracowała. Komisja dyscyplinarna w szkole oczyściła ją z zarzutów. Dyrektor odwołał się jednak do Rzecznika Dyscyplinarnego dla Nauczycieli przy Wojewodzie Kujawsko-Pomorskim. Ten przyznał rację nauczycielce, ale trwało to do października. Policja też odmówiła wszczęcia postępowania.

Jednak polonistka już wtedy leczyła w domu depresję.

W STYCZNIU 2022 R. OLSZEWSKA-SIOMA wróciła do pracy w szkole. A już w Dzień Kobiet w mailu do wszystkich nauczycieli dyrektor B. napisał: „W szkole szykują



VIOLETTA KALKA:
**– W SZKOŁACH
 PANUJĄ STOSUNKI
 FEUDALNE. DROBNY
 SPRZECIW CZY PRÓBA
 WYRAŻENIA
 SWOJEGO ZDANIA
 KOŃCZY SIĘ ATAKIEM
 I NISZCZENIEM**

się duże zmiany. W dniu wczorajszym otrzymałem ocenę pracy z Kuratorium Oświaty. Ocena dobra, którą otrzymałem, powoduje, że nie mogę przystąpić do konkursu na stanowisko dyrektora. Jednocześnie uruchomiłem procedurę wręczenia wypowiedzeń z art. 20 (brak miejsc pracy) dla następujących osób” – tu nazwiska sześciu nauczycielek. W tym Olszewskiej-Siomy.

– Jedna z pań tworzyła listę poparcia dla dyrektora, żeby ją wysłać do urzędu. Nie mogłam tego podpisać. Dyrektor od miesięcy stosował podstępny, nastawiał jednych przeciwko drugim, żeby się pozbyć Doroty – mówi mi jedna z osób z tamtej listy. Dwie odeszły ze szkoły, cztery zostały przywrócone do pracy. – Pracowałam wiele lat, dyrektor mnie nagradzał, chwalił i stawiał za wzór. A potem mnie zaszczuła. O tym, że będę zwolniona, dowiedziałam się z tego maila – mówi mi jedna z nich. Do dziś się boi,

mimo że szkołą kieruje już ktoś inny. – Ciągłe myślę, czy czegoś nie zrobiłam źle, jestem znerwicowana i wykończona – podkreśla.

Tydzień po wręczeniu wypowiedzeń dyrektor B. pisze mail do dyrektorów innych placówek oświatowych w Toruniu: „W trosce o Państwa i pozostałe placówki naszego miasta chciałbym ostrzec kolegów i koleżanki przed zatrudnianiem niektórych osób zwolnionych w tym roku szkolnym (...). Są to osoby, które donosiły na dyrektora szkoły, pisały artykuły do prasy, ściągnęły stację TVN24 – program UWAGA!, zniszczyły dobre imię szkoły oraz jej dyrektora”.

– PODPISAŁYŚMY NEGATYWNĄ OPINIĘ na temat dyrektora B. w związku z konkursem na trzecią kadencję. Nie mógł w nim startować. Wziął więc na nas odwet – mówi Dorota Olszewska-Sioma o zwol-

nieniu z pracy w marcu 2021 r. A raczej – próbie zwolnienia. Bo wygrała sprawę przed sądem pracy, który zasądził jej odszkodowanie: 35 tys. zł. Polonistkę do pracy przywracała nowa dyrektorka.

W tym czasie toczyła się już sprawa przed Wydziałem Karnym o mobbing i preparowania dowodów przeciw nauczycielce. „Stoję tutaj oskarżony za czyny, których nie popełniłem” – mówił na ostatniej rozprawie Grzegorz B. Żalił się, że ma kłopoty rodzinne, a jego kariera leżała w gruzach – mógł mieć etat w prestiżowym liceum, ale z powodu „fali hejtu” i procesu dostał ledwie kilka godzin lekcyjnych. Mówił też, że „przed każdą rozprawą grupa ludzi w szkole się zbierała i modliła w mojej intencji”.

Sioma: – Pytałam swojego psychiatrę: jak to jest, że ja mam swoją opowieść, którą potwierdzają kolejne sądy, a były dyrektor ma swoją bajkę, zupełnie przeciwną i jemu to się jakoś wszystko zgadza.

SĄD UZNAŁ GRZEGORZA B. ZA WINNEGO uporczywego naruszania praw pracowniczych polonistki i fałszywego zawiadomienia o przestępstwie. Poleciał wypłacić jej 8 tys. zł tytułem częściowego zadośćuczynienia. Postępowanie jednak warunkowo zawiesił na okres próby.

– Tym wyrokiem sąd wysłał zły sygnał społeczeństwu. Chroni sprawcę i dodatkowo wiktyimizuje ofiarę – mówi Przemysław Kwaśniewski, adwokat Doroty Olszewskiej-Siomy. I zapowiada apelację.

Przez trzy lata walki o utrzymanie pracy i obronę swojego imienia Dorota Olszewska-Sioma udowodniła Grzegorzowi B. mobbing trzykrotnie – raz przed komisją dyscyplinarną, drugi raz przed sądem pracy, teraz przed Wydziałem Karnym. Jednak niemal codziennie mijają się w drzwiach tej samej szkoły, bo nadal pracują razem. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Grzegorz B. stanął do kolejnego konkursu na dyrektora.

Nauczycielka z dawnej czarnej listy: – Nie uważam, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Ten wyrok świadczy o tym, że dyrektor jakby winny, ale niewinny. **N**

aleksandra.pezda@newsweek.pl

ZA GROSZ KULTURY

Dominika Olszyna

Koszmar małżeński



Zdrzew opadły liście, aura szara, dzień kończy się, zanim dobrze się rozkręci. Szczerze nie nawidzę jesieni i zimy. Nie jestem jesieniarą, nie popijam radośnie dyniowej latte otulona kaszmirowym kocem. Po prostu chcę przetrwać ten czas i jakoś przeżyć do kwietnia.

W takich okolicznościach każdy radzi sobie, jak może. W tym sezonowym zaspaniu najczęściej wybieram kanapę i muszę włączyć film lub serial, który znam. Mam obsesję na punkcie produkcji z lat 90. i czerpię przyjemność z tej kulturalnej „duchologii” (jak świetnie to określiła Olga Drenda). Nie mam telewizji, więc nie jestem na bieżąco z powtórkami, nie wiem, jak często puszcza na film Romana Załuskiego „Komedia małżeńska”, ale mam nadzieję, że regularnie. To świetny przykład dla pokolenia moich rodziców, w jakich toksycznych warunkach próbowali nas wychować. I jak wiele rzeczy w dorosłym życiu musimy przepracować sami.

Film Załuskiego to komedia, ale po latach to, co mogło śmieszyć, jednak napawa dużym niepokojem. Wielkomiejski dom Marii (Ewa Kasprzyk) i Wiktora (Jan Englert) dzieciom w prawdziwym życiu na bank przysporzyły wielu powodów, aby ukojenia poszukać u terapeutę. Zacznijmy od tego, że Wiktor to idealny przykład ojca, którego nie ma w domu. Wymaga pełnej obsługi, ale także spokoju po ciężkim dniu pracy. Nawet jeśli spędził z kolegami czas w lokalu w towarzystwie atrakcyjnych pań Peggy i Maggie. Tu zresztą pojawia się ciekawy wątek powrotu polskiego ojca do domu. W latach 80. i 90. z jakiegoś powodu normą było, że droga prowadziła przez knajpę, a mężczyzna po pracy mógł być spontanicznie na rauszu. Filmowa Maria nagle znika z domu, bo było o jedną knajpę za dużo. Wiktor szuka pomocy u swojej flamy, która tym razem mogłaby odciążyć go od zakupów i sprzątanina. Zresztą pan domu już w pierwszych minutach po zniknięciu żony obowiązkami obciąża córkę Kasię (Dagmara Cypryński), która na pewno wie, gdzie są salaterki i jak przygotować jedzenie. Dwóch synów do garów nie woła.

Maria to niezrealizowana feministka. W teorii dużo wie o emancypacji, a nawet więcej od innych, bo tłumaczy zachodnią prasę na ten temat dla umęczonych patriachatem Polek. Oczywiście, w chwilach „wolnych” od obowiązków domowych. Zmęczona, zaniedbana, bez czasu dla siebie, od rana do nocy wykonuje polecenia męża i dzieci. Ucieka od nich do Warszawy. Mamy rok 1993, to miasto przemian i możliwości. Wystarczyło na Dworcu Centralnym (wtedy tak samo brzydkim jak teraz) kupić

gazetę i przeczytać kilka anonsów. Natychmiast znajduje świetną pracę, nawet dostaje zaliczkę i dzięki temu przechodzi metamorfozę. Z kury domowej przeistacza się w elegancką kobietę biznesu stylizowaną na bohaterkę „Dynastii”. W holu hotelu Marriott spotyka swojego niedoszłego chłopaka Waldiego (Krzysztof Kolberger). Waldi wyjechał robić karierę za ocean, a dziś Marii obiecuje romans w Paryżu. Przy okazji podrzuca informacje o stanie konta, żeby nie było wątpliwości, że to naprawdę wielki świat. Maria ma zasady, więc tak szybko nie ulega czarowi. Wjeżdża nawet wielki bukiet czerwonych róż, których pewnie nigdy nie dostałaby od Wiktora.

W tym samym czasie jej domem zajmuje się przyjaciółka feministka Wanda (Ewa Dałkowska), która swoimi tyradami wprowadza feministyczny porządek. Niestety, tak jak instytucja rodziny, tak i feminizm zostaje obśmiany. Wychodzi na to, że ten beznadziejny Wiktor jest nawet dla świadomej swojej wartości kobiety obiektem westchnień. Na szczęście mama wraca, są duże pudełka prezentów, Wanda znika, dzieci mają się rozejść do swoich pokojów. Rodzice będą rozmawiać, co

Film „Komedia małżeńska” to świetny przykład dla pokolenia moich rodziców, w jakich toksycznych warunkach próbowali nas wychować

dalej. Oczywiście, bez dzieci, bo „dzieci i ryby głosu nie mają”. Zakończenie daje nadzieję, że przez dom przejdzie obyczajowa rewolucja. Zwiastuje ją to, że to Wiktor musi wszystkich rano budzić i zaganiać do łazienki. Następuje magiczne odwrócenie ról. Patriarchat upadł, a zamiast niego pojawiło się partnerstwo.

Oczywiście, wiemy, że w prawdziwym życiu nikt tak szybko się nie zmienia. Wiktor musiałby przejść lobotomię mózgu, aby nabrać nowych nawyków i zobaczyć potrzeby żony. To było to przeciąganie liny, które wydarzyło się w wielu polskich domach w czasie transformacji. Na oczach dzieci, wcześniej wspomnianej filmowej Kasi, która na własne oczy zobaczyła przemianę matki. Jeżeli wyciągnęła z tego wnioski, to – jak pokazują badania – ma bardzo wysokie oczekiwania wobec mężczyzn. A także wielką niechęć do odtwarzania wzorców pokazanych w domu. Ma też dużo uwag i pretensji do swoich rodziców. **N**

Dominika Olszyna jest redaktorką naczelną Onet Lifestyle i Onet Kultura



Pamięć o Katyniu nabiera dziś szczególnego znaczenia

Wystawa „Sportowcy dla Niepodległej: KATYŃ” podróżuje po Polsce. Plansze przedstawiają opowieść o zasłużonych sportowcach, którzy w chwili próby stanęli do walki w obronie naszej wolności i niepodległości.

W 80. rocznicę odkrycia grobów katyńskich ukazały się książka Instytutu Łukasiewicza „Sportowcy dla Niepodległej: KATYŃ” oraz wystawa i katalog pod tym samym tytułem. Jesienią plansze ruszyły w drugi objazd po Polsce (docierając m.in. do Katowic, Poznania, Piotrkowa Trybunalskiego i Pruszkowa). Historycy oceniają, że ofiarą zbrodni katyńskiej padło kilkuset sportowców i działaczy sportowych. Autorzy wystawy i katalo-

gu prezentują historie kilkanaściorga, których losy udało się zrekonstruować dzięki wykorzystaniu archiwalnych tekstów prasowych i publikacji naukowych. Są wśród nich pierwsi polscy olimpijczycy, a także prekursorzy, którzy jeszcze przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę przecierali szlaki kolejnym pokoleniom sportowców. Pierwszy polski zwycięzca w międzynarodowych zawodach lekkoatletycznych, pierwsza kobieta w Europie, która wykonała skok ze

spadochronem z wysokości 5000 m, jeden z pierwszych polskich metodologów sportu – to m.in. o nich opowiadają książka, katalog i wystawa.

Piłkarz Warty Poznań

W Poznaniu wystawę będzie można oglądać w Muzeum Martyrologii Wielkopolan – Fort VII od 20 listopada. Trafi tam również dodatkowa plansza o związkach piłkarza Mariana Społdy z tym miastem. Zawodnik z dumą reprezentował barwy Warty od

15. roku życia do końca kariery, zwyciężonej mistrzostwem Polski w 1929 r. Trafił do obozu jenieckiego w Kozielsku. 16 kwietnia 1940 r. wywieziono go do katyńskiego lasu, gdzie padł ostatni strzał.

Policjant i bokser

W Katowicach plansze zaprezentowano w Komendzie Wojewódzkiej Policji. Siedzibę ma tam Ogólnopolskie Stowarzyszenie Rodzina Policyjna 1939 r. – Wystawa to znak narodowej pamięci. Stanowi ważny element dopełniający 80. rocznicę odkrycia grobów katyńskich – mówi prezes stowarzyszenia Grzegorz Grześkowiak. – Zaprezentowanie na wystawie śp. aspiranta Zygryda Wendego to wyraz hołdu i pamięci o wszystkich śląskich policjantach II RP, którzy wiosną 1940 r. zostali zamordowani przez funkcjonariuszy NKWD – dodaje.

Wende wstąpił do Policji Województwa Śląskiego i zasilł sekcję bokserską Policyjnego Klubu Sportowego w Katowicach. W kwietniu 1940 r. został zamordowany strzałem w tył głowy. Jego ciało wrzucono do dołu w Miednoje.

Dyskobol i żołnierz

Do Trzemeszna (woj. wielkopolskie) trafiła dodatkowa plansza poświęcona Józefowi Baranowi-Bilewskiemu. Jako żołnierz brał udział w obronie Lwowa i wojnie polsko-bolszewickiej, jako sportowiec odnosił sukcesy w kil-



ku konkurencjach lekkoatletycznych, m.in. pchnięciu kulą i rzucie dyskiem. Sześć razy wywalczył tytuł mistrza Polski, a 14-krotnie bił rekordy kraju. Należał do czołowych teoretyków i organizatorów polskiej lekkoatletyki w międzywojniu. Został zamordowany przez Sowieców w katyńskim lesie. – Wystawa szczególnie znaczenie będzie mieć w zespole szkół, a to z uwagi na związki liceum z postacią kapitana Józefa Barana-Bilewskiego – zauważa Maciej Adamski, nauczyciel w trzemeszeńskim Zespole Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych oraz Szkole Podstawowej nr 1. – Józef Baran-Bilewski wielokrotnie był w Trzemesznie; na boisku gimnazjalnym zorganizował zawody lekkoatletyczne, w których wystąpił obok innych znanych przedwojennych sportowców. Prezentacja wystawy w miejscu związanym z bohaterem stanie się zatem jego symbolicznym powrotem do Trzemeszna.

– Pamięć o zbrodni katyńskiej dokonanej przez Sowieców jest ogromnie ważną częścią polskiej tożsamości historycznej. Przypomnienie ofiary krwi

to nasz obowiązek, tym bardziej że komunistyczne władze PRL-u utrzymywały przez wiele lat kłamstwo katyńskie – mówi Kamil Bortniczuk, minister sportu i turystyki. – W wolnej Polsce jesteśmy winni szacunek wszystkim ofiarom, wśród których nie zabrakło ludzi sportu. Musimy przekazać prawdę następnym pokoleniom, ponieważ Rosja nie wyzbyła się imperialnych zapędów i zbrodniczych metod działania. Po upływie 80 lat Rosjanie dopuszczają się bardzo podobnych praktyk. Dziś też słyszy się o ofiarach mordowanych strzałem w tył głowy pod Kijowem. Pamiętajmy, że na Ukrainie ciągle giną sportowcy, a agresorzy niszczą sportowe obiekty. Totalitaryzm chętnie wykorzystują sport do szerzenia swojej ideologii i oczyszczenia wizerunku – podkreśla minister. ●

Projekt jest współfinansowany ze środków Ministerstwa Sportu i Turystyki w ramach programu „Sport dla wszystkich”. Sylwetki sportowców można znaleźć na stronie: www.sportowcydlaniedopodleglej.pl

” Po upływie 80 lat Rosjanie dopuszczają się bardzo podobnych praktyk. Dziś też słyszy się o ofiarach mordowanych strzałem w tył głowy. Pamiętajmy, że na Ukrainie ciągle giną sportowcy, a agresorzy niszczą sportowe obiekty.

Newsweek HISTORIA

105 LAT TEMU SKOŃCZYŁA SIĘ WIELKA WOJNA

CZERWONE MAKI POD PÉRONNE

Jadę z Thiepval zlewiskiem Sommy i wyobrażam sobie, jak w 1916 r. w tym idyllicznym regionie płynęła rzeka krwi, poszarpanych wnętrzości i urwanych kończyn

TEKST KRZYSZTOF VARGA, PIKARDIA



Żołnierze piechoty
brytyjskiej
wybiegający
z okopów na
sygnał do szturm,
Somma 1916 r.

Bitwa nad Sommą, mimo że nie tak legendarna jak masakra pod Verdun, była najstraszniejszym starciem I wojny światowej. W czasie oblężających walk między lipcem a listopadem 1916 roku na polach Pikardii poległo, zaginęło i zostało rannych ponad milion Brytyjczyków, Francuzów i Niemców. Tylko w ciągu kilku pierwszych godzin ofensywy aliantów 20 tys. Brytyjczyków zostało rozsiekanych przez niemieckie cekaemy i artylerię, a 40 tys. było rannych. Wielu nawet nie odnaleziono, a jeśli, to niepodobna było zidentyfikować zmasakrowane ciała.

I WOJNA ŚWIATOWA CHARAKTERYZOWAŁA SIĘ TYM, że technologia zabijania wyprzedziła gwałtownie myśl taktyczną – artyleria i karabiny maszynowe rozszarpywały całe bataliony idące do szturmów, a generałowie rzucali do boju kolejne pułki i dywizje. Brytyjczycy i Francuzi zdobywali kosztem straszliwych strat niemieckie okopy, a następnie Niemcy kosztem strasz-

liwych strat odzyskiwali teren i zdobywali brytyjskie i francuskie pozycje obronne, skąd później byli wypierani przez ruszających do kontrataku Brytyjczyków i Francuzów, którzy kosztem niewyobrażalnych strat odzyskiwali to, co wcześniej stracili, a jeszcze wcześniej zdobyli. Zdarzało się, że z angielskiego batalionu liczącego około 800 żołnierzy po szturmie pozostawało mniej niż 100 ludzi. Ideą brytyjskiego dowództwa, opracowującego plany ofensywy nad Sommą, nie było ani przecięcie niemieckich linii komunikacyjnych, ani zdobycie strategicznie ważnego terenu, ale wyłącznie wykrwawienie sił niemieckich. Co zresztą się udało. Oczywiście kosztem niewyobrażalnych strat.

Niemieccy weterani, którym przyszło wachać proch nad Marną, pod Verdun czy w Galicji, wspominali, że piekło Sommy było nieporównywalne z niczym. Nawały artyleryjskie, ogień zaporowy, gazy bojowe i nieustająca praca cekaemów odsyłających w zaświaty w sposób przemysłowy całe generacje młodych mężczyzn. Ale i swoisty fason wciąż rycerskiej wojny, gdzie jeńców traktowano honorowo, a pułki szkockich górali do szturmów przez zatopioną w błocie ziemię ruszały, a jakże, w kiltach.

Walczyli tu Anglicy, Szkoci, Walijszczy, północni Irlandczycy, Kanadyjczycy, Australijczycy oraz Nowozelandczycy, a także Brygada Południowoafrykańska. Ginęła cała męska populacja wsi i miasteczek, bo poszczególne regimenty tworzone były na zasadzie terytorialnej.

PRZEZ WIELE MIESIĘCY BRYTYJCZYCY USIŁOWALI ZDOBYĆ POZYCJĘ NIEMCÓW w okolicach miejscinki Thiepval, leżącej między Amiens a Albert. Pomnik zaginionych żołnierzy Imperium Brytyjskiego oddalony jest o kilka minut spacerem od poświęconego rzezi muzeum, tam zostawia się samochód, a potem idzie wzdłuż płaskiego pola i chwilę później wychodzi na okrągły plac. Po jego prawej stronie rozpościera się widok potrójnego łuku wysokiego na 45 metrów.

Na ścianach „memorialu” wyryto nazwiska 72 tys. brytyjskich i południowoafrykańskich żołnierzy, którzy zniknęli bez śladu, bo ich ciała nie odnaleziono. Na tyłach budowli znajduje się cmentarz francusko-brytyjski; najczęstszym napisem na francuskich krzyżach jest lakoniczny „Nieznany”, zaś na brytyjskich stelach wzniosły „Żołnierz Wielkiej Wojny. Znany Bogu”. Wśród brytyjskich poległych dominują żołnierze z Regimentu Cheshire, z Royal Scots, i z Regimentu Essex, wyciętego prawie w pień nad Sommą, choć nie aż tak jak kanadyjski Regiment Nowej Fundlandii, bo ten przestał niemal istnieć. Byli też polegli z Regimentu Yorkshire, z zamglonych wrzosowisk północnej Anglii, skąd w błoto nad Sommą przybywali młodzi robotnicy, piekarze, rzeźnicy, poeci, urzędnicy, a wszyscy po to, by próbować nie zginąć.

W muzeum w Thiepval masakra nad Sommą została zamieniona w banalny komiks – wzdłuż ścian ciągnie się długa na 60 metrów czarno-biała, podświetlona panorama. Ukazuje wydarzenia feralnego 1 lipca 1916 r., kiedy zginęło 20 tys. Brytyjczyków – idea wykrwawiania Niemców ciągłymi atakami, lansowana przez generała Douglasa Haiga, miała ten feler, że powodowała monstrualne straty.

Z THIEPVAL DO PÉRONNE JEDZIE SIĘ PÓŁ GODZINY ZLEWISKIEM SOMMY i trzeba sobie wyobrażać, jak w tym idyllicznym regionie, na tych polach, między bagnami, w miasteczkach, gdzie dziś odbywają się cotygodniowe targi, płynęła rzeka krwi i poszarpanych wnętrzności, a ziemia użyźniana była oderwanymi kończynami.

Muzeum Wielkiej Wojny w Péronne znajduje się w XIII-wiecznym zamku. Elegancka ekspozycja pokazuje w estetyczny sposób największą rzeźnię w dziejach ludzkości. Na dziedzińcu, do którego wkracza się między dwiema walcowatymi basztami, stoi pomalowany w kolorowe maskowanie St. Chamond, czołg bez-

wieżowy, jeden z najcudaczniejszych wynalazków tamtych lat. Kanciasta wanna z wystającym penisem 75-milimetrowej armaty, długi kadłub osadzony na zbyt krótkim podwoziu, za to z dziewięciosobową załogą, St. Chamond był niebywałą pokrąką i zupełnie nie radził sobie z pokonywaniem przeszkód terenowych. Wśród dziwolągów tamtych czasów jest w ścisłej czołówce, obok pełzającej niemieckiej stodoły A7V zabierającej aż 20 ludzi obsługi. Przynim symbol pancernych walk tamtej wojny, brytyjski Mark IV, sprawia wrażenie zgrabnej i przemyślanej w każdym detalu konstrukcji.

W środku muzeum bardzo precyzyjnie zestawiono przyrządy do zabijania oraz mające chronić przed byciem zabitym. Hełmy, karabiny, mundury, ale też narzędzia chirurgiczne i protezy nie wiszą w gablotach, leżą na podłodze w wielkich prostokątnych gablotach, ułożone w porządku kontekstowym. Gablota poświęcona eksperymentom wokół ochrony osobistej żołnierzy zawiera hełmy z żelaznymi przyłbicami, przypominającymi znane z późnego średniowiecza „psie pyski”. Obok stoją stalowe napierśniki, pierwsze próby stworzenia kamizelek kuloodpornych, czerpiące z tradycji znanych od starożytności kirysów. Są też lżejsze wersje pancerzy, czyli bawełniane bluzy z doczepionymi na piersiach kostkami metalu. Te zbroje, napierśniki, kamizele kuloodporne można było stosować jedynie w służbie wartowniczej, bo poruszać się w nich efektywnie, a co dopiero iść do szturmie nie dawało się.

Wielka Wojna upowszechniła wiele epokowych wynalazków, jak maska przeciwgazowa, czołg, samolot, ale też urodziła wiele wynalazków niepraktycznych, jak wózek z pancerzem mającym ochraniać strzelca. Żołnierz posuwał się na kłęczkach, z głową i górną częścią tułowia ukrytymi w metalowej puszcze opatrzonej dwoma kołami, a z przodu znajdował się otwór strzelniczy, przez który Francuz mógł strzelać ze swojego lebe-la czy berthiera. Ten wózek w muzeum w Péronne jest prawdziwym symbolem idiotyzmu tej wojny.

W gablotach leżą też puste mundury (bez manekinów) z całym ekwipunkiem poszczególnych armii: od butów, przez owijacze, spodnie, kurtki, ładownice, hełmy, czapki, kapelusze, bagnety, piersiówki, kosmetyki, komplety kart do gry i pudełeczka na tytoń, karabiny, manierki, menażki, sztucce, maski przeciwgazowe, pałatki i chusty z narysowaną instrukcją opatrywania ran i zakładania usztywnień na złamane kończyny. Ale też akordeony czy patefony przytargane na front, bo żołnierze chcieli choć trochę normalnie żyć. Pustka tych mundurów przeraża, jakby w wojnie walczyły fantomy, a nie żywi ludzie, ale też uzmysławia anonimowość masowej śmierci, nawet jeśli nazwiska poległych i zaginionych zostały wyryte na „memorialach”, pomnikach, zapisane w księgach.

W CZASIE OBŁAKAŃCZYCH WALK MIĘDZY LIPCEM A LISTOPADEM 1916 R. NA POLACH PIKARDII POLEGŁO, ZAGINĘŁO I ZOSTAŁO RANNYCH PONAD MILION BRYTYJCZYKÓW, FRANCUZÓW I NIEMCÓW

Są też zestawy mundurów, także w pozycji leżącej – paradne kurtki niemieckie z szamerunkiem, kawaleryjskie dolmany, błyszczące pikielhauby, trąbki sygnałowe, francuskie zestawy granatowych kurtek i czerwonych spodni, w tym kompletny mundur kirasjerski z napierśnikiem, bijącym w oczy złotą blachą hełmem, z długą kitą z końskiego włosia.

Wszystko w Péronne jest związane z podłym jak w rzeźni umieraniem, choć muzeum udaje, że nic nie ma wspólnego ze śmiercią, okrutną, masową, brudną, cuchnącą, gnijącą. Śmierć przedstawiona tu jest w postaci pocztówek propagandowych, plakatów, ale i sztuki: zestawu kilkudziesięciu ekspresjonistycznych grafik Otto Dix'a z cyklu „Der Krieg”, bo ten student ASP w Düsseldorfie walczył nad Sommą jako ochotnik, porzuciwszy naukę na rzecz wojny, a szczęśliwie wróciwszy do Niemiec w jednym kawałku stał się, obok George'a Grosza, prominentną postacią ruchu Nowej Rzeczywistości.

W muzealnym sklepiu w Péronne można kupić mnóstwo suvenirów z makami – symbolem pół bitewnych frontu zachodniego. Maki nie rosły tylko na Monte Cassino, ale też na polach Flandrii i Pikardii, po których szli do kolejnych samobójczych szturmów żołnierze wrogich armii. Maki w tutejszej tradycji symbolizują pola bitew tej wielkiej maszyny do mielenia ludzkiego mięsa.

W Péronne, podobnie jak w muzach w Thiepval, w Arras, w Albert, można kupić wisiorki z czerwonymi makami, kolczyki i bransoletki z makami, koszulki, apaszki i jedwabne szale z motywem polnych maków. Natychmiast na myśl przychodzi obraz Roberta Vonnoha „Na flandryjskim polu, gdzie śpią żołnierze i rosną maki”. Ten amerykański impresjonista namalował „Maki polne” na ćwierć wieku przed wybuchem Grand Guerre, ale już w trakcie wielkiej jatki zmieniono mu tytuł na zaczerpnięty z wiersza „Na polach Flandrii” kanadyjskiego poety Johna McCrae'a, który jako wojskowy lekarz służył pod Ypres.

JEDNYM Z MIAST, WOKÓŁ KTÓRYCH ODBYWAŁY SIĘ NAJCIEŹSZE WALKI, było Albert, na zdjęciach zrobionych po zakończeniu bitwy wyglądające gorzej niż Warszawa po powstaniu. To miasto na dziesięć tysięcy ludzi, z nieszczęśliwą historią, bo nawiedzane przez wojny, okupacje, zniszczenia. W XVI w. Albert paliły na zmianę armie króla Francji i Świętego Cesarstwa Rzymskiego, w czasie rewolucji francuskiej przesładowano tu katolików, po upadku Napoleona stacjonowali tu Kozacy, w czasie wojny francusko-pruskiej Niemcy trzymali tu francuskich jeńców, w czasie Grand Guerre wdeptano całe miasto w ziemię.

Dominującą budowlą jest neobizantyjska Bazylika Matki Bożej z Brebieres, postawiona tam w końcu XIX w. Nie przetrwała walk nad Sommą, podobnie jak nic w Albercie jej nie przetrwało, ale odbudowano ją skrupulatnie w międzywojniu. Do Muzeum Somma 1916 wchodzi się przez mały przeszklony pawilon, przyklejony do bocznej nawy bazyliki, jakby ktoś doczepił do świątyni nieduży sklep. Ten pawilon to tylko kasa i zejście do podziemi. Schodzi się dziesięć metrów w głąb, by przejść

300-metrowym tunelem. Cała ekspozycja pełna jest artefaktów z tamtych czasów: wszystkie elementy wojennej garderoby, hełmy, czapki, karabiny, pistolety, amunicja. We wnękach tunelu urządzono sporo dioram, pokazujących życie w okopach, w bunkrach dowodzenia, w ziemiankach radiotelegrafistów, w szpitalu polowym, w kantine, są też stacjonarne rowery, na których żołnierze pedałując, wytwarzali prąd. Jest zatrzęsienie manekinów odgrywających role Brytyjczyków w hełmach Brodiego, Hindusów w turbanach, Niemców w stalhelmach i pikielhaubach, cesarskich grenadierów w maskach gazowych o długich pochłaniaczach, wyglądających jak mrówkojady stojące na dwóch łapach, Francuzów w hełmach Adrian i wielgaśnych jak worki na kapcie beretach, południowych Afrykanów w umundurowaniu nie do odróżnienia od brytyjskiego, ale i Afrykanów z północy kontynentu w czerwonych fezach, a także snajperów w maskujących workach na głowach z otworami na oczy, wyglądających jak Strach na Wróble z filmu o Batmanie. Lecz bardziej przyciągają uwagę garnki, talerze, szklanki, butelki, kieliszki, sztucce, zegarki, sprzęty, bez których nie może się obejść żołnierz nawet siedzący w szambie wojny po uszy, taplający się w błocie tranzei, toczący wojnę nie tylko z wrogiem po drugiej stronie zasieków, ale ze szcurami, z wszami, całym robactwem, jakie żywi się śmiercią, brudem i rozkładem.

Prawda o wojnie, jaką uzyskujemy w Musée Somme 1916 w Albert, to ta, gdy staje się przed tablicą, która przedstawia potwornie zdeformowane męskie twarze – wynik ostrzału artyleryjskiego, wybuchów granatów i szrapneli. Mężczyźni z wyrwanymi szczękami, z odłupanymi połowami twarzy, z jednym okiem wyżej, drugim niżej, ale i miejscem po oku zastąpionym zarośniętą blizną, ale wszyscy żywi, ponieważ zdjęcia pokazywały ówczesny poziom chirurgii plastycznej. Tym mężczyznom starano się przywrócić choć część straconej urody, co powodowało, że ich życie po wojnie musiało być jeszcze straszniejsze od śmierci. Ten zestaw zdjęć przypomina, że wojna nie oznaczała wyłącznie milionów zabitych, ale kolejne miliony zamienione na budzące przerażenie żywe trupy. **N**

krzysztof.varga@newsweek.pl

Newsweek POLECA



Najnowszy numer „Newsweeka Historii” do kupienia już w czwartek 9 listopada, a w nim m.in.:

- Polski cyngiel Stalina. Dlaczego przeciwny komunista został namiestnikiem tyrauna w Polsce
- Droga do III Rzeszy. Po puczu monachijskim uważano, że Hitler już przegrał. To był błąd
- Chłopski buntownik. Czarna legenda i zaskakująca prawda o Jakubie Szeli

Premier Benjamin Netanjahu
z wizytą w kibucach Bari
i Kfar Gaza, 14 października 2023 r.



IZRAEL W STANIE WOJNY

CHCĄ NAS ZNISZ



DAN SHADUR JEST REŻYSEREM FILMÓW DOKUMENTALNYCH, JEGO DEBIUTANCKI FILM „BEFORE THE REVOLUTION” BYŁ POKAZYWANY NA DZIESIĄTKACH MIĘDZYNARODOWYCH FESTIWALI, POŚWIĘCONY NETANJAHU „KRÓL BIBI” JEST JEDNYM Z NAJCHĘTNIEJ OGLĄDANYCH IZRAELSKICH FILMÓW DOKUMENTALNYCH OSTATNICH LAT. NAJNOWSZY FILM „REBELIA SILVERA” MIAŁ MIĘDZYNARODOWĄ PREMIERĘ NA PAŹDZIERNIKOWYM WARSZAWSKIM MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU FILMOWYM

Newsweek ŚWIAT

Jeśli Netanjahu przetrwa politycznie obecny kryzys, to będzie koniec Izraela. Nie przetrwamy jako państwo – mówi **DAN SHADUR**, reżyser filmu dokumentalnego o izraelskim premierze „Król Bibi”

ROZMAWIA JACEK PAWLICKI

NEWSWEEK: Kiedy myślisz o 7 października, co przychodzi ci do głowy?

DAN SHADUR: Trudno na to odpowiedzieć. Przede wszystkim czuję zgrozę, przerażenie, straszny żal. Wciąż staramy się pojąć, co tak naprawdę się stało. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyliśmy. Buzuje w nas mieszanka uczuć nie do zniesienia...

Mija prawie miesiąc od ataków Hamasu na Izrael, a Benjamin Netanjahu nie wziął na siebie choćby częściowej odpowiedzialności za to, co się stało. Zaskoczyło cię to?

– Nie, bo jeśli chodzi o Netanjahu, to nic nie jest już w stanie mnie zaskoczyć. On na tę tragiczną ścieżkę wkroczył kilka lat temu. Nie jest w stanie zrozumieć swej rzeczywistej sytuacji ani szkody, jaką wyrządza Izraelowi. Nie sądzę zresztą, żeby kiedykolwiek zdał sobie z tego wszystkiego sprawę. On nigdy nie weźmie na siebie odpowiedzialności za to, co stało się

FOT. BALKIS PRESS/ABACA PRESS.COM/NEWSPIX.PL, DAN SHADUR/FACEBOOK

CZYĆ

7 października, bo nie jest w stanie dostrzec swojej winy. Nigdy nie odejdzie z własnej woli. Musi zostać po prostu obalony.

Wielu wysoko postawionych ludzi ze służb i armii nie ufa Netanjahu. Jak ktoś taki może stać na czele gabinetu wojny w chwili, kiedy Izrael walczy o przetrwanie?

– Bardzo dobre pytanie. Na szczęście mamy bardzo profesjonalną armię. Jedyne, co obecnie udaje się Netanjahu, to kampania, którą prowadzi w mediach społecznościowych, głównie na platformie X. Jego doradcy medialni pracują w pocie czoła, by winę za klęskę przekierować na kogoś innego. Kilka dni temu Bibi napisał na X, że za to wszystko odpowiedzialne są służby, a następnie szybko przeprosił. Te przeprosiny nie były spontanicznym zachowaniem. Wszystko zostało dobrze zaplanowane, żeby utwierdzić opinię publiczną w przekonaniu, że Bibi to przyzwoity polityk. Przecież przeprosza...

W tym szaleństwie jest metoda?

– Zdecydowanie, ale część tego, co robi, to jest istne szaleństwo. Normalni ludzie tak się nie zachowują. To szaleństwo jest jednak elementem szerszej strategii, bo służy osiągnięciu konkretnego celu. Zresztą wszystko, co robi teraz Netanjahu, jest częścią brudnej gry, którą prowadzi od lat. Przez większość okresu swych rządów starał się utrzymać jakąś równowagę, ale w 2015 r. wszedł na populistyczną równię pochyłą i zaczął się staczać coraz niżej. Jego ostatni rząd, utworzony po wyborach przeprowadzonych równo rok temu, od początku był bombą zegarową. Jak zobaczyłem, kto się w nim znalazł, zrozumiałem, że stanie się coś strasznego.

Kronika zapowiedzianej katastrofy.

– Pakt, jaki zawarł z najciemniejszymi siłami społeczeństwa izraelskiego, z Itamarem Ben-Gewirem, liderem skrajnie prawicowej Żydowskiej Siły, i Becalelem Smotriczem, stojącym na czele partii Religijny Syjonizm, legitymizował ludzi, wokół których unosi się tylko śmierć i zniszczenie. To ekstremiści, dżihadysty, może nie aż tak źli jak Hamas, ale o podobnym sposobie myślenia. Tyle tylko że Hamas ma za sobą miliard muzułmanów na całym świecie, a Ben-Gewir i Smotricz cieszą się poparciem ledwie kilkuset tysięcy Żydów. Czym mogło się to wszystko skończyć, jeśli nie wojną i zniszczeniem?! Bibi doskonale wiedział, że Ben-Gewir i Smotricz są szalenie niebezpieczni, ale sprzymierzył się z nimi tylko po to, by uratować swój tyłek. Teraz zaczyna napompykać, że to wojsko jest odpowiedzialne. Stara się sprowadzić katastrofę na miarę zatonięcia Titanica do dyskusji o jakichś wojskowych technikach. Niedorzeczne jest już to, że w Izraelu w ogóle toczy się debata na taki temat. To dowód na to, jak bardzo zepsute są obecne rządy Netanjahu. Zdaniem wielu Izraelczyków jest jasne, że to premier ponosi polityczną odpowiedzialność za tę tragedię.

Być może wojna jest jego ostatnią deską ratunku? Im dłużej potrwa, tym większe są szanse na to, że utrzyma stanowisko i nie poniesie odpowiedzialności za klęskę 7 października.

– Cóż, nie chcę zgadywać. W przeszłości nie raz myliliśmy się w sprawie tego, co spotka Netanjahu. Kiedy pięć lat temu kończyłem swój film „Król Bibi”, wydawało się, że zbliża się koniec jego politycznej kariery, że po roku czy dwóch już go nie będzie. Tak się nie stało. Jeśli Netanjahu przetrwa politycznie obecny kryzys, to będzie koniec Izraela. Jeśli wraz ze swym rządem nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za to, co zrobił, Izrael nie ma szans na dalsze istnienie. Nie przetrwamy jako państwo.

Myszę, że ostatnią deską ratunku dla Netanjahu jest „wojna domowa” w Izraelu. Zachowa władzę tylko wówczas, jeśli uda mu się przekierować gniew swoich zwolenników na przeciwny obóz polityczny, słowem, jeśli jego wyborcy będą bardziej źli na opozycję niż na niego za to, że zawiódł kraj.

Albo Natanjahu, albo Izrael?

– Powiedziałbym raczej: albo „bibizm”, albo Izrael.

„Bibizm” to rodzaj „trumpizmu”, tyle że starszy?

– To rodzaj populizmu, podobny jest w Polsce, na Węgrzech i wielu innych miejscach na świecie – wszędzie tam, gdzie przestępczy rząd działa wbrew interesowi społeczeństwa. Jeśli Netanjahu odejdzie, a zastąpi go ktoś wyznający „bibizm”, będziemy dalej w tarapatkach.

Kiedy byłem w marcu w Izraelu na jednym z protestów przeciw reformie sądownictwa, widziałem transparent z parafrazą z „Hamleta”: „To be or not to Bibi”. Porównanie z szekspirowskim

dramatem jest uzasadnione?

– (*śmiech*) Kolejne pytanie brzmi: kto mógłby go zastąpić? Sprawę sukcesji zaciemniano przez tyle lat, że dziś nikogo nie widać na horyzoncie. Zważywszy na obecną sytuację, byłoby najlepiej, gdyby zastąpił go ktoś z Likudu, ale Netanjahu stoi na czele tej partii od prawie 40 lat i celowo nie wyznaczał następcy.

Bibiego obchodzi głównie miejsce w historii. Jakie będzie jego dziedzictwo? Co napiszą o nim autorzy przyszłych podręczników historii Izraela?

– Zostanie zapamiętany jako zenujący przywódca, lider, który zafundował swemu narodowi najtragiczniejszy i najbardziej destrukcyjny moment w historii. Jestem pewien, że potomni będą go wspominali bardzo źle.

Czego nowego dowiedziałeś się o Netanjahu, zbierając materiały do swojego filmu?

– „Król Bibi” poświęcony był głównie jego strategii medialnej, która stała się w końcu dla niego najważniejszą sprawą. Netanjahu zagubił się w swym medialnym wizerunku. Jak myślę, wciąż uważa, że jest zbawcą Izraela.

Współczesnym mesjaszem?

– Bardziej pasuje do niego „król Izraela”, obrońca, protektor. Myszę, że tak bardzo uwierzył w ten swój wizerunek, że został



MAJĄC TAKIEGO PREMIERA JAK NETANJAHU, TRUDNO NAM PRZEKONYWAĆ ŚWIAT DO SWOICH RACJI

DAN SHADUR

w nim niejako uwięziony. Nadal jest przekonany, że tylko on może przewodzić Izraelowi.

Znajomy z Ramat Gan, artysta, który był komandosem elitarniej jednostki specjalnej Sajjeret Matkal, powiedział mi niedawno, że nie wierzy, iż atak Hamasu był przypadkowy. Sugerował, że Bibi mógł mieszać w tym palce, by odwrócić uwagę od swoich problemów politycznych. Myślisz, że to możliwe?

– Nie sądzę, żeby to była prawda, ale to, co się teraz dzieje, jest tak szalone, że niczego nie można wykluczyć. Ludzie od jakiegoś czasu wskazywali na niejasne relacje Bibiego z Katarom, którzy jest jednym ze sponsorów Hamasu. Słyszeliśmy już jednak tyle zwariowanych opowieści o Netanjahu i jego żonie, a wciąż pojawiają się nowe. Często rozmawiam o tym ze znajomymi. Tłumaczę im, że to, co zdarzyło się naprawdę – wszystkie te oskarżenia o korupcję, podejrzaną relację z miliarderami, manipulowanie mediami czy wreszcie fakt, że utworzył rząd z Ben-Gewirem i Smotriczem – jest wystarczająco przerażające. Nie ma więc sensu snuć teorii spiskowych. W jednym z ostatnich wpisów na X przed atakiem Hamasu Netanjahu powielił całkowicie zmyśloną historię o ataku na rabina, który miał rzekomo miejsce na placu Dizengoff. Chodziło oczywiście o obrzucenie głównym lewicowych aktywistów. Właśnie takie rzeczy zajmowały umysł premiera i na to szła cała jego energia, kiedy wszyscy prze-czuwali, że katastrofa wisi w powietrzu.

Netanjahu był informowany o tym, że Hamas przygotowuje coś wielkiego?

– Nie wiem, ale pojawiają się spekulacje, że mógł wiedzieć, a mimo to nic nie zrobił. Za klęskę 7 października odpowiedzialność ponosi jednak także armia i wywiad. Nie należy więc zwać całej winy tylko na Bibiego. Kto wie, być może nie został poinformowany o konkretnym zagrożeniu, ale gołym okiem było widać, że w Gazie dzieje się coś niedobrego. Rozmawiali o tym zwyczajni ludzie, politycy Likudu byli świadomi zagrożenia, zaś lider opozycji Yair Lapid ostrzegał, że szykuje się coś strasznego. Co więcej, armia ostrzegała, że wróg wykorzysta fakt, iż społeczeństwo izraelskie jest skłócone i podzielone. Netanjahu nie słuchał dowódców.

Na demonstracjach solidarności z Palestyńczykami widać transparenty ze sloganami w rodzaju: „Izrael dopuszcza się ludobójstwa”. „Jeden Holokaust nie upoważnia do przeprowadzenia drugiego” itd. Co czujesz, patrząc na takie hasła jako Izraelczyk i Żyd?

– Dwa tygodnie temu byłem w Warszawie, teraz jestem w Londynie, więc widziałem te ogromne demonstracje, słyszałem wykrzykiwane na nich hasła. Sama podróż z Warszawy do Londynu była dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem, bo jako Izraelczyk nie czułem się bezpiecznie. Nigdy wcześniej czegoś

podobnego nie doświadczyłem. Jeśli chodzi o te hasła, to kiedy na nie patrzę, czuję się fatalnie. To jest coś, z czym chciałbym walczyć, ale nie możesz, bo masz związane ręce przez przestępczy rząd, który robi to, co robi. Niemniej twierdzenie, że Izrael popełnia ludobójstwo w Strefie Gazy, to propaganda Hamasu. Wojna propagandowa wokół operacji w Strefie Gazy, dezinformacja i wynikający z tego antysemityzm to rzeczy straszne, ale mamy, niestety, rząd, który dostarcza Hamasowi wszystkiego, czego ta organizacja potrzebuje, by taką wojnę informacyjną prowadzić. Przypinając do piersi żółtą gwiazdę Dawida, ambasador Izraela przy ONZ hańbi zarówno pamięć mojej rodziny, która zginęła podczas Holokaustu, jak i pamięć ofiar ataku Hamasu. Czuję z tego powodu wielki wstyd. Dzięki takim akcjom

można rozumieć, dlaczego Izrael jest na świecie dyskredytowany. Koniec końców korzysta na tym Hamas.

Czy w ciągu tych ostatnich trzech tygodni spotkałeś się z jakimś przejawem wrogości lub antysemityzmu?

– Osobiście nie, ale żeby coś takiego poczuć, nie musisz nawet wychodzić z domu, wystarczy, że odpalisz X i widzisz tego mnóstwo.

Izrael przegrywa wojnę propagandową?

– Tak, ale sądzę, że nie mieliśmy szans, by ją wygrać. Weźmy choćby liczby – miliard muzułmanów na całym świecie kontra 16 mln Żydów! Jak więc mamy skutecznie walczyć? Wielu ludzi i wiele rządów rozumie, jak trudna i skomplikowana jest sytuacja, w której znalazł się Izrael, ale mając

takiego premiera jak Netanjahu, trudno nam przekonywać świat do swoich racji.

Coraz trudniej jest bronić Izraela w sytuacji, kiedy w wyniku bombardowań ginie tyłu niewinnych ludzi, w tym kobiet i dzieci. Wiem, że to niezamierzone straty cywilne, ale to, co robi izraelska armia w Strefie Gazy, jest po prostu straszne.

– Zgadzam się, trudno na to patrzeć. Przyznam, że sam nie wiem, co o tym myśleć. Z jednej strony uważam, że musieliśmy zareagować na atak 7 października, także dlatego, żeby pokazać Iranowi i Hezbollahowi, że nie jesteśmy słabi. Z drugiej strony w Strefie Gazy walczymy z ludźmi, którzy otwarcie przyznają, że męczeńska śmierć jest dla nich ważniejsza niż życie, a my im tę śmierć niesiemy. Jesteśmy w sytuacji bez wyjścia.

W dodatku Hamas wykorzystuje ludność cywilną jako zakładników.

– Chodzi o coś więcej – oni wprost mówią, że chcą śmierć. Dajemy im więc to, czego pragną, ale czy mamy inne wyjście? Jak powinniśmy byli się zachować? Zgadzam się, że obrazy z Gazy są straszne, a to, co się tam dzieje, spowoduje, że wzrośnie nienawiść do Żydów i Izraela. Musieliśmy jednak podjąć walkę z siłami, które chcą nas zniszczyć. ■

jacek.pawlicki@newsweek.pl



**NETANJAHU ZAGUBIŁ SIĘ
W SWYM MEDIALNYM
WIZERUNKU. JAK MYŚLĘ,
WCIAŻ UWAŻA, ŻE JEST
ZBAWCĄ IZRAELA**

DAN SHADUR

Aleksander Łukaszewicz
przemawia do przedstawicieli
zagranicznych mediów podczas
spotkania prasowego w swojej
mińskiej rezydencji – Pałacu
Niepodległości, 16 lutego 2023 r.

WITOLD JURASZ O ŁUKASZEWICZU

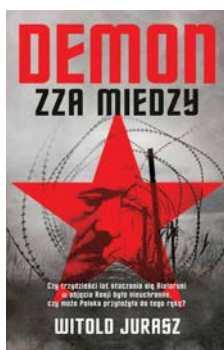
Gry białoruskiego cesarza

Największym błędem Polski w polityce wschodniej było niedoceniecie Łukaszewicza – pisze dziennikarz Onetu **WITOLD JURASZ**. Publikujemy fragmenty jego nowej książki „Demon z za miedzy”

TEKST WITOLD JURASZ

Aleksander Łukaszenka w chwili, w której trafiłem na Białoruś, prezydentem był tylko formalnie. W rzeczywistości bowiem był już królem, szachinszachem, cesarzem i dożywotnim prezydentem. Niemal Panem Bogiem. Równocześnie było w nim jednak coś, co w mojej opinii tłumaczy jego wówczas jeszcze realnie istniejącą popularność. Pamiętam zdziwienie, gdy mój amerykański kolega, szefujący placówce Stanów Zjednoczonych w Mińsku, określił Łukaszenkę jako „idealistę w jego własny – pokręcony – sposób” („idealist in a twisted kind of way”). W istocie ten opis był chyba dość trafny. Dyktatorzy dzielą się bowiem na dwa rodzaje. Tych, których celem jest wyłącznie grabież majątku, i tych, którzy, rzecz jasna, żyją jak na króla przystało, ale równocześnie o coś im jednak chodzi. Wydaje mi się, że w przypadku Łukaszenki nieprawdą jest to, co się o nim zazwyczaj w Polsce mówi, mianowicie, że chodziło mu zawsze wyłącznie o władzę. Przewisko, którym go określano, czyli *Bačka* (ojciec), oddaje dość precyzyjnie to, kim Łukaszenka był, a w każdym razie chciał być. Na pewno zaś dokładnie opisuje jego fenomen i przyczyny jego zwycięstwa wyborczego. Oto bowiem pojawił się polityk, który, owszem, pragnął władzy, ale też chciał stać się kimś, kto zadba o naród (z zastrzeżeniem, że – jak to ojciec – zadba, narzucając mu swoją wolę).

Celowo w tym miejscu używam czasu przeszłego, gdyż Łukaszenka zaczął z wolna tracić charyzmę i słuch społeczny. Dysponując bardzo wieloma talentami, nie dysponuje lub też przestał dysponować jedynym, który nielicznym politykom na świecie jest w stanie zapewnić długowieczność. Istnieje pewne wyrażenie, którego nie da się precyzyjnie przetłumaczyć na język polski, a które doskonale oddaje tenże talent. Chodzi o wyrażenie „to reinvent yourself”, czyli „wymyślić się na nowo”. To jest dokładnie to, czego białoruski dyktator nie ma. Łukaszenka w połowie minionej dekady rządził już dwadzieścia lat. Ludzie, którzy się urodzili za jego rządów, już



Witold Jurasz
Demon zza miedzy
Wydawnictwo Czerwone i Czarne

wchodzili w dorosłość. Dla trzydziesto- i czterdziestolatków, którzy całe swoje dorosłe życie przeżyli przy nim, stawał się on coraz bardziej anachroniczny. Łukaszenka był bowiem tym samym przywódcą, co w roku 1994. Nie potrafił zmienić ani sposobu, w który przemawiał, ani słów, których używał. Stawał się nieadekwatny i wzbudzał już częściej wzruszenie ramion, a czasem kpinę, niż strach. (...)

W CZASIE MOJEJ PRACY NA BIAŁORUSI prowadzono renowację zamku w Nieświeżu oraz zamku w Mirze. W obu przypadkach odbudowa nie do końca była zgodna z przyjętym u nas kanonem renowacji zabytków, chociaż osobiście jestem zdania, że pewne zmiany czyniące odnawiane obiekty bardziej funkcjonalnymi może niekoniernie są zawsze czymś negatywnym. W Mirze na przykład w części zamku otwarto kompleks hotelowy. Puryści byli zdania, że to fatalny pomysł. Ja nie miałem tak krytycznego podejścia. Nawet gdybym je jednak miał, to na pewno bym go nie wyraził, bo nie jest rolą dy-

Przewisko, którym go określano, czyli Bačka (ojciec), oddaje to, kim Łukaszenka był, a w każdym razie chciał być

plomaty recenzowanie wszystkiego, co robią gospodarze.

Otwarcie Zamku Mirskiego jest skądinąd warte wzmianki. (...) Litwa reprezentowana była przez ministra kultury, wiceministra spraw zagranicznych, przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Seimasu, czyli legendę litewskiej polityki Emanuelisa Zingerisa, kilku deputowanych do Seimasu oraz ambasadora Edminasa Bagdonasa. Polskę reprezentowałem zaś ja. I tylko ja. W pewnym momencie pojawił się Łukaszenka i przywitał się z całą delegacją litewską. Kiedy doszedł do mnie, ambasador Litwy powiedział: „A oto i polska delegacja”. Usłyszawszy tę uwagę, Aleksander Łukaszenka powiedział: „Wyście im kiedyś odebrali stolicę, a oni wam teraz odbiorą historię”. Słowa te do dzisiaj dźwięczą mi w uszach. Nie była to uwaga prostaka, lecz inteligenta. A na pewno człowieka, który zna historię i rozumie jej złożoność. (...)

BIAŁORUSKIE PROTESTY, KTÓRE WYBUCHYŁY LATEM 2020 R., nazywane są w Polsce rewolucją. Problem polega na tym, że należałoby mówić raczej o nieudanej rewolucji albo próbie jej przeprowadzenia. Reżim bowiem, jak wiemy, protesty przetrwał. Równocześnie jednak wydarzenia lata 2020 r. na Białorusi były w pewnym sensie rewolucyjne. Rewolucyjna była skala protestów i to, że wybuchły one spontanicznie i oddolnie. Przełomem był fakt, że wyszli na ulice tym razem ludzie już nie tylko Mińska, ale też mniejszych miast i miasteczek. Reżimowa propaganda oskarżała, rzecz jasna, państwa zachodnie, w tym przede wszystkim Polskę, o ich wywołanie, co było oczywistą nieprawdą. Równocześnie trudno nie odnotować, że poważną rolę w koordynowaniu protestów odgrywały prowadzone z Polski i finansowane przez polskie władze, niestety, nie w dyskretny sposób, media, w tym przede wszystkim kanał Nexta. Innymi słowy, Polska zamiast zagrać na scenariusz obalenia Łukaszenki, ale w taki sposób, by w razie niepowodzenia móc udawać, że nie miała ze wspieraniem protestów

nic wspólnego, zagrała va banque. Jak zwykle nie mieliśmy planu B. Scenariusze rozwoju sytuacji w razie porażki protestów nie były analizowane. Władze państwa, stając po stronie protestujących, nie tylko nie znały odpowiedzi, ale nawet nie zadały sobie pytań, czy ewentualna klęska protestów nie będzie też przy okazji początkiem końca realnej niepodległości Białorusi. (...)

PATRZĄC NA BIAŁORUŚ Z PEWNEJ JUŻ PERSPEKTYWY, nie mogę nie odnotować tego, że przegrałem debatę o polityce zagranicznej, choć gwoli ścisłości należałoby powiedzieć, że nie tyle ją przegrałem, ile nie udało mi się do niej nikogo namówić.

Poważnym problemem polskiej debaty jest fakt, że wielu, teoretycznie niezależnych jej uczestników, w istocie wyraża poglądy nie tyle swoje, ile służb specjalnych, dla których pracuje. Służby specjalne w państwie demokratycznym są tymczasem od szpiegowania, analizowania i łapania szpiegów. Nie jest ich zadaniem i być nigdy nie może moderowanie czy też kształtowanie debaty publicznej. W Polsce dokładnie tak się od lat dzieje.

Jest swoją drogą niebywałą perwersją, że prawie 35 lat po końcu komunizmu nadal niektórzy uczestnicy dyskusji o polskiej polityce zagranicznej, aby uzasadnić swoje prawo do tego, by nie rozmawiać, nie dyskutować, a mających inne zdanie jedynie znieważać, powołują się na swoje lub swoich rodziców zasługi sprzed 40 lat. Mieczysław Moczar nazywany był kpiąco „jajami kobyły”, co było nawiązaniem do często stosowanego przezeń sformułowania „ja jako były partyzant”. Mam wrażenie, że jaj kobyły w polskiej debacie o polityce zagranicznej jest zdecydowanie za dużo. Czas je może w końcu wysłać na emerytury. Jest czymś w perwersyjny sposób zabawnym, że posługujące się często pojęciem „resortowych dzieci” solidarnościowe dzieciątka definiują się co prawda jako antykomuniści, ale są w gruncie rzeczy mentalnymi komuchami. Może dlatego też niczego nie potrafią załatwić. Może dlatego jedynym polskim politykiem,



WITOLD JURASZ W LATACH 2010-2011 PEŁNIŁ FUNKCJĘ CHARGÉ D'AFFAIRES RP NA BIAŁORUSI. NIEDAWNO WYDAŁ KSIĄŻKĘ „DEMON ZZA MIEDZY”, KTÓRA OPOWIADA O BIAŁORUSI, ŁUKASZENCE I O BŁĘDACH POLSKIEJ POLITYKI WOBEC BIAŁORUSI

który realnie coś załatwił na Wschodzie, w tym wypadku na Ukrainie, był Aleksander Kwaśniewski. Między innymi dlatego, że choć jest byłym prezydentem, to potrafi i chce też słuchać. Taka postawa jest w naszym kraju rzadkością, co każe zadać pytanie, jak to się stało, że 35 lat po PRL jesteśmy nadal społeczeństwem postkomunistycznym.

Ewolucja Łukaszenki skutkować mogła tylko jednym. Kiedy Władimirowi Putinowi zabrakło rozumu i cierpliwości, i niszcząc 50 lat (liczę od czasów, gdy jeszcze Sowietci zaczęli współpracę energetyczną z Zachodem) starannej, ostrożnej polityki, która w coraz większym stopniu, krok po kroku, uzależniała Zachód, napadł na Ukrainę, Białoruś wzięła udział w napaści. Jakkolwiek białoruskie siły zbrojne nie wzięły bezpośredniego

Białoruś jest agresorem i ponosi odpowiedzialność nie tylko za wojnę, ale również za straszliwe rosyjskie zbrodnie wojenne

udziału, to z prawnomiędzynarodowego, politycznego i moralnego punktu widzenia Białoruś jest agresorem w tej wojnie i ponosi odpowiedzialność nie tylko za wojnę, ale także za wszystko, co tej wojnie towarzyszy, czyli również za straszliwe rosyjskie zbrodnie wojenne, między innymi w Buczy i Irpieniu, i za całe zło, które Rosjanie na Ukrainie czynią.

Łukaszenka nie byłaby oczywiście sobą, gdyby nie toczył również i w tej sytuacji gry. Przykładem takiej gry była w mojej opinii sytuacja, kiedy to Rosjanie starali się otoczyć Kijów, a Ukraińcy mieli część swoich sił, o ile dobrze pamiętam, dwie brygady związane na zachodzie kraju obecnością białoruskich brygad, które stacjonowały u styku granic Polski, Białorusi i Ukrainy.

W pewnym momencie Łukaszenka siły te wycofał, co złuzowało siły ukraińskie. Sygnałów o tym, że Ukraińcy z Łukaszenką jakieś kontakty utrzymywali, a Łukaszenka pomimo uczestnictwa w rosyjskiej agresji nadal toczył grę, było później bardzo wiele. Nie zmienia to faktu, że Białoruś wzięła udział w wojnie.

Obawiam się scenariusza, w którym wojna zostanie zakończona na zasadzie pewnego kompromisu polegającego na tym, że my, czyli Zachód, wygramy Ukrainę, a Rosja wygra dla odmiany Białoruś. Takie rozwiązanie byłoby fatalne z naszego punktu widzenia, ale również z punktu widzenia Ukrainy.

Białoruś pod rosyjską kontrolą, niezależnie od tego, czy będą tam stacjonować wojska, czy też nie (bardzo łatwo jest je w krótkim czasie przerzucić), będzie stanowić zagrożenie dla Kijowa. W naszym wypadku będzie to z kolei oznaczać brak poczucia bezpieczeństwa. Celowo przy tym w wypadku Ukrainy używam wyrażenia „zagrożenie”, a wypadku Polski „brak poczucia bezpieczeństwa”.

Nie można bowiem tego samego słowa, którego używamy w odniesieniu do Ukrainy, używać w odniesieniu do Polski. W moim najgłębszym przekonaniu Polska ze względu na członkostwo w NATO jest bezpieczna. **N**

Witold Jurasz

N



prenumerata roczna

Newsweek

Sprawdź, co zyskujesz:

- nowe wydanie prasowe **co tydzień** w Twoim domu
- dostęp online do treści kilkunastu wydawców **w pakiecie onet premium**

+ karty o wartości 200 zł na dowolne zakupy na stacjach BP



Zamów za 399 zł z bezpłatną dostawą na **Literia.pl**

Oferta limitowana

Prenumerata do potęgi

Newsweek

WSZYSTKIE TWARZE MATEUSZA MORAWIECKIEGO

KONIEC BAJKI PINOKIA

Premier Morawiecki mówił, że **zostawił dobrze płatną posadę w banku, by służyć Polsce.** – Ze szkodą dla Polski – twierdzi niedawna opozycja. – I dla rządu – ironizują jego przeciwnicy w PiS. – I samego siebie – to bliscy znajomi

TEKST KONRAD SADURSKI

Sam Morawiecki zdaje się wierzyć, że jego gwiazda jeszcze świeci. Zapewnił prezydenta Dudę, że ma większość, by utworzyć rząd. Zapewne trudno mu wciąż uwierzyć, że wykorzystując potęgę całego państwa – miliony z budżetu i spółek oraz morze czasu antenowego w TVP – można było przegrać wybory.

W PiS też zadają sobie to pytanie.

To pewnie tylko kwestia czasu, kiedy partia upomni się o głowę Morawieckiego. A nowa koalicja postawi go przed komisjami śledczymi.

Jedni i drudzy próbują przypomnieć sobie, skąd, do licha, wziął się ten Morawiecki? I kim naprawdę jest?

SOWA I PRZYJACIELE

Z OŚMIU OSÓB, Z KTÓRYMI ROZMAWIAM, większość prosi o anonimowość, dwie radzą odsłuchać tajne nagranie z restauracji Sowa i Przyjaciele. To tam Morawiecki po raz pierwszy się odsłonił. Ludzie mogli usłyszeć, jak prezes Banku Zachodniego



WBK klnie jak szewc i wręcz razi cynizmem: „Trzeba słuchać ludu, obiecać im, czego oczekują, a potem wygaszać oczekiwania. (...) To, co robi Merkelowa... Ona działa na najważniejszych rzeczach społeczeństwa, czyli oczekiwaniach. Management of expectations. Jak ludzie ci zapier...ją za miskę ryżu, jak było w czasach po II wojnie światowej i w trakcie, to wtedy gospodarka cała się odbudowała”.

W restauracji rozmawiał z ówczesnym szefem Polskiej Grupy Energetycznej Krzysztofem Kilianem, który jest przyjacielem Jana Krzysztofa Bieleckiego i Donalda Tuska, oraz ze swoim kolegą ze studiów we Wrocławiu, prezesem PKO BP Zbigniewem Jagiełłą. Jagiełło mówi, że zadzwonił do niego Lejb Fogelman (znany prawnik międzynarodowych kancelarii) i powiedział: „Wiesz, ten twój przyjaciel z Solidarności Walczącej (czyli Morawiecki) ma zostać ministrem skarbu”.

Kelnerzy nagrali tę rozmowę potajemnie wiosną 2013 r., premierem rządu był Donald Tusk.

RADA TUSKA

NA POLITYCZNE SALONY WPROWADZIŁ GO Jan Krzysztof Bielecki. Tworząc Radę Gospodarczą przy premierze Tusku, chciał zgromadzić mieszankę ekonomistów z praktykami, prezesami. Zaprosił więc Morawieckiego i szefa PZU Andrzeja Klesyka. Dlaczego właśnie Morawieckiego? Bo uchodził za człowieka, który jest sprawczy w biznesie. Bo Bielecki pielgrzymował z nim do Tuska, by przekonać go do zrepolonizowania BZ WBK przez PKO BP.

– Morawiecki nie był lubiany w Radzie – wspomina jeden z jej członków. – Prawie zawsze milczał, a jeśli już się odezwał, to brzmiało, jakby czytał liberalne slogany. Za to na przerwach dużo opowiadał o jakichś żołnierzach wyklętych, Solidarności Walczącej i o komunie, której „powinniśmy przyp...dolić”. Co było ni przypiął, ni wypiął, bo komuny nie było już od 20 lat – dodaje.

W pewnym momencie Morawiecki został poproszony o ustąpienie z Rady razem z prezesem PZU. – Oni mieli potężne fundusze OFE, a my zaczęliśmy rozmawiać o reformie systemu emerytalnego. Potrzebowaliśmy ciszy, a jak wpływałyby informacje, to wzbudzałyby wiele emocji – mówi jeden z członków Rady.

To oficjalna wersja. Nieoficjalna jest taka, że być może premier Tusk miał informacje od służb, że Morawiecki zaczął grać na dwa fronty i spotykał się z Kaczyńskim lub jego ludźmi.

Gdy po wyborach w 2015 r. pojawiła się informacja, że Morawiecki ma zostać ministrem rozwoju w rządzie Beaty Szydło, jego niedawni koledzy z Rady osłupieli.

– Przekonywałem dziennikarzy, którzy do mnie dzwoniли z prośbą o komentarz, że to fake news. Przecież to liberał, on nijak nie pasuje do PiS. Ale widać światopogląd przeważał nad poglądami ekonomicznymi – mówi członek Rady. – Widać on

potrafi się usynawiać, więc sprawił, że najpierw niejako usynowił go Bielecki, a potem Kaczyński.

PIERWSZY BANKIER RP

JAK RADZIŁ SOBIE W BANKU?

Piotr Gajdziński, wieloletni rzecznik prasowy Banku Zachodniego WBK: – Pamiętam, że zjawił się ogarnięty manią skromności. Kazał zmniejszyć sobie gabinet w Poznaniu, nie wiadomo po co, bo w tej oddzielonej części nic się nie działo. W Warszawie też zrobił sobie mały gabinet. Zrezygnował z kierowcy, ale po jakimś czasie zatrudnił pewną osobę, tylko tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Szybko się wydało, że ktoś siedzi w podziemnym garażu w samochodzie prezesa i nie jest wpuszczany na pokoje.

Odkąd pojawił się w zarządzie banku, chciał zostać głównym prezesem. Gdy nim został, chciał być tym najważniejszym prezesem w sektorze, głosem całego środowiska. – Gdy już to się udało, usłyszałem: co ty myślisz, że interesuje mnie podnoszenie albo obniżanie kredytów lub lokat o pół procent? Chcę robić większe rzeczy, mnie interesuje polityka – wspomina Gajdziński.

Bardzo mu imponowało, że w 2010 r. znalazł się w tzw. piątce na kryzys „Gazety Wyborczej”, w gronie pięciu ekspertów, którzy przygotowywali co kwartał raporty o sytuacji gospodarczej. – Gdy zbliżała się dyskusja, to jedna trzecia banku biegła, żeby dostarczać dane i przykłady z zagranicy, żeby prezes był dobrze przygotowany. Jest pracowity, ma wielką zdolność uczenia się i zapamiętywania liczb, ale procesów, co z czego wynika, wtedy nie kapował – mówi Gajdziński.

Do piątki... został zaproszony, bo gdy po kryzysie finansowym w 2008 r. banki masowo zwalniały pracowników, on postanowił solidarnie obniżyć wszystkim pensje – od prezesa po sprzątający personel – o 20-30 proc., żeby ograniczyć zwolnienia.

Pracownicy banku przyznają, że spotkania kadry zarządzającej, które kiedyś były z lekka bizantyjskie, za czasów Morawieckiego zostały mocno przykrojone. Ale za to dział PR rozrósł się do niebotycznych rozmiarów. W pracy zaczęły pojawiać się jakieś panie z telewizji, które nie znały się na bankowości i nie za bardzo na PR. Zatrudniono szereg osób związanych z Solidarnością Walcząca, której szefem był ojciec Mateusza Morawieckiego. Jej członkiem okazał się ukrywany na początku kierownik prezesa Krzysztof Biezuński (pseudonim Zyzol) oraz Cezariusz Lesisz, który pracował w pionie bezpieczeństwa banku, a później w rządzie Morawieckiego uchodził za głównego kadrowego i był szefem Agencji Rozwoju Przemysłu.

– Morawiecki kiedyś przyjął do pracy na dyrektorskie stanowisko w marketingu pewną kobietę, bo był święcie przekonany, że to żona Zbigniewa Ziobry. Aż mu się oczy zaślniły, bo dla niego to była możliwość nawiązania z Ziobrą jakichś politycznych kontaktów – mówi Gajdziński. – Dopiero po jakimś czasie oka-



NIE ZNAM NIKOGO,
KTO BYŁBY WIĘKSZYM
EGOCENTRYKIEM,
KTO TAK BARDZO
PODPORZĄDKOWYWAŁ
INSTYTUCJĘ WŁASNEJ
KARIERZE

PIOTR GAJDIŃSKI, WIELOLETNI RZECZNIK PRASOWY
BANKU ZACHODNIEGO WBK

zało się, że pani nie ma nic wspólnego z Patrycją Kotecką, choć imię i nazwisko bardzo podobne.

PREZES NARODOWIEC

JAKO PREZES MORAWIECKI PUBLICZNIE UNIKAŁ politycznych wystąpień i deklaracji. Ale pracownikom wysyłał długie SMS-y, np. z okazji rocznicy napaści ZSRR na Polskę 17 września 1939 r. Ludzie w banku komentowali: „Przecież nie taka jest rola prezesa, żeby kształtować naszą świadomość historyczną”.

Gajdziński: – Gdy Morawiecki był już premierem, wszystkich zaskoczyła jego wizyta przy pomniku Brygady Świętokrzyskiej, na której ciążyą oskarżenia o kolaborację z Niemcami. Dla mnie nie była żadnym zaskoczeniem. Wtedy pokazał siebie, on czasem traci instynkt samozachowawczy i ujawnia prawdziwe poglądy. Są bardzo mocno prawicowe, bliskie Konfederacji. A jego nienawiść do komuny była absolutnie skrajna – w prywatnych rozmowach Wałęsa to zawsze był dla niego Bolek, Buzek był jakimś współpracownikiem służb, a Kwaśniewskiego utopić w szklance wody to byłby akt łaski.

Może te poglądy zbliżyły go do Kaczyńskiego? Może zamiłowanie do historii? To jego auto, Audi A8, miało rejestrację W2 AK44 na cześć powstania warszawskiego. Spacerując ze znajo-

mymi po Warszawie, potrafił powiedzieć, kto wychodził z kanałów w danym miejscu. Co roku od 1 sierpnia przez 63 dni, tyle, ile trwało powstanie, utrzymywał absolutną abstynencję.

MINISTER ROZWOJU

– GDY ZOSTAŁ WICEPREMIEREM W RZĄDZIE SZYDŁO, wielu dziennikarzy pytało mnie, czy on może być taką arką przymierza między PO i PiS – wspomina Gajdziński. – Mógł może mieć takie myśli, bo uważa się za zbawcę ojczyzny. Jest zakochany w Piłsudskim.

W pewnym momencie dostrzegł, że jeśli będzie tylko technokratą, gościem od gospodarki, to nigdy nie dostanie prawdziwej władzy i wtedy ruszył po nią jak taran. Ciężko pracuje. W polityce, jak w banku, stworzył wokół siebie zespół młodych ludzi, których dobrze wynagradzał, i którzy mieli pracować wyłącznie dla niego.

– Godziny dla niego nie istniały – potrafił nocami wysyłać SMS-y w sprawie pracy. Nie znam nikogo, kto byłby większym egocentrykiem, kto tak bardzo podporządkowywał instytucje własnej karierze – mówi Gajdziński.

Szybko do swoich obowiązków dołącza funkcję ministra finansów, a potem zastępuje premier Szydło.

REKLAMA




N

wydanie specjalne

Newsweek^{POLSKA}
PSYCHOLOGIA

W środku m.in.:

- Kiedy to lęk, a kiedy depresja
- Jak wspierać bliskich, którzy cierpią na zaburzenia lękowe
- Atak paniki. Czym się objawia i jak sobie z nim radzić

Szukaj w salonach prasowych, na Literia.pl
lub czytaj w subskrypcji  onet premium

Psychologia do potęgi



Intelektualnie przeszedł metamorfozę, od technokraty, który stworzył Strategię Odpowiedzialnego Rozwoju – chwaloną przez Jerzego Hausnera i wielu ekonomistów – ale niewprowadzoną w życie, po współtwórcę populistycznego Polskiego Ładu, który zakończył się spektakularną kląpą.

Wtopę przyjął stanowiskiem minister finansów, który do Polskiego Ładu nie przyłożył ręki. Ale rok później Morawiecki w swoim nowym stylu oświadczył, że rząd PiS zapewnił ludziom największe zwroty podatkowe. Podobne naginanie faktów i wołty poglądów stały się jego znakiem firmowym podczas drugiej kadencji PiS – był w zespole przygotowującym Polskę do wstąpienia do Unii, a potem został jej ostrym krytykiem. Zgodził się na stworzenie przez Unię funduszu odbudowy, a gdy z tego powodu minister jego rządu nazywał go miękiszkiem, nie reagował.

Z jednej strony lansował tezę o konieczności wypłaty reparacji wojennych przez Niemcy, a z drugiej strony z wdziękiem namawiał Niemców po niemiecku, by zainwestowali na Dolnym Śląsku. Zawsze znajdował zagranicznym inwestorom to, czego chcieli. Chwałę go za to biznesowi partnerzy, nawet ci mocno krytyczni wobec polityki gospodarczej PiS.

Z czasem niechęć do opozycji i poprzednich rządów przesłaniała Morawieckiemu racjonalne oceny. Gdy pisał w mediach społecznościowych, że PO nie wpadła nawet na pomysł stworzenia tarcz antyinflacyjnych, Marek Belka mu przypominał: „Mateuszk, bo za rządów PO nie było tak wysokiej inflacji”.

Gdy oskarżał Tuska o robienie ludziom krzywdy i podniesienie wieku emerytalnego, Tusk mu cytował, jak w wywiadach z tamtego czasu sam opowiadał się za wydłużeniem lat pracy.

Morawiecki raz został skazany za kłamstwo w trybie wyborczym w 2018 r. Sąd nakazał mu przeprosić w TVP Info i TVN za nieprawdziwą wypowiedź: „Nasi poprzednicy przez osiem lat wydali 5 mld zł na drogi lokalne. To jest tyle, ile my wydajemy w ciągu jednego do półtora roku, porównajcie sobie”.

Niezrażony tym dalej swobodnie żonglował liczbami i faktami, aż dorobił się przydomku Pinokio.

PREMIER PINOKIO

– To było dla mnie uderzające, gdy ktoś publicznie wypomniał Morawieckiemu, że nazywany jest Pinokiem, to jego to rozśmieszyło – mówi profesor psychiatrii i psychoterapeuta. – Przecież to była fundamentalna krytyka, premier został zidentyfikowany jako kłamca i nie mógł uciec ani się bronić, więc zareagował rozbawieniem.

Członek Rady Tuska: – Jak ktoś sprawuje funkcję premiera, jakby był królem, to otacza się dworem i dworzanie go poklepują po ramieniu i utrzymują w przekonaniu, że jest świetny, a nawet lepszy, niż mu się wydaje... Jak człowiek nie ma kontaktu ze światem zewnętrznym, to odlatuje. I Morawiecki odleciał.

Dla Gajdzińskiego miarą tego odklejenia od rzeczywistości jest film nakręcony przy współpracy Fundacji Narodowej. Premier chodzi po zamku w Niedzicy, zaś lektor opowiada, że w wieku 11 lat Morawiecki obalał komunizm, a nim skończył 19 lat, był wielokrotnie porywany, aresztowany i bity przez tajną policję.

– W banku takie rzeczy by się nie zdarzyły, ale wtedy on jeszcze potrafił słuchać innych i wiedział, że nawet jak jest się zakochanym w sobie, to pewnych granic nie można przekroczyć, by nie narazić się na śmieszność – mówi Gajdziński. – W polityce te hamulce puściły.

Czy Morawiecki nie ma świadomości śmieszności swoich zachowań? Jak w jednym człowieku mieści się liberał i socjalista, który zapewnia, że zrobi wszystko dla ciemniejszego ludu, ale majątek – blisko 120 mln zł – przepisał na żonę i nie chce go ujawnić?

– A jeśli tego nie da się racjonalnie wytłumaczyć? Zakładamy, że ma poglądy, ale on jest ukaszony nienawiścią, więc poglądy są służebne do emocji. Wartości przestały dla niego mieć moc, on musi stale udowadniać, że jest prawowitym synem Kaczyńskiego i godzien jest mieć władzę po nim – mówi psychoterapeuta.

Ostatnie miesiące w kampanii wyborczej Morawiecki poświęcił na brutalną krytykę głównego oponenta. Tusk to był raz waz dusiciel, innym razem rudy lis, oszust, sprzedawczyk na służbie Berlina i Brukseli.

– To już było na poziomie obsesji. Nie wolno bagatelizować tego rozsiewania nienawiści. Kiedyś przyszła do mnie pacjentka i powiedziała: ale przyzna pan, że Tusk ma takie wilcze oczy!? – mówi psychoterapeuta. – To poważna sprawa, bo jak ktoś ukradnie kilo cukru ze sklepu, to mu grożą poważne konsekwencje, a jak

ktos zatruje 8 mln obywateli nienawiścią, to jak wyjść z tego wiru? Nienawiść jest chorobą.

PRZYSZAWANY DO POLITYKI

ZA CHWILĘ MORAWIECKI PEWNIEN ZOSTANIE w dużym stopniu obarczony winą za wyborczą porażkę. Czy to koniec jego marzeń o polityce i stanowisku prezydenta?

Bliski współpracownik Morawieckiego: – Mateusz nie jest na straconej pozycji wobec Szydło czy Ziobry w walce o schedę po Kaczyńskim. Po raz pierwszy zyskał realną siłę w Sejmie – ma 30 swoich posłów i może liczyć na przychyłność 20 kolejnych.

Wieloletni biznesowy znajomy Morawieckiego: – Facet jest przyspawany do polityki i jest bardzo, bardzo ambitny, pracuje też ze wszystkich najwięcej. I nie ogląda się na nic. Jest w jego postępowaniu jakiś bezwstyd i utrata powagi. Normalny człowiek nie mógłby pewnie z tym zasnąć albo uciekał w alkohol, a on? Gwarantuję panu, że on się kładzie wieczorem i odsypia swoje pięć godzin, a rano wstaje i mówi: jest fajnie i jedziemy dalej. **N**

konrad.sadurski@newsweek.pl



JAK CZŁOWIEK
NIE MA KONTAKTU
ZE ŚWIATEM
ZEWNĘTRZNYM,
TO ODLATUJE.
I MORAWIECKI
ODLECIAŁ

CZŁONEK RADY GOSPODARCZEJ PRZY
PREMIERZE TUSKU, W KTÓREJ BYŁ TEŻ
MORAWIECKI

PARKIET

niezawodne źródło wiedzy o giełdzie

prenumeruj → wzrastaj → inwestuj → zarabiaj



 prenumerata.parkiet.com Jedyne źródło informacji, które procentuje

Protest przeciwko budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego, Warszawa, 1 października 2022 r.



TWARDE LĄDOWANIE PROJEKTU CPK

Centralny Punkt Konfliktu

Nierealne plany i terminy, szalone kontrakty – gdyby PiS planowało Centralny Port Komunikacyjny z głową i umiarem, budowa ta nie budziłaby większych kontrowersji

TEKST RADOŚLAW OMACHEL

Szef PiS Jarosław Kaczyński składa wizytę w Białymstoku 16 lutego 2017 r. Jest w lokalnej rozgłośni rządowego radia, gdy pada pytanie, kiedy na Podlasiu powstanie lotnisko. – Czy w naszym kraju jest sens budować lokalne lotniska? Czy nie lepiej mieć potężne lotnisko międzynarodowe gdzieś niedaleko Warszawy? Nie ukrywam, że opowiadam się za tą drugą ewentualnością – mówi Kaczyński.

W centrali Polskich Portów Lotniczych na Okęciu konsternacja. O nowym lotnisku gdzieś między Łodzią a Warszawą już w 2010 r. przebąkiwała PO, ale wtedy wygrała koncepcja dalszego rozwijania Okęcia i budowy w Modlinie lotniska dla tanich linii. PiS zapowiadało co prawda wskrzeszenie idei nowego portu, ale po wyborach w 2015 r. sprawa przychła. – Po wywiadzie prezesa pytania o sens budowy centralnego lotniska stały się zbędne. Opinia Kaczyńskiego była święta – tłumaczy reakcję centrali PPL były pracownik firmy.

BIJATKA ZAMIAST ARGUMENTÓW

W UBIEGŁY WTOREK, SZEŚĆ LAT PO RADIOWYM WYWIADZIE KACZYŃSKIEGO, powołana do realizacji centralnego portu spółka CPK ogłosiła inwestycyjny przełom. W budowę ma się zaangażować dwóch inwestorów prywatnych: australijski fundusz IFM i znany zarządca portów lotniczych Vinci Airports, firma z francuskim rodowodem. Mają do spółki włożyć 8 mld zł na 49 proc. akcji firmy CPK Lotnisko. – Wejście inwestorów oznacza, że prywatny kapitał wierzy w opłacalność tej inwestycji – mówi Konrad Majszyk, rzecznik CPK. Moment podania tej informacji nie jest przypadkowy. Teraz opozycji trudniej będzie używać argumentów, że ta budowa to szczyt pisowskiej megalomanii i ekonomiczna bzdura.

Już na długo przed wyborami dyskusja o centralnym porcie zamieniła się w polityczną bijatykę. Dużo w tym winy samej spółki, która przez pięć lat działalności nie próbowała wytłumaczyć porządnie, jaki jest cel budowy, jakie będą koszty, a jakie rzeczywiste korzyści. I jak ważny w tym projekcie jest PLL LOT.

– Gdyby CPK raz na kwartał uczciwie informował opinię publiczną o planach zawarcia umów, środkach, jakie zamierza na nie przeznaczyć i sposobie ich finansowania, to emocje wokół CPK byłyby mniejsze o połowę – uważa Sebastian Mikosz, prezes LOT za rządów Donalda Tuska.

A gdyby tak odłożyć polityczną pyśkówkę na bok?

PODRÓŻ Z PRZESIADKĄ

– OKĘCIE SIĘ ZAPYCHA – TO KORONNY ARGUMENT ZA BUDOWĄ NOWEGO PORTU. W 2019 r. stołeczne lotnisko obsłużyło ponad 19 mln pasażerów, jego maksymalna przepustowość szacowana jest na 23 mln osób rocznie, choć już przy 19 mln w wakacje terminal przypomina mrowisko. – Polski rynek lotniczy rośnie i na dłuższą metę budowa nowego portu jest niezbędna. Już teraz wielu przewoźników, którzy chcieliby uruchomić połączenia do Warszawy, otrzymuje odmowy – przekonuje Mikosz.

Wychodząc z tego samego założenia, PiS przedstawiło wizję budowy pod Baranowem na Mazowszu megalotniska obliczonego na 100 mln pasażerów, piętrowego (!) dworca kolejowego i autobusowego, do którego z całego kraju zmierzać miałyby superszybkie pociągi.

CPK nie ma być zwykłym lotniskiem, to centrum przesiadkowe, do którego spora część pasażerów dociera tylko po to, żeby przesiąść się w inny samolot. I nawet nie opuszcza lotniska. Gospodarzem ma być LOT, który dowożąc pasażerów z regionu małymi samolotami, ma ich stąd wysłać w świat – do Ameryki i na Daleki Wschód. W biznesie przewoźników sieciowych loty długodystansowe to najbardziej zyskowna część lotniczego tortu. PiS przekonuje, że LOT rozkwitnie dzięki CPK. A dodatkowe pieniądze lotnisko zarobi na przesyłkach towarowych.

Na potwierdzenie słuszności tych założeń CPK przedstawił zamówione w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Przewoźników Powietrznych (IATA) prognozy wskazujące, że ok. 2030 r. lotnisko obsłuży minimum 40 mln pasażerów rocznie i dodatkowo milion ton przesyłek cargo. Powołując się na raport

firmy doradczej EY, CPK poinformował, że na samych wpływach z ceł i podatków związanych z przewozami cargo państwo zarobi do 2060 r. 200 mld zł. Brzmi jak sensowny plan rozwojowy. Co może pójść nie tak?

ZYSK GWARANTOWANY

PROBLEMEM SĄ PRZEDĘ WSZYSTKIM KOSZTY. Jeśli Vinci i IFM wyłożą 8 mld zł na budynek lotniska, a CPK drugie tyle, to ta inwestycja pochłonie ok. 16 mld zł. Ale lotnisko wraz z infrastrukturą ma kosztować aż 40 mld zł, co w przeliczeniu na jednego pasażera oznaczałoby koszt podobny do obliczonego na 27 mln osób rocznie nowego lotniska pod Berlinem (miało kosztować 2,3 mld euro, skończyło się na 7,5 mld euro). Rozbudowa do docelowej przepustowości 100 mln osób (czyli więcej niż na Heathrow) miałaby pochłonąć kolejnych 40-50 mld zł. A linie szybkiej kolei – przynajmniej 50 mld zł. Niektóre szacunki wskazują, że łączny koszt wszystkich zamierzeń związanych z CPK dojdzie do 150 mld zł. Sporo jak na kraj, w którym 14 mln obywateli nie ma dostępu do żadnej komunikacji publicznej.

Założenia CPK są przeskalowane, stąd – jak słychać nieoficjalnie – IFM i Vinci przed objęciem 49 proc. udziałów w lotnisku zażądały jego odchudzenia. Umowa z nimi miałaby być podpisana w I kwartale 2024 r.

Nadal nic nie wiadomo na temat gwarancji, jakich rząd albo CPK udzieli zagranicznym inwestorom. Kiedy Turcy dekadę temu z okładem ruszali z budową nowego lotniska pod Stambułem, prywatni inwestorzy otrzymali gwarancje rządowe. Jeśli nowe lotnisko, w które inwestowali, stałoby pustawą, rząd musiałby im wypłacać minimalne gwarantowane dochody. Na ten temat strony wypowiadają się niechętnie. – Powstrzymam się od komentarza – mówi Sarah Toubman z biura prasowego IFM. Trudno jednak sobie wyobrazić, żeby w przypadku CPK miało być inaczej.

KLUCZOWA ROLA LOT

KIEDY POD STAMBUŁEM WBIJANO PIERWSZE ŁOPATY, Turkish Airlines były

potentatem przewożącym 60 mln pasażerów rocznie. LOT na razie dobiega do 10 mln pasażerów. Prawie 3 mld zł niezawinionych, covidowych zobowiązań wisi nad firmą. Pierwsza rata spłaty – 400 mln zł – przypada na przyszły rok. W 2022 r. firma zadeklarowała 113 mln zł zysku, co pokazuje, jak trudno będzie się długi pozbyć. Dodatkowo ten zysk jest nieco iluzoryczny, bo koszt prowadzenia działalności operacyjnej w 2022 r. był wyższy od przychodów ze sprzedaży o prawie 100 mln zł.

Kilkanaście dni temu LOT przedstawił nową strategię do 2028 r. Zapowiada rozbudowę floty z 75 do 110 maszyn, zwiększenie liczby pasażerów do 17 mln i wprowadzenie 20 nowych kierunków. Marek Serafin, były dyrektor LOT ds. siatki połączeń, przypomina jednak, że pandemia przeorała biznes przewoźników takich jak LOT. Białe kołnierzyki i urzędnicy latają rządziej w podróże służbowe. – Błyskawicznie rosną za to linie tanie i ultratanie – mówi Serafin. Dlaczego to istotne? Wożą pasażerów z mniejszych lotnisk, bo tak jest szybciej i taniej. – Ryanair z Krakowa lata dziś do prawie 90 miejsc na świecie. W nieodległej przyszłości tanie linie mogą zaoferować loty transatlantyckie. Dlatego strategia obliczona na stworzenie w Baranowie dużego centrum przesiadkowego dla LOT jest obciążona dużym ryzykiem – dodaje Serafin.

Więcej niż optymistycznie brzmią też zamówione przez CPK prognozy IATA, z których wynika, że za dwie dekady CPK będzie przyjmować i odprawiać nawet 35 mln ton przesyłek cargo. Dziś przez Okęcie przechodzi ok. 200 tys. ton cargo rocznie. – Nierealne terminy, nierealne założenia biznesowe – podsumowuje pomysły CPK Marek Serafin. A do tego dochodzą szalone kontrakty podpisywane bez tradycyjnych procedur przetargowych, co rodzi pytania o ich uczciwość.

GDZIE TE MILIARDY?

PAŃSTWO ZASILILO CPK w sumie ok. 11 mld zł. Ile spółka wydała – pozostaje tajemnicą. Wiadomo, że utrzymanie 638 pracowników kosztowało w ubiegłym roku 66 mln zł, co daje średnio 103 tys. zł rocznie na jednego zatrudnionego.

Ale to grosze przy tym, ile spółka zamierza wydać. Podpisana rok temu umowa z pracownią sir Normana Fostera (autora biurowca Metropolitan w Warszawie) opiewa na prawie 700 mln zł. Libańska firma Dar Al-Handasah weźmie od CPK 327 mln zł za projekt dróg kołowania i innych budowli inżynierskich. Kontrakty na projekt wysokiej na 90 m wieży kontrolnej z polską firmą JSK (tą od projektu Stadionu Narodowego) i inne zadania to kwoty do 0,5 mld zł. Sporo. Umowa ramowa na zaprojektowanie wszystkich,



”*Liczę, że nowy rząd zatrzyma realizację CPK i na spokojnie zdecyduje, kiedy i jak budować lotnisko centralne*

SEBASTIAN MIKOSZ, BYŁY PREZES LOT

w większości zbędnych, linii kolei dużych prędkości opiewa na sumę do 7 mld zł! Ile ostatecznie będzie tych linii, nie wiadomo, choć prace projektowe nad niektórymi odcinkami już trwają. Budową KDP ma się zająć CPK, a nie PKP Polskie Linie Kolejowe, czyli państwowa spółka powołana do takich zadań.

„Rzeczpospolita” poinformowała, że projekt CPK pochłonął do tej pory 5 mld zł, ale trudno to zweryfikować, bo umowy pozostają tajne. – To kwota zawyżona – przekonuje rzecznik CPK.

Wiadomo, że część pieniędzy poszła na wykup gruntów pod lotnisko i infra-

strukturę. Ale w programie dobrowolnych wykupów ziemi pod port, który ma zająć obszar 2,2 tys. ha, wykupiono dopiero 650 ha.

LICZBY Z SUFITU

WĄTPLIWOŚCI WOKÓŁ PROJEKTU mnoży nachalna propaganda przyszłego sukcesu. Wspomniane 200 mld zł rzekomych dochodów z ceł i podatków od przesyłek cargo do 2060 r., wyliczone przez analityków EY, bazuje na niezwykle optymistycznych założeniach ruchu przedstawionych przez IATA na zlecenie CPK. Połowa raportu EY to wskazówki zmian w systemie prawnym i podatkowym. Dopiero po ich wprowadzeniu będzie można mówić o optymalnych dochodach.

Patrząc na te plany z lotu ptaka: CPK to kosztowna inwestycja prowadzona do tej pory w dramatycznie nieprzejrzysty sposób przez ludzi bez doświadczenia w lotnictwie, za kwoty, które społeczeństwo będzie spłacać latami. I to wszystko jako alternatywa dla rozbudowy Okęcia.

Kiedy kilka lat temu PPL ruszały z pracami przygotowawczymi do rozbudowy warszawskiego portu, mowa była o sumach rzędu 700-800 mln zł. Rozbudowa lotniska w Modlinie to góra pół miliarda złotych. Za te kwoty oba lotniska mogą osiągnąć przepustowość na poziomie 33-35 mln pasażerów rocznie. Czyli niewiele mniej niż pierwsza faza CPK. A przecież PiS wydało jeszcze 842 mln zł na budowę lotniska w Radomiu, z którego odlatają dwa samoloty dziennie.

KWESTIA CZASU I PIENIĘDZY

PO CO W TAKIM RAZIE RYZYKOWAĆ MILIARDY? Sebastian Mikosz przekonuje, że rozbudowa Okęcia i Modlina powinna ruszyć już dawno. A rząd powinien już teraz myśleć, co będzie za dekadę, dwie. – Liczę, że nowy rząd zatrzyma realizację CPK, przeświecili dokonania poprzedniej ekipy i na spokojnie zdecyduje, kiedy i jak budować lotnisko centralne. Bo że taki obiekt musi powstać, wątpliwości nie mam – mówi Mikosz. Z umów podpisanych z projektantami można się jeszcze wycofać, ale za słonym odszkodowaniem. **N**

radoslaw.omachel@newsweek.pl

NIE TYLKO BIZNES

Mikołaj Kunica

Biało-czerwony odlot



Na ostatniej prostej obecna ekipa napręża się, gdzie i jak się da, żebyśmy o niej długo nie zapomnieli. Okazało się właśnie, że nasza ojczyzna zdobywa kolejny, tym razem kosmiczny, przyczółek. Jak z dumą ogłosił minister rozwoju i technologii, Polska będzie mieć własne satelity. Po co to komu, pytają znajomi, a ja nie wiem, choć w tym kosmicznym pyłe wibruje jak elektron sugestia, że biało-czerwone satelity wyniosą na jakąś odległą orbitę zastępy prezesów, dyrektorów i kogo jeszcze wynieść trzeba będzie z zaciągu #194.

Cytując pana ministra, planowana budowa (co najmniej czterech satelitów) pozwoli odpalić narodowy program kosmiczny. Inna sprawa, że po tanioci, bo to zaledwie 85 mln euro, a więc jakiś ułamek wszystkich nowych superprojektów dobrej zmiany. Dane uzyskane dzięki satelitom będą służyły m.in. monitorowaniu skutków zmian klimatycznych i zanieczyszczenia środowiska. „Obecnie Polska nie posiada własnych satelitów, a zapotrzebowanie na dane o wysokiej rozdzielczości jest bardzo duże” – podkreślił minister Buda. Uff, jakie to szczęście, że pan minister dopiął swoją kosmiczną ofensywę. Można wysyłać już ludzi do pracy na ten mocno wysunięty odcinek.

Wysłałbym, i to jak najdalej, w kosmos autorów budżetowego cudu, który z zaskakującą częstotliwością reklamuje szef obecnego rządu odważnymi deklaracjami, że jego gabinet zostawia następcom finanse publiczne we wzorowej wręcz kondycji. Tak się niefartownie składa, że nawet oficjalne dane Ministerstwa Finansów stoją dokładnie w poprzek premierowej tezy. Eksperci sympatyzującego z frakcją #248 Instytutu Finansów Publicznych policzyli, że w przyszłym roku deficyt całego sektora finansów publicznych może być nawet o 70 proc. większy, niż zakładał rząd PiS, a zakłada i tak rekordowego nurka w budżetowe głębiny. Co to oznacza? A to, że deficyt dobieje do 277 mld zł, podczas gdy w dokumentach, które ministrowie pana premiera przesyłają do Brukseli, opowiadają historię z kwotą 165 mld (na minusie). W jaki sposób rachunek może się tak dramatycznie rozjeżdżać? 112 mld zł robi różnicę i trudno machnąć się na takie pieniądze. Według IFP szacunki oficjalne nie uwzględniają realnych wydatków funduszy pozabudżetowych, których bilanse po pandemii napęczniały do kwoty przewyższającej 200 mld zł (badając ich finanse, inspektorzy NIK wyliczyli, że Bank Gospodarstwa Krajowego oraz Polski Fundusz Rozwoju w latach 2020-2021 wyemitowały własne obligacje o łącznej wartości 214,4 mld zł).

Mamy więc księgowo-finansowy biało-czerwony odlot i obawiam się, że nie pomogą nawet narodowe satelity ministra Budy. Jeśli rysowany przez IFP scenariusz się zmaterializuje, to Polska może wpaść w tzw. procedurę nadmiernego deficytu. Co to w praktyce oznacza, przekonał się już rząd Donalda Tuska, który po kryzysie finansowym roku 2008 z tego mechanizmu sanacyjnego, który mocno ogranicza możliwości ruchów na szachownicy finansów publicznych, mozolnie wygrzebywał się przez sześć lat, by na ostatniej prostej przekazać dobrej zmianie wyczyszczone finanse publiczne. Żeby uzmysłowić sobie, jak wielki gospodarczy skok w kosmos udało się nam wykonać przez osiem lat, przywołam trzy, w sumie dość oczywiste, konstatacje mojego kolegi po redakcyjnym piórze. Sztandarowy program 500+ miał podnieść dzietność, a na tym odcinku jest po

Wysłałbym, i to jak najdalej, w kosmos autorów budżetowego cudu, który z zaskakującą częstotliwością reklamuje szef obecnego rządu

ośmiu latach gorzej niż w najczarniejszym scenariuszu zakładanym przez samych autorów w 2016 r. Zakaz handlu w niedzielę, a więc polityczny deal za głosy i lata spokoju bez burd i ulicznych demonstracji związków zawodowych, miał uratować małe sklepy, tymczasem te zamykają się na potęgę. I wreszcie programy mieszkaniowe, na czele ze słynnym już kredytem 2 proc., miały zwiększyć dostępność mieszkań. Skończyło się drastycznym wywindowaniem cen. A przecież po drodze mieliśmy jeszcze Polski Ład. Wyszło, jak wyszło.

To, że w Polsce w 2022 r. spadły dochody podatkowe, wiadomo od dawna. Z danych Eurostatu wynika jednak, że w konkurencji na najszybsze tempo utraty podatkowych przychodów budżetu jesteśmy w awangardzie Europy, plasując się na drugim miejscu. W 2022 r. suma wszystkich zebranych podatków oraz składek na ubezpieczenia społeczne w stosunku do PKB w UE wyniosła 41,2 proc. Najlepiej w tej statystyce wypadają Francja (48,0 proc.), Belgia (45,6 proc.) i Austria (43,6 proc.). Polska po roku Polskiego Ładu ląduje między Czechami a Węgrami z wynikiem na poziomie 35,3 proc. I tak w osiem lat udało nam się cofnąć o pięć. Ciekawe, jak pojedzie z satelitami. **N**

GADŻETY

Energia plus

Powerbank ma nam zapewnić awaryjne zasilanie telefonu, czytnika czy smartwatcha. Ale wcale nie musi być tylko nudną baterią



DLA MANIAKÓW

Coś dla prawdziwych nerdów: powerbank z przezroczystą obudową, pod którą można zobaczyć wszystkie „bebechy”. Dodatkowo ma wyświetlacz, który pokazuje dokładne parametry ładowania.

Cena 119 dol.

www.kickstarter.com/projects/edc-power-bank/shar-geek-170-the-coolest-powerbank-unparalleled-charging



MAŁA ELEKTROWNIA

To coś więcej niż powerbank – to mała elektrownia o pojemności 1056 Wh. Według producenta wystarczy to na ponad 90 ładowań iPhone'a czy 14 godz. pracy domowej lodówki. Do pełnego naładowania z sieci wystarczy niecała godzina, a energią słoneczną – niespełna dwie godziny.

Cena: bd.

www.anker.com/a1761-camping-portable-power-station-pps

POWERBANKI



OGRZEWACZ DO RĄK

Nie tylko naładuje telefon czy inny gadżet, ale w razie potrzeby ogrzeje też zmarznięte dłoń. No i wygląda słodko.

Cena 70 zł

www.amazon.pl/Akumulatorowe-ogrzewacze-elektryczne-Ogrzewanie-Narciarstwo/dp/B07KC917RC/

STARTER DO SAMOCHODU

Ten powerbank może zasilac dowolne urządzenie, posłużyć jako latarka, ale przede wszystkim jest w stanie odpalić samochód ze słabym akumulatorem.

Cena 299 zł

e-baseus.com/product-pol-3777-Baseus-Super-Energy-Air-Car-jump-starter-booster-Power-Bank-Z-funkcja-rozruchu-12V-4-5L-2-5L.html



ZAWSZE PRZY KLUCZACH

TAU to niewielki (2000 mAh) powerbank, który można podpiąć jako brelok do kluczyków. Ma też magnetyczną stację ładowania – wystarczy po przyjeździe do domu odłożyć na nią klucze i powerbank zawsze będzie naładowany.

Cena 30 dol.

www.kickstarter.com/projects/rollingsquare/tau-2



Fakty o reklamie w kinie

Utrzymanie uwagi odbiorcy jest trudne. Bardzo dobrze udaje się to reklamie kinowej, która jest przystępna i łatwo ją dopasować do grupy docelowej. Co jeszcze sprawia, że to wyjątkowa forma reklamy?

Wizyta w kinie pozwala uciec od zewnętrznego świata. Ogromny ekran kinowy, wygodne fotele, wyjątkowa atmosfera – wszystko to nie tylko sprzyja oglądaniu filmów, ale też sprawdza się jako idealne medium reklamowe, pozwalające kreatywnie myśleć o dotarciu do odbiorcy. Reklama niema, czarno-biały spot, a może obraz do góry nogami? Możliwości zaskoczenia widza w kinie są nieograniczone, a tym, co zostaje w jego pamięci, są przede wszystkim emocje. Te można wywołać nie tylko obrazem, ale także oddziałując na pozostałe zmysły. Dlatego w przestrzeni kina sprawdza się personalizowany branding (roll-upy i billboardy w holu kina, logo na fotelach kinowych lub belce ekranu), a także konkursy i darmowy sampling produktów.

Dodatkowe możliwości dotarcia do konkretnych grup odbiorców dają takie nietypowe święta jak mikołajki czy walentynki, kiedy sale kinowe wypełniają się konkretnymi grupami widzów. Widz kinowy to konsument świadomy, przywiązujący się do marki i należący do zamożnej części społeczeństwa (zarówno z metropolii, jak i terenów wiejskich). Ponadto badania BrandScience wskazują, że kino to potężny środek wsparcia dla innych form reklamowych dzięki efektowi synergii. Wzrost sprzedaży produktu w kampaniach, które wykorzystują kino, wynosi aż 80 proc., a bez udziału kina – 67 proc. Dzięki krótkim blokom reklamowym, któ-



re w sieci kin Kinads trwają średnio pięć minut, widz nie ma do czynienia ze zjawiskiem clutteru reklamowego – nie ma mowy o dezorientacji ze względu na przebudźcowanie i prezentację zbyt wielu marek i produktów w krótkim czasie.

Nie można również zapomnieć o badaniach firmy Lumon, które wskazują na fakt, że reklama kinowa utrzymuje uwagę odbiorcy przez 24 sekundy. Można pomyśleć, że to niewiele, jednak na tle innych nośników reklamowych jest to rekordowy czas. Wystarczy wspomnieć, że popularny YouTube przykuwa uwagę widza podczas reklamy jedynie na 4 sekundy. W telewizji następuje przełączenie programu po 14 sekundach obcowania z reklamą. Na Facebooku reklama wyświetlana jest zaledwie przez 2 sekundy.

Kinads – największy w Polsce broker reklamy kinowej – jest obecny na rynku od 2010 roku i w ciągu roku dociera do 13,5 mln widzów. Lata doświadczenia pokazują, że reklamy kinowej praktycznie nic nie ogranicza, a różnorodność odbiorców odwiedzających kina sprawia, że każda marka i firma może z powodzeniem skorzystać z atutów reklamy kinowej. W portfolio Kinads znajdują się zarówno lokalne firmy, jak i duże korporacje, którym Kinga Dołęga i jej zespół proponują rozwiązania adekwatne do profilu marki i grupy docelowej. ●

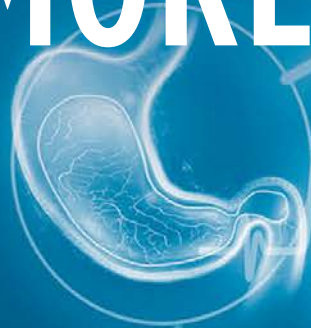


www.kinads.pl



ZDROWIE W JELITACH

WIELKA SIŁA MAŁYCH KOMÓREK



Zapewniają prawidłową pracę układu pokarmowego i wzmacniają odporność, ale ich wpływ na nasz organizm jest dużo większy, niż początkowo sądzono. Właśnie poznaliśmy kolejne niezwykle właściwości bakterii jelitowych

TEKST DOROTA ROMANOWSKA

Przypuszczali, że to możliwe, ale brakowało im dowodów. Naukowcy z uniwersytetu w Hongkongu przeprowadzili więc badania na myszach. Najpierw karmili je wodą zmieszaną z fruktozą, co sprawiło, że u zwierząt rozwinęło się nadciśnienie. Potem przez 16 tygodni leczyli je dwoma probiotykami – *Bifidobacterium lactis* lub *Lactobacillus rhamnosus*, które powszechnie występują w sfermentowanej żywności, np. kimchi i jogurtach.

Okazało się, że myszy karmione fruktozą, które otrzymały którykolwiek z probiotyków, miały o 15-20 proc. niższe ciśnienie krwi w porównaniu ze zwierzętami, które nie dostawały probiotyków. To sugeruje, że te dwa probiotyki mają działanie przeciwnadciśnieniowe i mogą być dobrym uzupełnieniem tradycyjnych metod leczenia tej choroby.

FOT. MARHARYTA MARKO/STOCKPHOTO

Naukowcy przeszli też, jak w trakcie eksperymentu zmieniał się u myszy cały mikrobiom, czyli zestaw mikroorganizmów zasiedlających układ pokarmowy. Odkryli, że dieta bogata w fruktozę doprowadziła do wzrostu liczby bakterii *Bacteroidetes* i zmniejszenia liczby bakterii *Firmicutes*, ale leczenie probiotykami przywróciło skład mikrobiomu do stanu występującego u zdrowych zwierząt. Naukowcy planują przeprowadzić kolejne badanie kliniczne, aby sprawdzić, czy takie same efekty można uzyskać u ludzi.

Nadciśnienie to bowiem jedna z najczęstszych dolegliwości świata Zachodu. Szacuje się, że dotyka 40 proc. mieszkańców krajów rozwiniętych. W Polsce – według ostatniego badania NATPOL z 2011 r. – na nadciśnienie choruje prawie 11 mln, czyli co trzeci dorosły Polak. To gorzej niż 30 lat temu, kiedy przeprowadzono poprzednie takie badanie. Wtedy zbyt wysokie ciśnienie miało niewiele ponad 9 mln dorosłych Polaków. Gdybyśmy zaś przyjęli bardziej ostre kryteria amerykańskie, to okazałoby się, że nadciśnienie może dotyczyć nawet 15 mln mieszkańców naszego kraju. Tym samym tyle osób jest zagrożonych chorobami sercowo-naczyniowymi.

Długotrwałe działanie podwyższonego ciśnienia na śródbłonek, czyli komórki wyściełające naczynia krwionośne, prowadzi do rozwoju miażdżycy, a ta z kolei sprzyja udarowi mózgu lub zawałowi serca. Obniżenie ciśnienia skurczowego o 20 mmHg, a rozkurczowego o 10 mmHg zmniejsza ryzyko udaru o ponad 40 proc. Z badań, m.in. NATPOL 2011 i WOBASZ, wynika też, że tylko co piąta osoba z nadciśnieniem była dobrze leczona. Regularne stosowanie probiotyków być może zmieniłoby te statystyki.

PILI JOGURT I KWAŚNE MLEKO

BADANIA NAD WPŁYWEM MIKROBIOMU NA NASZE ZDROWIE rozpoczęto ponad sto lat temu. Pierwszym, który uważał, że nie wszystkie bakterie są złe, był Ilja Miecznikow, rosyjski mikrobiolog, w 1907 r. uhonorowany Nagrodą Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny. Uczony uważał, że ludzie, którzy piją jogurt lub kwaśne mleko, żyją zdrowo i długo. Jako przykład podawał mieszkańców Bałkanów i Rosji, którzy biją rekordy długowieczności właśnie za sprawą tych produktów, a konkretnie dobroczynnych bakterii, które się w nich znajdują. Wtedy jednak niewielu przyznawało mu rację.

– Jeszcze 18 lat temu praktycznie jedyną bakterią, której poświęcone były wykłady na kongresach gastroenterologicznych, była *Helicobacter pylori* – mówi prof. Wojciech Marlicz z Kliniki Gastroenterologii Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. To bakteria, która powoduje chorobę wrzodową i raka żołądka. – Obecnie zdecydowana większość wykładów na naszych kongresach poświęcona jest bakteriom żyjącym w jeli-

tach i ich wpływowi na nasze zdrowie. Mamy prawdziwy wysyp takich badań – dodaje prof. Marlicz.

Z dotychczasowych badań wiadomo, że u ludzi zdrowych najwięcej jest szczepów *Lactobacillus* i *Bifidobacterium*, a mniej szczepów potencjalnie niegroźnych i nieco chorobotwórczych. Wykazano też, że bakterie tworzą z naszym organizmem system naczyń połączonych. Jeśli zaburzona zostanie równowaga w tym układzie, szczepy chorobotwórcze, ale też potencjalnie niegroźne zaczynają dominować nad dobrymi i pojawiają się choroby. A lista chorób, których przyczyną jest zaburzony skład mikrobiomu, z roku na rok się wydłuża.

NIE TYLKO NA DOBRY NASTRÓJ

OSTATNIO NAUKOWCY CORAZ WIĘKSZĄ UWAGĘ ZWRACAJĄ na związek między mikrobiomem a problemami psychicznymi. Odkryto bowiem, że mikroorganizmy zasiedlające nasze jelita

wpływają na produkcję serotoniny, która odpowiada za odczuwanie zadowolenia, zdolności poznawcze czy libido. Gdy jej brakuje, stajemy się niezadowoleni i wpadamy w depresję. Dzieje się tak, bo układ pokarmowy jest pokryty gęstą siecią stu milionów komórek nerwowych, które są połączone z mózgiem przez nerw błędny, a nie przez rdzeń kręgowy, jak początkowo sądzono. To dlatego u ludzi z przerwaniem rdzenia kręgowym układ pokarmowy nadal działa bez przeszkód. Jednak na pytanie, w jakim celu powstało tak ścisłe połączenie między mózgiem a komórkami nerwowymi jelit, naukowcy długo nie mogli znaleźć odpowiedzi.

Dopiero pod koniec lat 90. XX w. dr Michael Gershon, neurobiolog z Columbia University, wykazał, że komórki ner-

wowe w jelitach są tak samo zbudowane jak te, które znajdują się w korze mózgowej, i że w układzie pokarmowym tworzą one rozbudowaną sieć. Dzięki temu sygnały z mózgu błyskawicznie docierają do jelit, a mózg natychmiast dowiaduje się o tym, co dzieje się w jelitach. Obecnie też wiadomo, że aby ta komunikacja sprawnie działała, niezbędny jest odpowiedni skład bakterii zasiedlających układ pokarmowy. Przedłużające się dolegliwości żołądkowo-jelitowe mogą być zatem oznaką chorób psychiatrycznych i neurologicznych, np. lęków, depresji czy autyzmu. – Szacuje się, że obecnie co najmniej połowa pacjentów z zaburzeniami przewodzenia pokarmowego cierpi na zaburzenia psychiczne i lękowe – mówi prof. Marlicz.

Istnieje też związek między zespołem stresu pourazowego (PTSD) a dietą i mikrobiomem. Zależność tę opisali naukowcy z Brigham and Women's Hospital i Harvard T.H. Chan School of Public Health w jednym z najnowszych badań, które zostało opublikowane w październiku tego roku w czasopiśmie „Nature Mental Health”. Uчени wykazali, że u osób z PTSD, które przez

ODKRYTO, ŻE
MIKROORGANIZMY
ZASIEDLAJĄCE JELITA
WPŁYWAJĄ NA
PRODUKCJĘ SEROTONINY,
KTÓRA ODPOWIADA
ZA ODCZUWANIE
ZADOWOLENIA,
ZDOLNOŚCI POZNAWCZE
CZY LIBIDO

szesć miesięcy stosowały dietę śródziemnomorską, dolegliwości uległy osłabieniu. Ludzie ci mieli m.in. mniej natrętnych myśli i koszmarów sennych. Zdaniem badaczy poprawa stanu zdrowia nastąpiła dzięki zmianie mikrobiomu jelitowego, a konkretnie zwiększenia liczby bakterii *Eubacterium eligens*, które prawdopodobnie chronią przed zespołem stresu pourazowego. Bakterii tej przybywało, gdy badani jedli dużo warzyw, owoców i ryb, które stanowią podstawę diety śródziemnomorskiej, a unikali czerwonego mięsa i żywności przetworzonej. – To ekscytujące, że sama dieta śródziemnomorska może przynieść ulgę osobom doświadczającym objawów zespołu stresu pourazowego – zachwyca się dr Yang-Yu Liu z Brigham and Women's Hospital, jeden z autorów badania.

W kolejnym eksperymencie naukowcy zamierzają sprawdzić skuteczność probiotyków jako metody zapobiegania zespołowi stresu pourazowego. – Nasze odkrycie sugeruje, że to obiecujący obszar badań. Mogą one doprowadzić do opracowania zaleceń, które pozwoliłyby łagodzić negatywne konsekwencje zdrowotne zespołu stresu pourazowego – uważa dr Karestan Koenen z Wydziału Epidemiologii w Harvard T.H. Chan School of Public Health, jeden z autorów badania. U osób cierpiących na PTSD istnieje bowiem zwiększone ryzyko pojawienia się chorób przewlekłych, takich jak choroba niedokrwienna serca, udar mózgu, cukrzyca czy choroby autoimmunologiczne.

Być może odpowiednie probiotyki będą stanowić – obok innych metod – także ochronę przed chorobą Alzheimera. Naukowcy z University College Cork odkryli bowiem, że osoby dotknięte tym schorzeniem mają więcej niż ludzie zdrowi bakterii wywołujących stan zapalny, który osłabia zdolności poznawcze. Gdy naukowcy pobrali te bakterie od osób chorych na alzheimera i podali je myszom, to zwierzęta wytwarzały mniej nowych komórek nerwowych w hipokampie, rejonie mózgu odpowiedzialnym za zapamiętywanie i przypomnienie. Miały też kłopot ze znalezieniem wyjścia z labiryntu czy znalezieniem pojemników z jedzeniem i wodą.

PROFILAKTYKA PRZECIWNOWOTWOROWA

70 PROC. MIKROBIOMU STANOWIĄ BAKTERIE, których skład zmienia się w zależności od wieku, diety oraz leków. – Nawet krótkotrwała zmiana diety może spowodować zmianę jego składu i obniżyć odporność – mówi prof. Marlicz. A co dopiero, gdy pacjent z nowotworem jest poddawany chemio- i radioterapii. Również stres wywołany samą chorobą zaburza skład mikrobiomu. Pacjenci onkologiczni nie tylko skarżą się na dolegliwości żołądkowo-jelitowe, ale także mają osłabioną odporność spowodowaną uszkodzeniem bariery jelitowej. – Z dotychczasowych badań wynika, że odpowiednio skomponowany probiotyk może chronić przed rakiem jelita grubego, nerki, piersi czy płuc – wymienia dr Marlicz. A także wpływając na sam nowotwór.

Na przykład stan zapalny jelit wywołany nieprawidłowym składem mikrobiomu powoduje, że rak piersi staje się znacznie bardziej inwazyjny i szybciej rozprzestrzenia się na inne części ciała. Taką zależność odkryła dr Melanie Rutkowski z University of Virginia Cancer Center, prowadząc eksperymenty na my-

szach. – Kiedy zaburzyliśmy równowagę mikrobiomu u myszy poprzez przewlekłe leczenie ich antybiotykami, wywołaliśmy stan zapalny w całym organizmie, a także w tkankach piersi. Odkryliśmy, że z miejsca objętego stanem zapalnym komórki nowotworowe łatwo przedostawały się do krwi i płuc, które są głównym miejscem przerzutów hormonozależnego raka piersi – mówi dr Rutkowski. Wyniki jej pracy ukazały się w cenionym czasopiśmie medycznym „Cancer Research”.

Nieprawidłowy skład mikrobiomu może także zmniejszać efektywność leczenia. – W jednym z eksperymentów indukowano u myszy guzy nowotworowe, a potem stosowano u nich chemioterapię. Jedne zwierzęta zareagowały na leczenie, a drugie – nie. Gdy zaczęto badać, skąd taka różnica, okazało się, że myszy, u których terapia działała, miały więcej bakterii o nazwie *Akkermansia* niż zwierzęta, którym leczenie nie pomagało. Dopiero gdy podano im tę bakterię, chemioterapia zaczęła działać – mówi prof. Marlicz.

Podobną zależność stwierdzono między mikrobiomem jelitowym a immunoterapią. Naukowcy z UT Southwestern Medical Center i University of Chicago wykazali, że odpowiednie bakterie żyjące w jelitach mogą przenikać do komórek nowotworowych i zwiększać skuteczność tej coraz powszechniejszej metody leczenia raka. Ustalili, że taki korzystny wpływ ma bakteria *Bifidobacterium*. Sugerują, że powinna się ona znaleźć w probiotyku zalecanym chorym na raka w celu poprawy efektywności terapii.

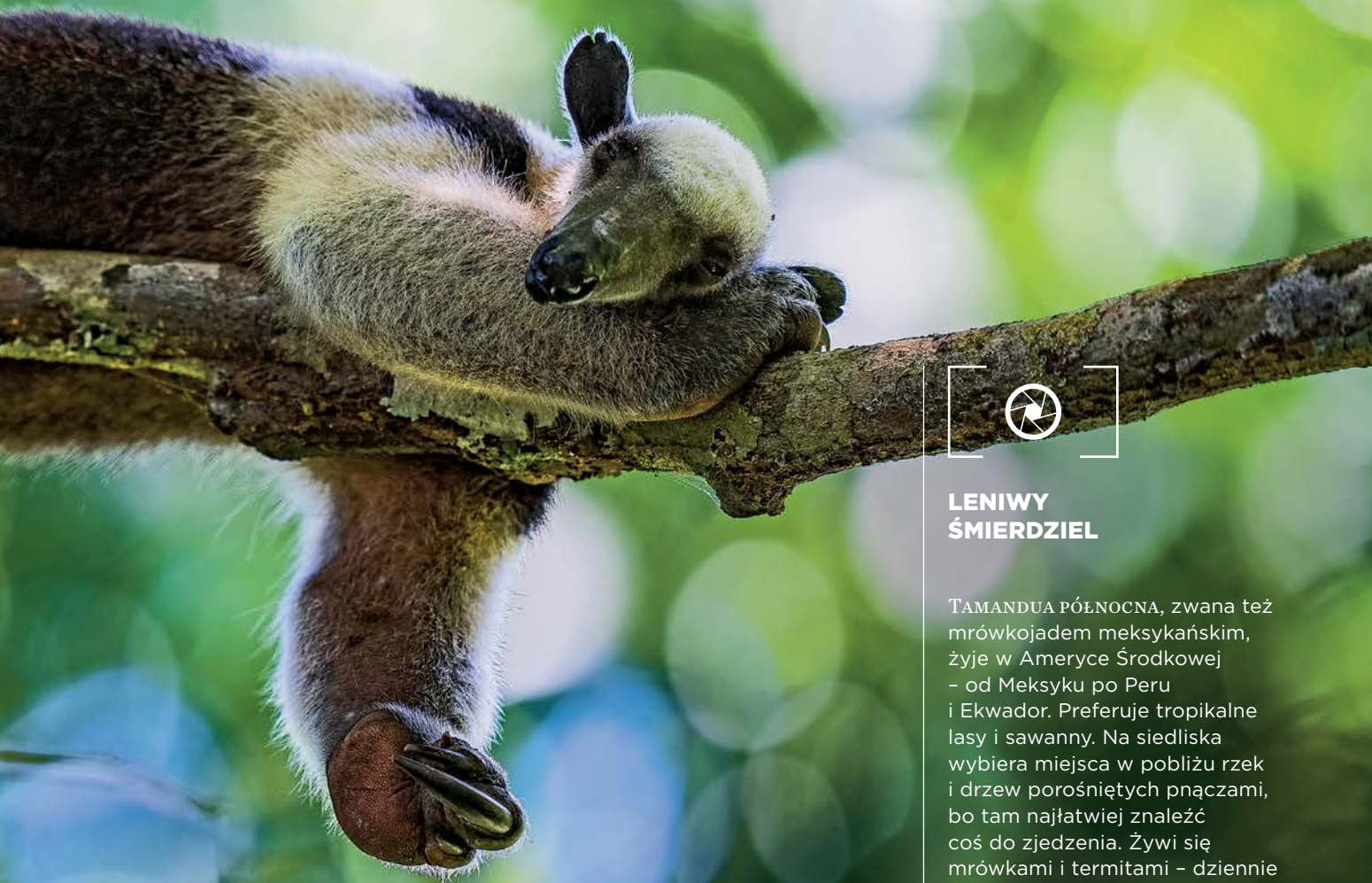
Na razie probiotyki nie są wykorzystywane w leczeniu nowotworów, ale może wkrótce będą stosowane profilaktycznie. Już rozpoczęto prace nad opracowaniem ich składu. Zajęli się tym m.in. naukowcy z Georgetown University Medical Center, którzy ustalili, że bakteria *Fusobacterium nucleatum* może być jednym z winowajców raka jelita grubego u osób poniżej 45. roku życia.

Naukowcy porównali skład mikrobiomu jelitowego u pacjentów z rakiem jelita grubego, u których zdiagnozowano nowotwór przed 45. rokiem życia, z osobami, które zachorowały po 65. roku życia. Odkryli, że młodzi pacjenci mieli cztery razy mniej bakterii *Moraxella osloensis* niż osoby starsze, a więcej bakterii *Fusobacterium nucleatum*, odpowiedzialnej za choroby przyzębia, która prawdopodobnie na dwa sposoby sprzyja nowotworom jelita grubego. Wpływa na błonę wyściełającą jelito grube i sprzyja zapaleniu tkanek, co może powodować mutacje w DNA komórek oraz tłumić odpowiedź immunologiczną, co również sprzyja rozwojowi nowotworu. Te różnice w składzie mikrobiomu mogą w różnym stopniu wpływać na przebieg nowotworu.

Naukowcy przyznają, że grupa, którą objęli badaniem, liczyła zaledwie 30 pacjentów, a to za mało, aby można było opracować probiotyk chroniący przed tym nowotworem. Mają nadzieję, że w kolejnym badaniu, do którego już się przygotowują, uda im się ustalić skład takiego specyfiku. Nie oznacza to, że za sprawą jednej kapsułki unikniemy raka, ale zmniejszymy ryzyko jego rozwoju. ■

dorota.romanowska@newsweek.pl





LENIWY ŚMIERDZIEL

TAMANDUA PÓLNOČNA, zwana też mrówkojadem meksykańskim, żyje w Ameryce Środkowej – od Meksyku po Peru i Ekwador. Preferuje tropikalne lasy i sawanny. Na siedliska wybiera miejsca w pobliżu rzek i drzew porośniętych pnączami, bo tam najłatwiej znaleźć coś do zjedzenia. Żywi się mrówkami i termitami – dziennie może zjeść nawet 9 tysięcy owadów z 50-80 różnych gniazd, które lokalizuje po zapachu i rozkopuje potężnymi pazurami. Mrówki i termyty wylizuje za pomocą długiego i wąskiego języka.

Większość czasu tamandua spędza na drzewach – leży wyciągnięta na gałęzi (jak ta na zdjęciu) albo chowa się w pniach starych drzew. Zagrożona wydziela z gruczołu znajdującego się w okolicy odbytu śmierdzącą substancję. Z tego powodu bywa nazywana leśnym śmierdzielem.

FOT. ROMAN WILL/NATUREPL.COM/BEEB

Co się dzieje w naszych komórkach, gdy jesteśmy zestresowani?

Molekularna maszyna wewnątrz komórek odpowiada za wszystko, co dzieje się w naszych organizmach, a jej niewłaściwe funkcjonowanie może prowadzić do wielu poważnych chorób.

Dokładne ustalenie, jak działają te komórkowe mechanizmy i co się dzieje, gdy zawodzą, jest przedmiotem badań naukowców z Międzynarodowej Agencji Badawczej ReMedy, która działa przy IMol PAN i jest współfinansowana przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej z Funduszy Europejskich pochodzących z programu Inteligentny Rozwój (POIR) w ramach programu Międzynarodowe Agencji Badawcze. Dyrektorem jednostki jest prof. dr hab. Agnieszka Chacińska.

Jak bardzo zestresowane są nasze komórki?

PROF. DR HAB. AGNIESZKA CHACIŃSKA: Jeśli jesteśmy zdrowi, żyjemy w czystym środowisku, nie mamy żadnych większych defektów genetycznych, utrzymujemy prawidłową dietę, to stres, również ten na poziomie komórkowym, jest niewielki. Wzmaga się jednak, gdy dochodzi do zmian w którymkolwiek ze wspomnianych elementów.

Czyste środowisko i zdrowa dieta to raczej w dzisiejszych czasach rzadkość.

To świat, który nie istnieje.

Wiadomo, że środowiskowa, gospodarcza czy społeczna presja przekłada się na nasze zdrowie. Pojawiają



prof. dr hab.
Agnieszka Chacińska

się tzw. choroby cywilizacyjne.

Czy zapadamy na nie także na poziomie komórkowym?

Nie ma sytuacji, w której na poziomie komórkowym wszystko świetnie działa, a na poziomie całego organizmu cierpimy na alergie czy choroby neurodegeneracyjne. Cały proces zaczyna się od nieprawidłowej funkcji cząsteczek, któ-

re budują nasze komórki. To także tam decyduje się, czy nasze komórki poradzą sobie ze stresem, czy nie. Mechanizmy molekularne leżą u podstaw chorób, ale też potencjalnie bronią nas przed poważnymi schorzeniami cywilizacyjnymi. Te ostatnie, w tym choroby neurodegeneracyjne, będą pojawiać się coraz częściej, bo wiele z nich jest po-

wiązanych z tym, że żyjemy coraz dłużej. Do tego w przeciwieństwie do nowotworów, które w wielu przypadkach można traktować jako choroby przewlekłe i przynajmniej częściowo wyleczalne, na choroby neurodegeneracyjne, jak choroba Alzheimera czy Parkinsona, nie mamy jeszcze żadnego leku.

Co jest głównym kierunkiem badań ReMedy?

Staramy się zrozumieć podstawy prawidłowego funkcjonowania komórek na poziomie molekularnym. To pozwoli nam ustalić, co dokładnie się dzieje, gdy zachodzące tam procesy nie są prawidłowe. Na przykład nie mamy pełnego obrazu zmian, do jakich dochodzi na poziomie molekularnym, gdy człowiek cierpi z powodu demencji lub gdy pojawia się choroba Alzheimera. I nie będziemy tego wiedzieć, jeśli nie zrozumiemy, jak działa komórka w stanie równowagi.

Czyli potrzeba punktu odniesienia, by rozumieć, co się dzieje, gdy stan optymalny zostanie zaburzony.

Prof. Peter Walter, który jako pierwszy zidentyfikował odpowiedzi stresowe komórek, strategię wykorzystania odpowiedzi na stres w leczeniu nazwał „agnostyczną” względem chorób.

A więc interesują nas procesy zarówno prawidłowe, jak i patologiczne. Chcemy zdobyć jak najwięcej informacji o komórce na poziomie molekularnym, by proponować lepsze terapie dla chorób. Badamy więc, w jaki sposób dany mechanizm czy białko wpływa na funkcjonowanie całej komórki, i staramy się przewidzieć, jakie są skutki tego działania, także te pojawiające się w chorobie.

Stres jest interesujący sam w sobie, ale jeszcze bardziej interesujące jest to, jak komórka adaptuje się do niego, czyli jakie ma mechanizmy plastyczności, jaki bufor zachowań ma do dyspozycji. Chcemy odpowiedzieć na pytania, w jakich sytuacjach dochodzi do tego, że początkowo niewielki stres wywołany procesem patologicznym narasta, a ko-

mórka nie potrafi sobie z nim poradzić, nie jest w stanie uruchomić czy włączyć takich mechanizmów, które znowu wprowadzą stan równowagi.

Stan równowagi jest bardzo istotny i może być modyfikowany czynnikami zewnętrznymi i wewnętrznymi, takimi jak zmiany genetyczne. Jeżeli jednak komórka nie osiąga właściwego stanu równowagi, zaczyna się proces patologiczny. Z drugiej strony jeśli komórka zbyt mocno odpowie na pewne zmiany poprzez rozregulowanie mechanizmów zabezpieczających i kładzie nacisk na bardzo silne, niekontrolowane mechanizmy regeneracyjne, mamy do czynienia z nowotworami.

„**Stres jest interesujący sam w sobie, ale jeszcze bardziej interesujące jest to, jak komórka adaptuje się do niego, czyli jakie ma mechanizmy plastyczności, jaki bufor zachowań ma do dyspozycji.**

Jakie jest największe stojące teraz przed wami wyzwanie?

IMol ma szeroką tematykę badawczą skupioną na odkrywaniu mechanizmów molekularnych, tak aby móc je odpowiednio modyfikować i nimi przewidywalnie manipulować dla uzyskania efektów terapeutycznych. W pracy kierowanej przeze mnie grupy naukowej w projekcie ReMedy staramy się znaleźć molekularne podstawy neurodegeneracji. Mój zespół skupia się na nowym aspekcie komunikacji komórkowej, w której uczestniczą mitochondria, czyli elektrownie komórkowe. Wydaje się nam, że ta komunikacja może być kluczowym elementem, który zaczyna szwankować, gdy się starzejemy.

W naszych badaniach wykazaliśmy, że mitochondria komunikują się, wpływając na homeostazę, czyli stan równowagi białek w komórce. Zaburzenia mitochondrialne mogą mieć związek z wieloma chorobami metabolicznymi czy neurodegeneracyjnymi, a więc i w tych chorobach komunikacja pomiędzy wadliwymi mitochondriami a homeostazą białek może mieć kluczowe znaczenie.

Wydaje nam się, że nasze badania nad związkami defektów mitochondriów i stanu komórki mogą mieć bezpośrednie zastosowanie w zrozumieniu procesów neurodegeneracyjnych. W obu przypadkach homeostaza białek, czyli stan ich wewnętrznej równowagi, niemal zawsze jest naruszona.

Obecnie to brak wiedzy powoduje, że w przypadku chorób neurodegeneracyjnych (np. alzheimera czy parkinsona) nie udało się stworzyć skutecznych terapii i leków. Nasze badania wnoszą nową wiedzę i wskazują na zupełnie inne niż dotychczas procesy jako cele terapeutyczne. W przyszłości może się okazać, że leczenie wielu z tego typu chorób jest bardzo trudne lub wręcz niemożliwe, a w związku z tym skuteczniejsza i praktyczniejsza okaże się profilaktyka. Również w takim przypadku wysiłek włożony w zrozumienie molekularnych podstaw schorzeń ma szansę przekształcić się w metody profilaktyczne.

Jesteście w forpoczcie światowych badań molekularnych nad ludzkim organizmem.

Mocno powiedziane. Mamy takie ambicje, aby poziomem badań nie odstawać od międzynarodowej czołówki. Jednak projekt ReMedy jest bardzo młody, a wykazanie się w biologii molekularnej zajmuje niekiedy wiele lat. Ale jesteśmy już zauważani. Ja sama w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy zostałam zaproszona do wygłoszenia wykładów na temat naszych odkryć podczas ośmiu prestiżowych konferencji. To pokazuje, że jesteśmy rozpoznawalni na poziomie międzynarodowym.

MATERIAŁ SPONSOROWANY

Czyli w Polsce można prowadzić badania na światowym poziomie.

Wciąż nie jest to łatwe, choć w ciągu ostatnich 20 lat poczyniliśmy ogromne postępy. Prawidłowe finansowanie badań w drodze konkursów jest bardzo ważne dla poprawy poziomu nauki i odkryć.

IMol, czyli Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych Polskiej Akademii Nauk, jest „dzieckiem” programu Międzynarodowej Agencji Badawczej Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, powstał jako rozwinięcie ReMedy. Przewodniczącym Rady Naukowej IMol jest laureat Nagrody Nobla prof. Phillip A. Sharp.

W ramach programu MAB kluczowe było wymaganie dotyczące utworzenia przy każdej jednostce Międzynarodowych Komitetów Naukowych (MKN), złożonych z wybitnych naukowców, przeważnie z zagranicy. Nasz Komitet wpływa na kształtowanie tematyki badań oraz – co niezwykle istotne – na rekrutację liderów grup badawczych w otwartych konkursach, a także ocenę ich działań. Międzynarodowość Komitetu jest głównym elementem zapewniającym doskonałość naukową z perspektywy międzynarodowej. I są efekty – odwracamy brain drain przez rekrutowanie ludzi z całego świata, w tym Polaków, którzy wcześniej wyjechali za granicę. W ReMedy ponad 40 proc. naukowców to kadra międzynarodowa z 14 różnych krajów.



Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w publikacji pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: www.fnp.org.pl.

Co sprawia największą trudność?

Problemem są m.in. uwarunkowania formalnoprawne oraz perspektywy finansowe. Choćby restrykcyjne przepisy – lub ich interpretacje – o zamówieniach publicznych często sprawiają, że np. wyposażenie laboratoriów w sprzęt czy zakup odczynników trwa całe wieki. A pamiętajmy: nauka jest konkurencyjna i olbrzymie znaczenie ma to, kto pierwszy opublikuje wyniki badań czy zgłosi patent.

Problemem jest również brak „dynamiki instytucjonalnej” w Polsce. W najbardziej rozwiniętych krajach niemal bezustannie powstają nowe jednostki naukowe poświęcone roz-

wijającym się dziedzinom, inne przestarzałe się zamyka. W Polsce wydaje się, że nie pozwala na to mentalność, a ramy formalne bardzo to utrudniają.

Podkreśla pani profesor, że ważne jest, by instytucje naukowe powstawały w Polsce, ale przecież bez względu na to, czy badania prowadzone są u nas, czy np. w Azji, i tak wszyscy prędzej czy później skorzystamy z tych odkryć.

To kwestia narodowych ambicji. Możemy wybrać przyszłość, w której będziemy państwem, które nie ma wpływu na powstawanie nowych technologii, np. leków. Staniemy się tylko wykonawcą. Jeśli jednak chcemy rzeczywiście uczestniczyć w postępie, czego konsekwencją będzie oczywiście wzrost gospodarczy, to warto informować społeczeństwo, że nowe technologie czy leki wymagają rozwoju nauki, w tym nauki podstawowej. Żadnemu krajowi nie udało się tego przeskoczyć – i bez inwestycji w naukę, także podstawową, Polska również tego nie zrobi. Bez odpowiednich nakładów na naukę będziemy przegrywać w wielu konkurencjach i w perspektywie globalnej sprowadzimy się jako społeczeństwo do roli wykonawczej lub – w najlepszym wypadku – usługowej. ●

www.fnp.org.pl

Prof. Agnieszka Chacińska, biochemiczka, specjalizuje się w biochemii komórek i molekularnych aspektach biologii komórkowej, które obejmują biogenezę, transport i degradację białek mitochondrialnych.

Odkryła mechanizmy odpowiedzialne za transport i dojrzewanie białek funkcjonujących w mitochondriach oraz molekularne podstawy dynamiki translokazy białek mitochondrialnych TIM23 odpowiedzialnej za transport białek przez i do wewnętrznej błony mitochondrium. Uzupełnieniem poznanych wcześniej szlaków i mechanizmów biogenezy białek mitochondrialnych była identyfikacja białka nazwanego Mia40, które dało początek odkryciu ścieżki działającej poprzez regulowaną wymianę disiarczkową i stanowiącej nowy mechanizm transportu białek mitochondrialnych.



Rzeczpospolita
Polska



Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Program Międzynarodowej Agencji Badawczej jest realizowany przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej ze środków funduszy strukturalnych w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój (PO IR) 2014–2020, Działanie 4.3. Międzynarodowej Agencji Badawczej.

Ela Awin,
opiekunka kotów
na warszawskiej
Ochocie

NAUKA
I ZDROWIE

Newsweek

Kocia straż

Wychodzą do kotów najczęściej późnym wieczorem, żeby nie rzucać się w oczy sąsiadom. Niosą jedzenie, leki, wodę. Sterylizują i leczą chore zwierzęta, często za własne pieniądze

TEKST KATARZYNA BURDA ZDJĘCIE FILIP KLIMASZEWSKI

Najpierw idź do naszej piwnicy, wyrzuć wczorajsze jedzenie, nałóż świeże, wyczyść kuwety. Potem przejdź do wiewca naprzeciwko, pod trzecimi oknami od lewej strony musisz sięgnąć ręką do piwnicznego okienka, tam są miseczki. Tylko nie wystawiaj ich na zewnątrz, bo ludzie od razu wyrzucą – instruowała mnie sąsiadka, Alina Majewska-Klein, która od lat karmi koty na Ochocie.

Pewnego dnia poprosiła mnie o pomoc. Ma 87 lat, tego dnia ból nóg nie pozwolił jej wstać z łóżka. Wyposażona przez panią Alinę w koszyk wyładowany kocią karmą, podgrzaną wodą dla tych żyjących w budkach za garażami, w latarkę czołową wyruszyłam szlakiem warszawskich karmicielki kotów wolno żyjących.

To nie to samo co bezdomne. Dzięki miejskie koty zawsze były częścią ekosystemów miast i odgrywały w nich ważną rolę – odstraszały gryzonie, w tym szczury. W piwnicach warszawskich bloków, na działkach, w opuszczonych budynkach dziś żyje kilkadziesiąt tysięcy kotów. Zazwyczaj są niewidzialne dla ludzi, nie dają do siebie podejść. Jednak i one potrzebują jedzenia, a także sterylizacji i leczenia. Zajmują się tym wolontariuszki, zwane kociarami albo karmicielkami (to najczęściej kobiety, ale zdarzają się też starsi mężczyźni). Dzięki nim i wsparciu ich działalności przez samorząd dziś na ulicach Warszawy niemal nie widać chorych, głodujących kocich nieszczęść. Ale nie oznacza to, że karmicielki spotykają się z wdzięcznością mieszkańców. Koty je kochają, ludzie najczęściej nienawidzą.

ODRUCH SERCA

ELA AWIN, OD LAT OPIEKUJĄCA SIĘ KOTAMI NA WARSZAWSKIEJ OCHOCIE, kiedyś nie miała pojęcia, że w jej bloku przy ul. Raławickiej kilka pięter niżej rozgrywają się kocie dramaty. – Dokładnie pamiętam, kiedy się o tym dowiedziałam. To był 2008 r., byłam z mężem na wakacjach w Egipcie. Zadzwoniła koleżanka z bloku z pytaniem, czy wiem, że w naszej piwnicy okociła się bezdomna kotka? – wspomina Ela. Po powrocie zeszła do piwnicy i zobaczyła coś, co na zawsze utkwiło jej w pamięci – wynędzniała, zapchlona, głodna kotka, a przy niej pięć drobnych kociąt. – Zaczęłam codziennie schodzić do piwnicy, karmić kotkę, potem znalazłam kocie domy. Przeszłam się po piwnicach i znalazłam mnóstwo kotów małych, starych, chorych i dzikich, rzadko będących w dobrym zdrowiu. Postanowiłam się tym zająć – opowiada Ela.

I tak od 15 lat codziennie, choćby się paliło i waliło, o godz. 22 wyrusza z domu objuczona jedzeniem dla kotów, lekami, kawałkami mięsa dla zanieżenia tych najbardziej nieśmiałych. Podobnie jak pani Alina, która piwnicznymi kotami zajęła się kilka lat wcześniej niż Ela. – Systematycznie zaczęłam dokarmiać koty i zapewniać im lekarską opiekę chyba w 2005 r. Pamiętam, że w mojej piwnicy znalazłam kilkanaście dzikich kotów, rozmnażających się bez kontroli – wspomina emerytowana lekarka. Zaczęła karmić i leczyć koty. Wkrótce po-

”Przeszłam się po piwnicach i znalazłam mnóstwo kotów małych, starych, chorych i dzikich, rzadko w dobrym zdrowiu. Postanowiłam się tym zająć

ELA AWIN, OD LAT OPIEKUJĄCA SIĘ BEZDOMNYMI KOTAMI

znała inne karmicielki z okolicy, w tym Elę, która dziś jest dla niej niczym przybrana córka. – Pani Alina nie tylko karmiła koty, ale też brała do siebie dzikie, piwniczne kocie na oswojenie, a potem szukała im domów – mówi Ela.

Pani Alina pilnuje, żeby koty miały zawsze otwarte piwniczne okienko. To ważne zwłaszcza zimą. – Ludzie nie zdają sobie chyba sprawy, że kot może zamarznąć tak samo jak człowiek – mówi dr Piotr Kamiński, lekarz weterynarii z lecznicy Ginvet. – Może też z powodu wyziębienia i wygłodzenia łatwiej zapadać na różne choroby, w tym na zapalenie płuc, zimno sprzyja ujawnieniu się objawów wirusowej kociej białaczki. Najgorzej mają koty z dziełek,

bo im zimą najtrudniej znaleźć jedzenie i ciepłe schronienie – tłumaczy dr Kamiński, który wiele razy jeździł z karmicielkami na działki, żeby leczyć koty.

KOTY Z ŁAPANEK

ABY ZAPANOWAĆ NAD WIELKĄ POPULACJĄ WOLNO ŻYJĄCYCH KOTÓW, trzeba je sterylizować. W tym celu opiekunki kotów organizują łapanek. – Zazwyczaj starszki karmiące koty nie dają sobie z tym rady, dlatego mamy w gronie opiekunek wyspecjalizowane łapaczki, które chwytają koty do klatek pułapek i przewożą do lecznic na zabiegi – opowiada Ela.

Czasami do złapania jest całe stado liczące kilkadziesiąt zwierząt. – Miałam pod opieką dwa takie stada, jedno liczące 50 kotów na terenie dawnego Luxmedu przy Raławickiej, a drugie na Fortach Mokotów. Tam było ok. 35 kotów – mówi Aniela Głowacz, lekarka, wieloletnia karmicielka mokotowskich zwierząt. – Koty w obu miejscach były tak wygłodzone, że wchodziły po dwa do klatek, byle tylko dostać się do wyłożonych tam kawałków mięsa – wspomina Aniela.

Takie działania wymagają wsparcia stołecznych urzędników. Przy urzędach dzielnic działają osoby oddelegowane do zajmowania się karmicielkami kotów. Jeśli taka osoba zgłosi się do urzędu i zarejestruje jako wolontariuszka pomagająca kotom, może uzyskać pomoc. – Wydajemy tym osobom przydzielone karmy zakupione przez gminę lub dzielnicę, opłacamy zabiegi w wyznaczonych gabinetach weterynaryjnych. Ale miasto nigdy nie poradziłoby sobie z problemem głodnych i chorych kotów, gdyby nie ta armia wolontariuszy. Dzięki nim liczba bezdomnych zwierząt znacznie się zmniejszyła – mówi Ewa Oleńska, która przez lata pełniła tę funkcję w Urzędzie Dzielnicy Ochota. Dziś sama dokarmia koty. – Trochę życie mnie do tego zmusiło. Karmicielki umierały i koty zostawały bez opieki. A o nowych opiekunów nie jest łatwo. Na samej Ochocie jest 80 karmicielki, mają mnóstwo pracy, nie zawsze mają kto przejąć rejon po zmarłej osobie.

Dlatego brałam karmę i sama szłam do głodnych zwierząt. Dzisiaj dokarmiam około 50 kotów – mówi Ewa Oleńska.

Z PIWNICY NA KANAPĘ

ALE STARZEJĄ SIĘ NIE TYLKO LUDZIE, RÓWNIEŻ KOTY. Kocia starość w piwnicy czy na działce jest bardzo trudna. Takie zwierzęta często lądują w domach opiekunów. Ela ma u siebie od kilku do kilkunastu kotów, są stare albo chore. – To koty z cukrzycą, chorobami stawów, chorymi nerkami. Zabieram je, bo trzeba dawać im dwa razy dziennie leki, często też kroplówki, a do piwnicy możemy chodzić tylko w nocy, żeby nie rzucać się w oczy mieszkańcom – mówi Ela. Te chore koty stają się wielkim obciążeniem dla opiekunów. Wzięte do domu przestają być kotami wolno żyjącymi, a więc gmina przestaje finansować im leczenie czy karmę. Ela musi za wszystko płacić z własnej kieszeni. – Teraz właściwie pracuję tylko na to, na resztę – rachunki, jedzenie, jakieś wakacje – zarabia mój mąż. Jest dla mnie ogromnym wsparciem – podkreśla. Każdy wyjazd oznacza dla nich konieczność znalezienia nie tylko kogoś, kto będzie karmił ich domowe koty, ale też pójdzie do tych z piwnicy i działek.

Na swoje koty zarabia również Aniela, bierze tyle dyżurów w szpitalu, ile tylko się da. – Od początku miałam problemy z właścicielami czy najemcami terenów, na których karmiłam koty. Niszczono mi kocie domki budowane jako schronienie na zimę, przeganiano zwierzęta. W końcu budynek Luxmedu przy Raławickiej został zburzony, a teren Fortów zyskał nowego najemcę, który utworzył tam eleganckie knajpy. Obecność kotów była mu bardzo nie na rękę. Tylko co ja miałam z nimi zrobić? Przecież nie wezmę wszystkich do mieszkania – mówi Aniela.

Wtedy, w 2017 r., podjęła decyzję o kupnie domu niedaleko Kozienic. Zabrała tam wszystkie swoje koty, wówczas ponad 30. – Część z nich już nie żyje, ale doszły nowe. Ludzie je podrzucają, zgłasza gmina, która opłaca mi kastrację zwierząt. 90 proc. kosztów ponoszę jednak sama, a mam teraz pod

opieką 85 kotów. To te, które mieszkają w moim domu, bo jeszcze dokarmiam wolno żyjące – mówi Aniela.

TY KOCIA SZMATO

WSZYSTKIE MOJE ROZMÓWCZYNIĘ MÓWIĄ, ŻE SĄ BARDZO ZMĘCZONE. – Nie ma takiej możliwości, żeby nie wyjść do kotów, bo np. rozłożyła cię gorączka. One czekają i wiesz, że jeśli nie przyjdiesz, będą głodne przez kolejną dobę – mówi pani Alina. Nawet uśmiechnięta i energiczna Ela czasami ma dość. Zwłaszcza wtedy, gdy musi walczyć nie tylko z kocimi nieszczęściami, ale też z sąsiedzkiimi pretensjami.

Dziś warszawiacy kotów w piwnicach generalnie nie chcą i są w stanie zrobić wiele, aby się ich pozbyć. – Zupełnie tego nie rozumiem, bo kiedyś ludziom koty mniej przeszkadzały – dziwi się Ela. – Przecież kiedy koty znikają z piwnicy, natychmiast pojawiają się w niej szczury, obserwujemy to od lat. Szczury są bardzo wrażliwe na obecność kotów, nawet jeśli kot nie jest w stanie upolować dorosłego. Najważniejsze, że szczurzyce przestają się rozmnażać w obecności drapieżnika zagrażającego ich młodym – tłumaczy Ela. Jak dodaje dr Kamiński, piwniczne koty nie stanowią żadnego zagrożenia dla człowieka. – Nawet jeśli chorują, nie są to choroby, którymi człowiek może się zarazić – zapewnia dr Kamiński.

Jednak próby tłumaczenia tego przeciwnikom wolno żyjących kotów spełniają na niczym. A ludzie potrafią być bezwzględni i okrutni. Przede wszystkim zamykają kotom okienka piwniczne, te, przez które zwierzęta mogą uciec przed goniącymi je psami czy schronić się w mroźną zimę. Na porządku dziennym są skargi do administracji, że koty hałasują, śmierdzą, roznoszą pchły. W bloku pani Aliny sąsiedzi zorganizowali nawet zbieranie podpisów przeciwko okienku dla kotów w jej własnej piwnicy. Argumentowali to tym, że drewniane, uchylne okienko pod schodami na klatkę szpeci blok.

– W paru blokach nieprzyjaznych kotom dochodziło nawet do tak kuriozalnych sytuacji, że ludzie potrafili

załatwiać się do kocich kuwet, a potem wzywać administrację, mówiąc: zobaczcie, nikt tu po tych kotach nie sprząta, trzeba je zlikwidować! Kiedyś idąc do piwnicy posprzątać kuwety, natknęłam się na starszą panią, która na mój widok podniosła się szybko znad kuwety i naciągnęła majtki – wspomina Ela.

Tak jak inne karmicielki bywała ofiarą agresji, ludzie na przykład wieszali jej swój kał w reklamówce na drzwiach do domu albo wlewali z balkonów nieczystości na głowę, kiedy nakładała kotom jedzenie pod blokiem. Wyzwiska, wysmiewanie? Te były na porządku dziennym. – Słyszałam o sobie najgorsze rzeczy. „Ty kocia kurwo!”, „Szmato, zajęłabyś się dziećmi!” – wykrzyczane prosto w twarz. Kiedy przechodziłam, mężczyźni wołali za mną: „kici, kici”. To było najbardziej upokarzające – mówi gorzko Ela.

W końcu wyprowadziła się z tamtego bloku. Woli chodzić do swoich podopiecznych z nowego osiedla, gdzie nikt jej nie zna i nie wie, co niesie co wieczór w swoim koszyku karmicielki. **N**

katarzyna.burda@newsweek.pl

Newsweek POLECA



Więcej o relacjach ludzi i kotów,

zarówno tych wolno żyjących, jak i królów domowych kanap, można przeczytać w książce Katarzyny Burdy „Kocie story. Miłość, fascynacja i trudna sztuka wspólnego życia”. Premiera 8 listopada



Borys Szyc z córką Sonią

**BORYS I SONIA SZYCOWIE
NA EKRANIE**

TO BYŁY NASZE EMOCJE

Pracując nad tym filmem, zobaczyłem w mojej córce dojrzałą kobietę – mówi **BORYS SZYC.** – Chyba pierwszy raz w życiu klóciłam się ze swoim tatą – dodaje **SONIA SZYC.** Zagrali razem w podejmującym temat niechcianej ciąży filmie „Miało cię nie być”.
Już w kinach

ROZMAWIA ARTUR ZABORSKI

NEWSWEEK: Wiedzieliście od dawna, że w waszej rodzinie córka pójdzie w aktorskie ślady ojca?

SONIA SZYC: Unikałam aktorstwa jak ognia, bo nie chciałam być kojarzona z tatą. Chciałam iść w stronę śpiewu i muzyki, to był mój konik. Odkąd skończyłam pięć lat, mówiłam wszystkim, że zostanę piosenkarką. A poza tym uważałam, że nie umiem grać, że nie udało mi się odziedziczyć po tacie tego talentu. Co prawda byłam na trzech castingach, ale nic z nich nie wyszło. I może to dobrze, bo byłam wtedy młodsza. Dobrze, że debiut nastąpił właśnie teraz.

BORYS SZYC: Twórcy „Miało cię nie być” zobaczyli Sonię na jednym z naszych nagrań na Facebooku, gdzie wspólnie zaśpiewaliśmy piosenkę „Shallow” Lady Gagi i Bradleya Coopera. Spodobała im się. Pasowała pod względem wieku i wyglądu – po-

szukiwali 17-latki do nowego filmu. Obiecałem, że przekażę Soni wiadomość i zapytam, co o tym myśli. Przysłali mi fragment scenariusza z prośbą o spotkanie na zdjęcia próbne. Tak się złożyło, że scena rozgrywała się między córką a ojcem. Do roli ojca wybrano już wcześniej innego aktora. Ale ze względu na to, że coś tam już w życiu zagrałem, poproszono mnie, żebym towarzyszył Soni. I tak zaczęła się cała ta przygoda.

Ty doskonale wiesz, że aktorstwo ma nie tylko jasne strony, ale też mnóstwo ciemnych. Jesteście non stop oceniani, krytykowani, porównywani. Nie chciałeś tego oszczędzić córce?

BORYS: Wiedząc, z czym wiąże się granie w filmach, nie chciałem wypychać jej do tego świata. Sam doświadczyłem, jak moja mama usilnie próbowała odwieść mnie od wykonywania tego zawodu. Nie chciała, żebym zdawał do szkoły aktorskiej, bo bardzo dobrze знаła ten świat – studiowała na Akademii Sztuk Pięknych. Jak widać, nie udało jej się mnie powstrzymać. Nie powstrzyma się kogoś, kto ma takie marzenia, a właściwie nie powinno się tego robić. Nie odradzałem Soni niczego, przedstawiłem jej tylko propozycję, która się pojawiła. A ona zrobiła to, co wydaje mi się charakterystyczne dla całego jej pokolenia, które ma przed sobą bardzo wiele możliwości.

SONIA: Tata nigdy nie wtrącał się w moje wybory. Przyzwyczaił się, że ciągle mówię o śpiewaniu, więc być może trochę zdziwiło go, że jestem chętna do spróbowania swoich sił w aktorstwie. Nie odradzał mi tego, choć odbyliśmy wcześniej kilka rozmów, z których wynikało, że ten zawód wiąże się z pewnymi nieprzyjemnymi aspektami. Cały czas jest się wystawionym na ocenę publiczności, która nie zawsze jest do nas dobrze nastawiona. Myślę, że tata chciał mnie przygotować na potencjalną krytykę, gdybym jednak zdecydowała się wejść w ten świat.

” ODKRYCIE EMOCJI, KTÓRE TOWARZYSZĄ GRANIU U BOKU NAJWAŻNIEJSZEJ OSOBY W MOIM ŻYCIU, BYŁO NIESAMOWITE

Borys Szyc

Kiedy przekonałeś się, co to znaczy być wciąż poddawany ocenie innych?

SONIA: Wchodząc na plan, z całych sił próbowałam o tym nie myśleć. To zabrzmiało śmiesznie, ale przez długi czas nie docierało do mnie, że ktoś ten film naprawdę zobaczy. Z tyłu głowy czułam oczywiście ryzyko oskarżeń o to, że tata załatwił mi tę rolę, i negatywnych ocen, chociaż nie zdawałam sobie chyba sprawy ze skali, jaką mogą przybrać. Niestety, kiedy pojawi-

ła się pierwsza oficjalna informacja o filmie, weszłam na jeden z plotkarskich portali. Naiwnie sądziłam, że po prostu coś przeczytam, a zobaczyłam 2 tys. komentarzy, z czego pozytywny był może co 15. Oceniano wszystko: od sposobu, w jaki stoję, przez uśmiech i wygląd, pojawiły się komentarze, że tata załatwił mi rolę, że nie mam talentu, a poza tym to na pewno jestem głupia. To było moje pierwsze zderzenie z tym światem. Miałam wtedy 17 lat. Kiedy teraz o tym myślę, wiem, że te komentarze były ohydne. To zadziało na mnie jak kubeł zimnej wody. Zdałam sobie sprawę, że chyba nie warto tego czytać, bo czy chcemy, czy nie, robi to na człowieku wrażenie. Zablokowałam w telefonie dostęp do wszystkich stron plotkarskich, żebym nie mogła tam wejść, nawet gdybym nagle zechciała.

To, że jesteście rodziną, to jedno. Ale wystąpiliście w filmie poruszającym temat aborcji, który budzi ogromne emocje. Musieliście brać pod uwagę, że „Miało cię nie być” może stać się częścią politycznej przepychanki.

BORYS: Przez lata zawodowej działalności unikałem polityki jak ognia. A dzisiaj wszystko jest elementem politycznej dyskusji, co bardzo mi nie odpowiada. Nie podoba mi się też postępująca polaryzacja społeczeństwa. Wszystko staje się dla nas orężem w politycznej walce. Bardzo chcieliśmy zabrać głos na temat aborcji, ale w inny, niepolityczny sposób. Opowiedzieliśmy historię o ludziach. O prawdziwych uczuciach, które mogą wiązać się z taką sytuacją. Rozmowa o ciąży i aborcji została upolityczniona, a to prowadzi do olbrzymich uogólnień. Ludzie wrzucają wszystko do jednego worka z napisem „tak” lub „nie”. Tymczasem świat ma wiele odcieni. Życie nie jest czarno-białe. Decyzja o aborcji nie czyni z Ciebie mordercy, a osób, które się jej nie podejmują, nie czyni świętymi.

SONIA: Bardzo zależało nam, żeby nie upolitycznić tego filmu. Chcieliśmy skupić się na problemie jednostki. To, po której stronie staniemy, było bez znaczenia i w filmie nie o to chodzi. Takie sytuacje się po prostu zdarzają, chociaż niewiele się o nich mówi. W dzisiejszych czasach bardzo trudno jest zabrać głos w jakiegokolwiek sprawie bez obawy o to, że zostaniemy osądzeni o stawianie po którejś ze stron. Nie chciałabym stać się częścią tej walki. Nie chcę wypowiadać się na temat tego, co główna bohaterka naszego filmu powinna zrobić. Nie taki był nasz cel i nie taki jest główny przekaz filmu.

BORYS: Każdy przypadek jest inny – jakim prawem ktoś miałby to osądzać? Jakim prawem ktoś ma odgórnie decydować o cudzym życiu? Nie możemy zakładać, że ktoś, kto decyduje się na dokonanie aborcji, jest złym człowiekiem. Być może znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, która go do tego zmusiła? Być może życie takiej kobiety jest zagrożone? Wachlarz możliwości jest ogromny, we wszystkich decyzjach i ludzkich losach można znaleźć mnóstwo niuansów. Dlatego w każdej sytuacji należy przyjrzeć się tej jednej osobie, która – jak bohaterka naszego filmu – zostaje sam na sam ze swoją decyzją. Mówimy o zakazach, nakazach, ale to ona mierzy się ze wszystkim. I musi to w sobie przeżyć.

W filmie interesujące jest to, z jaką dojrzałością i otwartością młode pokolenie mówi o temacie niechcianej ciąży i jej ewentualnego przerwania.



Borys Szyc: zobaczyłem w córce filmowego partnera

” TEN FILM BARDZO MNIE OTWORZYŁ NA LUDZI

SONIA SZYC

SONIA: Moje pokolenie w pewnym sensie wychowało się na tym temacie. O sprawie aborcji zrobiło się najgłośniejsze w czasie pandemii, więc wszyscy czytali o niej zamknięci w domach. Nagle rozpoczęły się strajki kobiet po tym, jak rząd zaostriżył ustawę antyaborcyjną. To sprawiło, że nabraliśmy obycia z tym tematem. Jednocześnie zauważyłam, że starsze pokolenia zaczynają się na takie rozmowy otwierać. Na jednym z festiwali filmowych po projekcji „Miało cię nie być” podchodziły do nas zapłakane starsze kobiety, mówiące o własnych doświadczeniach i zwierając się z wykonania aborcji lata temu. Na myśl o tym przechodzą mnie ciarki, to było niesamowite. Dla większości tych osób aborcja była przecież wcześniej tematem tabu.

BORYS: Moment w życiu ekranowego ojca i córki, który przedstawiamy w filmie, nie został wybrany bez powodu. To bardzo trudna chwila, oboje nie do końca wiedzą, jak się zachować, a jednak idą w to. Założenie jest takie, że obie strony bardzo chcą dojść do porozumienia, a widzowie obserwują ich zmagania. Według mnie to ciekawy moment z perspektywy rodzica, który znajduje się w bardzo trudnym punkcie relacji z dzieckiem, czyli wtedy, kiedy ono przestaje tym dzieckiem być. Nagle z rozmów o pójsciu do zoo lub na lody, z ciągłych zabaw, musisz przejść się na to, że staje przed tobą dorosły człowiek. I oczekuje szczerości i traktowania go w dojrzały sposób. W moich rozmowach z córką często pojawiał się wątek traktowania jej przez innych jak dziecko. „Kiedyś o tym porozmawiamy”, „jak dorosniesz, to zrozumiesz” – słysząc to, miała poczucie, że chciałaby już uczestniczyć w tych dojrzałych rozmowach. Rodzic musi się tego nauczyć, musi pokonać te bariery, co jest trudne, bo wymaga zejścia z piedestału i odpuszczenia swojego ego, postawienia się na równi z drugim, już dorosłym, człowiekiem.

A kiedy ty dostrzegłaś w swoim dziecku dorosłego człowieka?

BORYS: Moment pracy nad tym filmem, dokładnie te 30 dni zdjęciowych, to był czas, kiedy nasza relacja weszła na zupełnie inny poziom. Zobaczyłem w mojej córce filmowego partnera, dojrzałą

kobietę, dorosłego człowieka. Spędziliśmy ze sobą cudowne chwile, wspólnie pracując, emocjonując się, rozmawiając, śmiejąc. Sonia zaufała mi w stu procentach, a ja odwzajemniłem się tym samym. Chciałem, żeby poczuła, że widzę w niej Sonię Szyc, dojrzałą, dorosłą kobietę. I że cieszę się, że jest obok mnie.

SONIA: Na planie zwracaliśmy się do siebie, używając innych imion. Wypowiadaliśmy nie swoje słowa, ale nasze emocje. Wyrzuciliśmy sobie pewne kwestie, krzycząc i płacząc. Chyba pierwszy raz w życiu klóciłam się ze swoim tatą, bo my raczej ze sobą spokojnie rozmawiamy, więc to było coś nowego. Niby wiedzieliśmy, że opowiadamy o fikcyjnej sytuacji, ale przez cały czas patrzyłam na swojego ojca. Tata zostawił mi bardzo duże pole do własnej pracy, żebym mogła doświadczyć tego wszystkiego samodzielnie i pokazać, że coś umiem. To było świetne uczucie. Przez większość czasu pracowałam z reżyserem Kubą Michałczukiem – tata zazwyczaj siedział obok na kanapie. Podsyłałam mu wstępnie zmontowane sceny, kiedy dostawałam je od Kubę. Czasami miało to miejsce po trzech dniach i spotykało się z reakcją: „Co? Ale ja nic o tym nie wiem, mnie nic nie wysyłał”. Tata dowiadywał się wszystkiego ode mnie.

BORYS: Pierwszy film to jest przygoda życia. Chciałem, żeby wycisnęła z tej cytryny wszystkie soki, i rzeczywiście tak było. Sonia cudownie bawiła się na planie. Miała duże poczucie własnej wartości, które budowało się na moich oczach. Obserwowanie dziecka, które dzięki swojej pracy i talentom zyskuje uznanie osób na planie, było czymś niesamowitym. Sonia wypadła bardzo profesjonalnie również od strony technicznej, zawsze znała tekst, była przygotowana. Zdawała jednocześnie dwa egzaminy dojrzałości, ten na planie filmowym, i ten w szkole.

A jakim doświadczeniem dla ciebie było granie z córką?

BORYS: To była absolutnie wyjątkowa sytuacja. Życzę każdemu rodzicowi, żeby zaznał takich emocji, jakie towarzyszyły mi podczas kręcenia zdjęć ze swoim dzieckiem. Praca aktorów skupia się na emocjach, ale chyba po raz pierwszy czułem się tak onieśmielony przed moim aktorskim partnerem. Zazwyczaj jestem bardzo świadomy tego, co robię, a tym razem czułem się tak, jakby ktoś pozbawił mnie pancerza. Odkrycie emocji, które towarzyszą graniu u boku najważniejszej osoby w moim życiu, było niesamowite. Ale myślę, że dość szybko udało nam się pozbyć tej rodzinnej tremy. Po jednym dniu przeskoczyliśmy w tryb zawodowego partnerstwa. Oboje czuliśmy się tak, jakbyśmy robili to od dawna, jakby tych kamer nie było. Naturalność, którą widać na ekranie, wynika z naszej prywatnej relacji, z tego, że dobrze się znamy. Po prostu sobie zaufaliśmy.

SONIA: Ten film bardzo mnie otworzył na ludzi. Zaczęłam podejmować ważne tematy, o których wiele osób często boi się rozmawiać. Potrafiłam oswoić się z kamerą, tym bardziej że w filmie znalazło się wiele bliskich ujęć na nasze twarze. Rola wiąże się także z odsłonięciem swojej wrażliwości przed światem. Na początku wydaje się to trudne, ale ostatecznie to bardzo miłe doświadczenie. Niemal magiczne, kiedy pomyślę o tym, że mogłam wnieść coś do życia innych ludzi. **N**

Artur Zaborski

Sieroty po Ameryce

Widziałam ten
koszmar na własne
oczy – mówi Barbara
Kingsolver, autorka
nagrodzonej Pulitzerem
książki „Demon
Copperhead” o ludziach
uzależnionych od
opiodów. W pisaniu
pomógł jej duch
Charlesa Dickensa

TEKST NATALIA SZOSTAK

Nie było łatwo. A przecież gdy Barbara Kingsolver siadała do pisania, miała już na koncie dziewięć powieści i kilka książek non fiction. Urodzoną w 1955 r. pisarkę „Writers Digest” uznał za jedną z najważniejszych amerykańskich autorek XX wieku.

Jednak temat stawiał jej opór. Chciała napisać o kryzysie opioidowym, czyli masowym uzależnieniu od leków przeciwbólowych w USA i Kanadzie. Codziennie z powodu przedawkowania opioidów umiera w Stanach 150 osób. Od początku tego kryzysu zmarło 650 tys. Amerykanów.

– Musiałam to opisać ze względu na to, gdzie mieszkam – mówi „Newsweekowi” Barbara Kingsolver. – Gdybyśmy poszły na spacer, mogłabym wskazywać kolejne domy: tu ktoś zmarł z powodu uzależnienia, ten dom został sprzedany za bezcen, żeby zarobić na prochy, tej rodzinie odebrano dzieci. Widziałam ten koszmar na własne oczy.

JEDNO ZDANIE

NIE CHCIAŁA PRZYGLĄDAĆ SIĘ problemowi w skali makro. – Były już takie książki dokumentalne, jak choćby „Lekomani. Jak koncerny farmaceutyczne i lekarze potrafią uzależnić pacjentów od leków” Beth Macy [na jej podstawie powstał serial „Lekomania” z Michaeliem Keatonem w roli głównej; w Polsce do obejrzenia na Disney+ – red.]. To dobry przykład opowieści o wielkich graczach – koncerny farmaceutyczne, Agencja do Walki z Narkotykami (DEA), prokuratorzy generalni i prawnicy, którzy złożyli pozwy – opowiada pisarka. – Kiedy spojrzysz się na ten kryzys z oddali, można stwierdzić, że sprawiedliwości stało się zadość. Ukarać winnych, części ofiar wypłacono odszkodowania. Ale to iluzja. Nie ma mowy o żadnej sprawiedliwości, bo te rodziny już nigdy nie będą kompletne. Chciałam napisać o dzieciach, które zostały opuszczone nie tylko przez rodziców, ale przez całe amerykańskie społeczeństwo.

Temat godny wielkiej powieści. Ale męczyła się, nie potrafiła znaleźć odpowiedniej formy. Zaczynała kilka razy, porzucała pracę. Z ulgą przyjęła pro-

pozycję trasy promującej poprzednią książkę. Wszystko, żeby choć na chwilę oderwać się od opowieści o opioidach. Poleciała do Wielkiej Brytanii. Któregoś dnia zobaczyła reklamę hotelu. Zbudowany w 1801 r. Bleak House w hrabstwie Kent, zaledwie 1,5 godziny pociągiem na wschód od Londynu, jest jednocześnie domem gościnnym i muzeum Dickensa. Postanowiła tam pojechać. Jednak nie spodziewała się tego, co tam zastała.

– Niesamowite miejsce. Jakbym przeniosła się w czasie do połowy XIX w. Meble pamiętające Dickensa. Jego dokumenty, listy – opowiada pisarka.

„*Zawsze mówiłam, że byłoby cudownie zlecić komuś napisanie pierwszej wersji książki. Za mnie zrobił to Dickens*”

BARBARA KINGSOLVER

Usiadła przy biurku, które było świadkiem powstania wielu książek Dickensa. Wśród nich „Davida Copperfielda”. To opowieść o dorastaniu sierotconego chłopca, który próbuje wydostać się ze skrajnej nędzy, a w końcu zostaje popularnym pisarzem. Dickens oparł ją na własnych doświadczeniach. Przy tym biurku Kingsolver miała oślnienie. – Nie wierzę w duchy, ale to było zupełnie tak, jakby Dickens stanął obok mnie i wypowiedział to jedno zdanie, które wszystko zmieniło.

Jakie to zdanie? „Pozwól dziecku opowiedzieć tę historię”.

– Wybór narratora wpływa na to, jak czytelnicy odbiorą lekturę. Jeśli powiedziałabym: „Mam przyjaciela, który podpala samochody”, zapewne wzruszyłaby pani ramionami. Ale jeśli powiem: „W wolnym czasie podpalam samochody”, będzie się pani chciała dowiedzieć

czegoś więcej. To kwestia psychologii. Podobnie było w tym przypadku. Musiałam dać mówić komuś, kto jest tak blisko kryzysu opioidowego, jak tylko się da.

Gdy wracała do Stanów, zabrała do samolotu „Davida Copperfielda”. Jak mówi, czuła się tak, jakby uczestniczyła w kursie prowadzonym przez najśłynniejszego pisarza epoki wiktoriańskiej. Podziwiała to, jak prowadził akcję, jak utrzymywał zainteresowanie czytelników. W domu rozrysowała tabelkę z 46 kolumnami – jedną na każdy rozdział książki. I zaczęła się zastanawiać, jak przenieść XIX-wieczną powieść we współczesność. Na przykład – co byłoby ekwiwalentem fabryki pasty do butów, w której pracuje David? Postawiła na laboratorium metamfetaminy.

GŁOS DZIECKA

WSPÓŁCZESNY COPPERFIELD W WYDANIU KINGSOLVER to tytułowy Demon Copperhead. Matka urodziła go młodo i jest „ekspertką od odwyków”, ojca nie ma – zmarł przed jego urodzeniem.

Naprawdę ma na imię Damon, a druga część jego pseudonimu, czyli Copperhead – miedziogłowiec – to nazwa jadowitego węża występującego w rejonie Appalachów i nawiązanie do rudej czupryny chłopaka. Demon wygląda nietypowo, jest osobą mającą cechy rasy czarnej, białej, a także rdzennych mieszkańców Ameryki.

Powiedzmy sobie wprost – Demon od początku ma przechlapane. Dickens w „Davidzie Copperfieldzie” także opowiadał o najbiedniejszych i wykluczonych, ale jak o tym mówić, by książka nie zmieniała się w kazanie? No właśnie – dać głos dziecku.

Kingsolver uznała, że to genialne rozwiązanie. – Kiedy dziecko opowiada ci, co mu się przydarzyło, czujesz, że to jego historia, coś, czym chce się podzielić. Więc słuchasz.

Zapewnia, że wszystko, co opisuje w książce, w rzeczywistości przydarzyło się komuś, kogo zna. A właściwie wielu osobom – bo życie Demona obfituje w wydarzenia. Jego matka zakochuje się i sprowadza do domu mężczyznę o pseudonimie Stoner. Po chwili trzeźwości

wraca do nałogu. A to tylko początek serii zdarzeń, które na zawsze zmieniają życie małego Demona.

Kingsolver jest wdzięczna Dickensowi: – Zawsze mówiłam, że byłoby cudownie zlecić komuś napisanie pierwszej wersji książki. To najbardziej męcząca część pracy. Za mnie zrobił to Dickens. Ale nie bałam się zmieniać wątków czy wyrzucać niepotrzebnych postaci – opowiada.

Od czasów Dickensa pewne rzeczy się zmieniły. Na przykład postrzeganie kobiet. – Pochlebiam sobie, że lepiej niż Dickensowi wychodzi mi pisanie o bohaterkach – śmieje się Kingsolver. – Przykładem może być dickensowska Agnes – półsierota, córka alkoholika, nazywana „aniołem”, bo wszystko znosi bez słowa skargi. Miałam wrażenie, że to fantazja, a nie prawdziwy człowiek. W mojej wersji dodałam tej postaci trochę życia.

Z RĄK DO RĄK

KIEDY MATKA DEMONA WRACA DO NAŁOGU, chłopiec trafia do rodziny zastępczej. Pierwszej z wielu. To także coś, czego Kingsolver nie musiała wymyślać. Według badań pod opieką kogoś innego niż rodzice może być nawet 40 proc. dzieci z regionu Appalachów.

– Opowiadałam o kryzysie wielu instytucji – mówi. – O tym, jak wygląda piecza zastępcza, nierzadko traktowana jako forma zarobku, a nie rzeczywista pomoc dzieciom bez rodziny. O systemie ochrony zdrowia, który jest niewydolny i bezużyteczny dla najuboższych.

Uważa, że obecne problemy będą miały konsekwencje dla kilku następnych pokoleń. Chodzi nie tylko o dzieci, które wychowują się bez rodziców, ale też o takie, które cierpią na powikłania zdrowotne związane z tym, że ich matki w okresie ciąży zażywały opioidy.

– Co gorsza, mamy w USA ogromny problem z pracownikami socjalnymi. Ta praca się nie opłaca. Dlatego dzieci są przetrzucane od jednego pracownika do drugiego.

To spotyka także Demona.

TEN WIELKI DOM

„NAPISAŁAM TĘ KSIĄŻKĘ DLA MOICH LUDZI, ponieważ jesteśmy niemal nie-



Barbara Kingsolver
Demon Copperhead
przetł. Kaja Gućio
Filia, Poznań

widzialni dla świata i przedstawiani w zakłamanym sposób” – mówiła na początku maja Kingsolver, odbierając Nagrodę Pulitzera w kategorii fikcja (wraz z nią nagrodzono Hernana Diaza za „Hurt”).

Mówiąc o „swoich ludziach”, miała na myśli mieszkańców Appalachii. To region obejmujący 13 stanów USA, który zamieszkuje ok. 26 mln ludzi, a 80 proc. z nich to biali. To obszar niezwyklej przyrody, majestatycznych gór i imponujących lasów, ale też rozwiniętego przemysłu. Od początku XX w. na dużą skalę wydobywano tam węgiel.

Dla Kingsolver to dom. Tam się urodziła (w Annapolis), tam – w wiejskim domu – do dziś mieszka.

Było w tym trochę przekory, bo Appalachia jest często obiektem kpin. Jej mieszkańcy są wyśmiewani, wyzywani od prostaków, ignorantów i rasistów. Ale Kingsolver widzi ten region inaczej. Nie ignoruje jego problemów, ale zwraca uwagę, że ludzie są tu rodzinni, utrzymują bliskie więzi z sąsiadami i przyjaciółmi.

– To dlatego kryzys opioidowy tak bardzo w nas uderzył, bo zniszczył to, co było najważniejsze. Jeśli nie można polegać na bliskich, to co nam pozostanie? – pyta.

Kingsolver podkreśla, że większość wiadomości, które do nas docierają, dotyczy wielkich miast. – To tak, jakby nasze życia się nie liczyły. Nie były warte opisanego. Chciałam to zmienić – dodaje. Zdaje sobie też sprawę z uprzedzeń, jakie mają mieszkańcy Appalachii. – To wstyd, poczucie niższości. Przekonanie, że prawdziwe życie jest gdzieś indziej, w dużych miastach. Myślę, że potrzebne są osoby takie jak ja, które mieszkały w metropoliach, ale wróciły na wieś. I głośno mówią, że nie wyobrażają sobie życia gdzie indziej.

Stereotypy i związana z nimi nienawiść dotyczą też Demona. Po klasie krąży zeszyt, w którym uczniowie wpisują opinie na temat koleżanek i kolegów. W części poświęconej sobie chłopak czyta: „gównojad, frajer, śmieć, zjeb”.

I choć powieść Kingsolver nie jest autobiograficzna, akurat to wydarzenie wzięła z własnego życia. – Podobnie jak Demon, w „Złoty myślach” koleżanek z klasy znalazłam okropne słowa na swój temat. I ciągle pamiętam, jak to jest, kiedy wszyscy postrzegają cię jak kogoś gorszego – mówi. – Dziś mogę powiedzieć, że w szkole byłam ofiarą prześladowania. Koleżanki wiedziały, że jestem biedna, śmiały się z tego.

Ma nadzieję, jak mówi, że koleżanki widziały, jak odbierała Nagrodę Pulitzera i było im głupio. Kingsolver się śmieje: – Pewnie pamiętają ten czas inaczej. Być może dziś powiedziałyby, że zawsze mnie wspierały i wiedziały, że coś ze mnie wyrośnie.

ZMIANA

KINGSOLVER ZOSTAWIA CZYTELNIKÓW Z ODRÓBINĄ NADZIEI. Wspomina m.in. o suboxonie, leku, który pomaga w walce z uzależnieniem. W uproszczeniu: zmniejsza głód narkotykowy, z czasem można zmniejszać dawki leku i powoli wychodzić z nałogu.

Czy to znaczy, że problem został oparty? Niekoniecznie. – Myślę, że z kryzysem opioidowym jest jak z oparowaniem pożaru. Kiedy uda się go przygasić w jednym miejscu, okazuje się, że płomień rozpala się gdzie indziej. Ale udało się wprowadzić ważne zmiany, m.in. w sposobie przepisywania leków na receptę. Zmienia się też nastawienie społeczeństwa. Ludzie zaczynają rozumieć, że uzależnienie to choroba – tłumaczy Kingsolver.

Mówi, że czasami bywa pytana, jak to możliwe, że siwowłosa kobieta była w stanie napisać wiarygodną opowieść z perspektywy młodego chłopaka. – Odpowiadam, że to bardzo proste: mam prawie 70 lat na karku, ale też kiedyś byłam nastolatką. **N**

Natalia Szostak

O SERIALACH

Bartosz Węglarczyk

Artyści z odległych światów



Moim literackim nauczycielem w sprawach wielkiej miłości był Lew Tołstoj. Moim literackim guru od zdrady i realności niskich uczuć jest John le Carré.

Twierdzenie, że le Carré wprowadził literaturę szpiegowską do świata wielkiej literatury, to banał. On jest po prostu jednym z najlepszych autorów książek w XX w. Kropka.

Zmarły trzy lata temu David Cornwell (bo tak się naprawdę nazywał) był taki jak bohaterowie jego książek – zamknięty w sobie. W wywiadach mówił o swoim życiu bardzo niewiele, trudno się było dowiedzieć cokolwiek o tym, jakim jest człowiekiem.

Jego światem było pisanie. Jego książki przedstawiają świat szpiegów pięknie, ale ponuro. Szpiegdy le Carré są ludźmi zagubionymi, ludźmi, których marzeniem jest dowiedzieć się, kto naprawdę rządzi światem, tylko po to, by na koniec zrozumieć, że światem rządzi tylko i wyłącznie chaos.

Szpiegdy le Carré są ludźmi głęboko sfrustrowanymi. Im więcej wiedzą, tym mniej rozumieją. W jednej z jego książek pada zdanie o „pokoju z wszystkimi tajemnicami”. O dostaniu się do niego marzy każdy szpieg. Problem polega na tym, że gdy najlepszym z nich to się udaje, okazuje się, że pokój jest pusty.

Przed śmiercią le Carré opublikował autobiografię „Tunel z gołębiami”. Teraz serwis Apple+ pokazuje film dokumentalny pod tym samym tytułem, którego podstawą jest jeden z ostatnich wywiadów, jakich udzielił le Carré.

Jeśli jesteście fanami jego książek, a nie czytaliście „Tunelu”, film będzie dla was wielkim odkryciem. Historia rodziny le Carré to sam w sobie scenariusz na film sensacyjny. Nie zdradzając szczegółów – le Carré mógł równie dobrze zostać przestępcą. To, że został sławnym pisarzem, to bardziej przypadek niż zaplanowana podróż przez życie.

Twórcą filmu jest jeden z najlepszych amerykańskich autorów filmów dokumentalnych – Errol Morris. To reżyser m.in. najlepszego filmu dokumentalnego o wojnie: „Fog of War”. Każdy film Morrisa jest wart zobaczenia, a ten należy z pewnością do jego najlepszych dzieł.

I jeszcze jedno – dziwny tytuł trzeba rozumieć dosłownie. Tunel z gołębiami istniał naprawdę

i odegrał w życiu młodego Cornwella bardzo ważną rolę.

Drugi film dokumentalny, jaki dziś polecę, jest z półki tak odległej od Morrisa, że trudno o dwa filmy tak bardzo różne od siebie. A jednak podobnie jak w przypadku „Tunelu” i od tego filmu nie mogłem się oderwać.

To premiera na Netfliksie: „Krzysztof Krawczyk. Całe moje życie”.

Powiedzieć, że nie przepadam za muzyką pana Krawczyka, to powiedzieć prawie nic. Jego gust muzyczny jest mi całkowicie obcy, jego romans z disco polo, czy z italo disco, jak woła o tym mówić jego współpracownicy, to dla mnie prawdziwa żenada. Ale...

No właśnie. Krzysztof Krawczyk to jeden z najpiękniejszych męskich głosów w historii polskiej muzyki, a jego kariera to z pewnością bardzo ważny fragment całej tej historii. Trudno kochać muzykę i nie doce-

To, że John le Carré został sławnym pisarzem, to bardziej przypadek niż zaplanowana podróż przez życie. Równie dobrze mógł zostać przestępcą

niać jego talentu, jego zdolności i bez wątpienia jego estradowej charyzmy.

Film ogląda się świetnie przede wszystkim dlatego, że jest w nim mnóstwo archiwalnych ujęć: ze starych koncertów, z Opola, z wyjazdów do Stanów Zjednoczonych, z prywatnego archiwum państwa Krawczyków. Bujne fryzury i wielkie wąsiska muszą dziś budzić uśmiech, a dresy i zielone garnitury są po prostu urocze, ale głos pana Krawczyka brzmi mocno. No i jest tu cała beznadzieja PRL, który nie pozwalała kolorowym ptakom na wybicie się ponad przeciętność dalej, niż podobało się to partyjnym sekretarzom.

Krzysztof Krawczyk był bez wątpienia wielkim artystą i sam chętnie o tym mówił. Wielkim artystą był też John le Carré, choć przyznanie się do tego sprawia mu w filmie olbrzymi problem. Łączy ich jedno – obu kochali i kochają legiony ich fanów. **N**



Muzyka pełna wolności

Na moich koncertach jest trochę jak w klubie jazzowym – słynny kontratenor **JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI** mówi o baroku, improwizacji i nowej płycie „Beyond”

ROZMAWIA DAMIAN GRUSZCZYŃSKI

NEWSWEEK: Barokowe koncept albumy stały się już chyba twoim znakiem rozpoznawczym?

JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI: (śmiech) Chyba tak.

Zaryzykuję tezę, że wydany przez ciebie ostatnio album „Beyond” to w pewien sposób płyta o tobie.

– Na pierwszy rzut oka tytuł „Beyond” może być postrzegany jako fajne angielskie słowo i nic więcej. Ale chodziło mi o to, żeby zobaczyć, jak wiele znaczeń ma to słowo i że ono dotyczy też wyjścia poza formę, poza czas.

„Beyond” oznacza „poza”, a ty wyszedłeś poza swoje uwarunkowania rodzinne. Członkowie twojej rodziny

mają talenty plastyczne, a nie muzyczne.

– Wszystko się wzięło z tego, że śpiewałem w amatorskim chórze Gregorianum kierowanym przez Berenikę Jozajtis. Byłem w nim od siódmego roku życia aż do trzeciego roku studiów. Tam zaszczytowało mi miłość do wykonywania muzyki i dzielenia się nią. A także wspólnego wykonywania jej z innymi. Zostało mi to do dziś.

Jak to się objawia?

– Kiedy mamy trasę, ponad 20 koncertów, to ważna jest pewnego rodzaju powtarzalność, ale ja uwielbiam działać razem ze słuchaczami – wychodzę poza formę tego, jak postrzega się tradycyjne koncerty. Artyści często zapominają, że to publiczność tworzy koncert. Dla mnie to nie powinno wyglądać tak, że artysta wychodzi w swoim pingwinim fraku i po prostu śpiewa jedną arię po drugiej. Ludzie klaszczą, ale jest między artystą a publicznością jakaś ściana. Staram się robić takie koncerty, w czasie których tej ściany nie ma. Lubię przywitać się serdecznie z publicznością. A jako że śpiewamy muzykę barokową, która daje dużo wolności, to jest dużo improwizacji. Jest trochę jak w klubie jazzowym – jak mnie ludzie zainspirują, tak zostanie zaśpiewane. Dlatego każdy z tych koncertów jest zupełnie inny, choć program jest dokładnie ten sam.

Wychodzisz też poza tradycyjne rozumienie postaci śpiewaka. Jesteś kimś między śpiewakiem a gwiazdą młodzieżową, łączącą pop i nowoczesny taniec.

– Nie zaprzeczę. Choć nie uważam się za gwiazdę, bo nadal rozpoznawalność jest na zupełnie innym poziomie. Ale uwielbiam robić dużo rzeczy z czystej ciekawości. Od zawsze byłem aktywnym człowiekiem, jeździłem na deskorolce zawodowo, półzawodowo na rolkach, na nartach, na snowboardzie. Nie robiłem tego, żeby być fajnym produktem, tylko dlatego, że to mi sprawiało frajdę.

Jesteś też bardzo aktywny w mediach społecznościowych. Spotykasz się z ich ciemnymi stronami? Masz psychofanów lub psychofanki?

– Nie będę ukrywał, że mam. Obok wszystkich zalet internetu jest też jego mroczna strona, której jako osoba bardzo otwarta boleśnie doświadczam. Jeżeli jesteś artystą, to godzisz się na to, by cię oceniano. Zawsze mówię, że w internecie jest tak samo dużo miłości i nienawiści. Pod materiałami wideo, które wypuszczam, np. na YouTube, jest dużo miłych komentarzy, ale są też takie typu: „Gdyby Vivaldi słyszał, jak śpiewasz, toby cię nożem pociął”. Trzeba mieć stabilne zdrowie psychiczne, żeby umieć sobie z tym radzić i nie oszaleć. Na początku takie wpisy sprawiały mi bardzo dużo przykrości. Teraz jestem bardziej świadomy swoich plusów i minusów, potrafię sobie

” **Wszystkie moje solowe płyty to takie kartki z pamiętnika**

radzić z tą czarną materią. Chcę być jeszcze lepszym śpiewakiem, chcę poprawić różne rzeczy, pracuję nad nimi i tutaj nikt nie jest w stanie mi dokopać.

Jesteś bardziej Jakubem czy Józefem? Bo kiedyś powiedziałaś, że żyją w tobie...

– ...dwa wilki (*śmiech*).

Dwie postaci – jedna to śpiewak, druga to tancerz. Jesteś bardziej pierwszym wilkiem czy drugim?

– Zacznę od ciekawostki dotyczącej moich dwóch imion. Wiesz, skąd to się wzięło? Na początku byłem Józefem. W dokumentach jednak jestem Jakub Józef Orliński. Kiedy starałem się o różne granty czy stypendia, żeby móc wyjechać na studia za granicę, czy na konkursy, to zaczynały się schody. Nie miałem siły tłumaczyć – zwłaszcza po angielsku czy niemiecku – jak mam na imię, więc przemogłem się do tego Jakuba. Ale dla najbliższych przyjaciół i rodziny wciąż jestem Józefem. To trochę jak dwie różne osobowości, które we mnie współistnieją: Jakub i Józef.

A gdybyś miał jednego z nich utracić na zawsze? Poświęciłbyś głos czy umiejętności taneczne?

– Myślę, że poświęciłbym... głos. I tak nie będę śpiewał całe życie, a jest dużo fajnych rzeczy, które chciałbym jeszcze zrobić. Byłem na przykład ostatnio na warsztatach z ceramiki – uwierzysz? Chciałbym do końca życia móc tańczyć, więc w tak trudnym wyborze poświęcam głos!

Ale to oczywiście żarty. U ciebie zespolecie Jakuba z Józefem jest idealne.

– Ufff (*śmiech*).

Na płycie „Beyond” są utwory z czasów baroku. Która z postaci lub opowieści, jakie przedstawiasz, jest – twoim zdaniem – najbardziej współczesna, zrozumiała dla słuchacza z lat 20. XXI w.?

– Weźmy chociażby opowieść z utworu Giovanniego Cesare Nettiego „Quanto più la donna invecchia”, czyli „Im starsza jest kobieta”. Dla współczesnych psychologów kopalnia wiedzy o naturze ludzkiej! Ten utwór jest przy tym genialnie napisany, jest wręcz taneczny. Kompozytor dał nam dużo wolności. Tak właśnie jest we wczesnym baroku. Możesz dołożyć harfę, klawesyn albo organy. To bardzo kreatywna zabawa, która może posłużyć do wzmocnienia znaczenia utworu. Często partia tej kobiety powierzana jest tenorowi czy nawet basowi, żeby przejaskrawić przekaz.

Który w naszych czasach może być odebrany jako bardzo mocny.

– Prawda? Taki właśnie jest. Weźmy Giulio Cacciniego „Amarilli, mia bella”, bardzo znany wczesnobarokowy utwór. To jest zwykła, można powiedzieć, popowa piosenka. Najprostsza ballada mówiąca o ponadczasowych sprawach. To muzyka rozrywkowa tamtych czasów.

A myślisz, że osoba z tamtych czasów odnalazłaby się w naszej dzisiejszej muzyce?

– W sferze najprostszych i najczystszych emocji zapewne tak. One niewiele się zmieniły od czasu wczesnego baroku. Dlatego ten okres w muzyce jest dla mnie tak ważny artystycznie i chciałbym bardzo przybliżyć publiczności tę emocjonalność.

Wtedy istniało coś takiego jak kodyfikacja nastrojów w muzyce, która poprzez figury retoryczne, rytmiczne czy dynamiczne ma sprawić, że odczuwasz skruczę, niepokój czy radość. Ja się na tym z racji swojej pasji znam, ale jeżeli rozmawiam z moim kumplem, który jest breakdancerem czy programistą, to nie wymagam od niego, żeby czytał o figurach retorycznych w muzyce barokowej. A jednak on mówi, że na koncercie tej muzyki doskonale to wszystko czuje. Czasami nie ma pojęcia, w jakim języku jest tekst, ale to nie ma znaczenia. Ważne, że zaczyna coś czuć.

Na płycie wychodźcie poza znany powszechnie repertuar, bo chyba tylko muzykolodzy znają twórczość niektórych kompozytorów, których utwory się tu pojawiają.

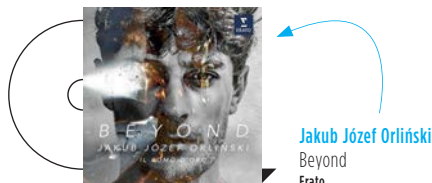
– Muzykolodzy znają, oczywiście, takie nazwiska, jak Caccini, Monteverdi czy Cavalli, ale już z Nettim czy Moratellim rzadko kto miał do czynienia. Jeżeli już dostałem od wydawnictwa Erato niesamowitą ofertę nagrania osobistej płyty, to chciałem zrobić wszystko, żeby to było moje artystyczne dziecko. Wszystkie moje solowe płyty to takie kartki z pamiętnika. Każdy z tych albumów wiąże się z pewnym okresem mojego życia, z dojrzeniem. Osobistym, ale też artystycznym. Z wyjazdami, z przygodami. Każda z płyt to opowieść o części mojego życia opowiedziana utworami dawnych mistrzów, których tak wspaniale dobrał mój przyjaciel, muzykolog i śpiewak z Gwadelupy, Yannis François.

To chyba Philippe Jaroussky zaraził cię pasją odkrywania nieznanach kompozytorów?

– Tak, to on mnie kiedyś zainspirował, opowiadając, jakie to niesamowite uczucie, kiedy bierze się partyturę, która nie była wykonywana od 300-400 lat. To naprawdę coś, czego nie każdy doświadcza.

Czy zdarzyła ci się kiedyś sytuacja, która była ponad twoje siły?

– Myślę, że ostatnio prawie doszedłem do takiego punktu. Wydałem właśnie album „Beyond”, a już nagrałem całą operę Glucka „Orfeusz i Eurydyka”, która wyjdzie w przyszłym roku. Nagrałem też następn-



Jakub Józef Orliński
Beyond
Erato

ny album solowy, który ukaże się jesienią przyszłego roku. Do tego produkcje operowe i strasznie dużo aktywności medialnych oraz prowadzenie mediów społecznościowych. W ciągu dwóch miesięcy miałem masę koncertów – śpiewałem chyba z osiem różnych programów i to wszystkie z pamięci. To było ponad moje siły. Jednak dość szybko wprowadzam zmiany w swoje życie, więc teraz jest przyjemnie.

A jest coś, co w pozytywnym sensie przekroczyło twoje najśmielsze oczekiwania?

– Właściwie większość rzeczy, których doświadczyłem. Moim największym marzeniem było kiedyś zaśpiewać czysto jeden utwór i żeby ktoś chciał tego posłuchać. Zaczęłem studia w klasie śpiewu Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie w 2009 r. Jest rok 2023, a ja nagrałem właśnie swój szósty album. To jest czymś niesamowitym dla przeciętnego gościa z Żoliborza, za jakiego się uważam. Kiedy za młodu z uwielbieniem słuchałem Natalii Kukulskiej, nigdy nie przypuszczałem, że nagram z nią duet. Jako dziecko byłem na koncercie Kayah z Goranem Bregoviciem i nagle występuję na festiwalu „Pieśni Współczesne” z zespołem Śląsk i z Kayah. Dla mnie to niesamowite być z takimi osobami na scenie, móc z nimi porozmawiać, a po koncercie pić razem kawę.

Nagrałeś także płytę z pieśniami po polsku, która okazała się wielkim sukcesem – dostałeś przed kilkoma tygodniami prestiżową nagrodę niemieckiego przemysłu muzycznego Opus Klassik dla śpiewaka roku. To jedna z najważniejszych nagród muzycznych na świecie – gratuluj!

– Dziękuję! Staraliśmy się zawsze z Michałem Bielem – wybitnym pianistą, moim przyjacielem z Juilliard School w Nowym Jorku – przemycać polskie pio-

senki do naszych recitali. Później Michał wpadł na pomysł wykonania „Pieśni kurpiowskich” Szymanowskiego. Powiedziałem: „Chyba oszalałeś! Przecież to dla mnie za wysoko, nie dam rady.” „Ja to dla ciebie obniżę – powiedział Michał. – To będzie świetne. Jeszcze mi będziesz dziękował”. I rzeczywiście, po dziś dzień mu dziękuję za to, że mnie do tego zmusił. To było dla mnie niesamowicie trudne, ale wydaje mi się, że mój głos dobrze w tym brzmi. I zaczęliśmy wykonywać te „Pieśni kurpiowskie”, później Karłowicza, Moniuszki, Bairda.

I chwyciła?

– Bardzo. Dlatego w końcu postanowiliśmy nagrać taki album z recitalem. To jest – moim zdaniem – najtrudniejsza forma w odbiorze – tylko śpiewak i fortepian. A ze względów czysto marketingowych to także niełatwe do sprzedania. Ale już wyrobiłem sobie renomę w swojej wytwórni i stwierdziłem, że to jest ten moment. Postanowiliśmy nagrać tylko polskich kompozytorów. I muszę przyznać, że jest to jeden z moich największych sukcesów artystycznych, bo to muzyka polska, której na świecie ludzie nie znają. Sprzedaliśmy mnóstwo płyt, ale także zostaliśmy zaproszeni na koncerty. W całej Europie, USA i Kanadzie. Muszę się pochwalić – ponad 20 koncertów. Wszystkie były wyprzedane.

Jakie jest twoje największe marzenie, takie ponad inne?

– Ostatnio przyszła do mnie pocztą nominacja do nagrody Grammy. Takim marzeniem właśnie jest ta nagroda. **N**

Damian Gruszczyński

JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI (UR. 1990)

JEST KONTRATENOREM, TANCERZEM BREAKDANCE. JEDEN Z NAJLEPSZYCH NA ŚWIECIE ŚPIEWAKÓW ZAJMUJĄCYCH SIĘ MUZYKĄ DAWNĄ. UHONOROWANY WIELOMA NAGRODAMI, M.IN.: TRZYKROTNIE GŁÓWNYM WYRÓŻNIENIEM OPUS KLASSIK (2019, 2022, 2023), INTERNATIONAL OPERA AWARD (2021), A TAKŻE PASZPORTEM „POLITYKI” (2020). WYDAŁ ALBUMY: „ANIMA SACRA”, „FACCE D’AMORE”, „ANIMA AETERNA”, „VIVALDI: STABAT MATER”, „FAREWELLS”. SPOTKALIŚMY SIĘ Z OKAZJI PREMIERY NAJNOWSZEJ PŁYTY – „BEYOND”

ODLOT KULTURALNY

Katarzyna Janowska
Talent za śmierć

Dzieli ich wszystko: epoka, styl malarski, myślenie o sztuce. Łączą niemal religijna wiara w kolor jako nośnik emocji i cena, którą zapłacili za talent. W Paryżu można oglądać dwie unikatowe wystawy: Marka Rothko w Fundacji Louis Vuittona i Vincenta van Gogha w Musée d'Orsay. Do obu ustawiają się kilkugodzinne kolejki.

Retrospektywa Marka Rothko to największa od lat europejska wystawa amerykańskiego abstrakcjonisty. Zgromadzono ponad sto płócien. Przechodzimy przez wszystkie etapy twórczości malarza. Rothko urodził się na początku XX w. w żydowskiej rodzinie na Łotwie. Jego ojciec wyemigrował w 1910 r. do Portland w USA. Marcus dołącza do niego z matką i siostrami trzy lata później. Rok później ojciec umiera, a sytuacja materialna rodziny znacznie się pogarsza. Marcus pracuje jako sprzedawca gazet, jednocześnie chodzi do liceum. Przenosi się do Nowego Jorku, pracuje jako robotnik i uczy się rysunku w Parsons School. Przez ponad 20 lat jest nauczycielem plastyki w Brooklyn Jewish Center. W 1938 r. wobec narastającego w Europie faszystowskiego artysta przyjmuje amerykańskie obywatelstwo. W obawie przed antysemityzmem zmienia nazwisko z Rothkowitz na Rothko.

Wystawa zbudowana jest chronologicznie. W pierwszej sali oglądamy malarskie sceny z nowojorskiego metra, restauracji, teatru. Poprawnie namalowane, ale wtórne wobec malarstwa europejskiego, nie zapowiadają wielkiej indywidualności. Uwagę przykuwa autoportret artysty. Przystojny, młody mężczyzna patrzy na nas przenikliwym wzrokiem. W latach 40. Rothko sięga do mitologii. Szuka ucieczki od docierającej do niego grozy wojny. Marzy, by malarstwo miało siłę oddziaływania równą literaturze i muzyce. W drugiej połowie lat 40. zaczyna eksperymentować z abstrakcją. Na wystawie moment przejścia od malarstwa figuratywnego do abstrakcyjnego został świetnie uchwycony. To czas, kiedy Amerykanie chcą stworzyć własny język w sztuce. Rothko coraz śmieiej poczyna sobie z tworzeniem barwnych płaszczyzn. Kolory stają się odbiciem wewnętrznych przeżyć.

Moment zwrotny w karierze przychodzi wraz ze skandalem związanym z zamówieniem dla ekskluzywnej restauracji w budynku Seagram w NYC. Maluje ponad 30 wielkoformatowych płócien. Idzie z żoną na kolację i dochodzi do wniosku, że jego obrazy nie mogą być tłem dla spotkań znudzonych bogaczy. Zrywa umowę i zatrzymu-

je wszystkie płótna. Zyskuje sławę jako nonkonformista. Pojawiają się plotki, że skandal został ukartowany przez jego marszanda. Kariera artysty nabiera tempa, a ceny obrazów sztybuja, by dziś osiągać pułap 180 mln dol.

Rothko podawał szczegółowe instrukcje dotyczące oświetlenia obrazów. Zdarzało się, że chciał, by obraz prezentowano w ciemnym wnętrzu. Na wystawie wszystkie sale zanurzone są w półmroku. Sugerował, żeby obrazy oglądać w pojedynkę, najlepiej z bliska. Wtedy pojawia się wrażenie wchodzenia do środka obrazu. Obcowanie z abstrakcyjnym malarstwem traktował jak doświadczenie metafizyczne. Nie znosił krytyki i kryty-

Rothko sugerował, żeby obrazy oglądać w pojedynkę, najlepiej z bliska. Obcowanie z abstrakcyjnym malarstwem traktował jak doświadczenie metafizyczne

ków. Atakował pop-art, który zaczynał być modny, spychając abstrakcjonistów na boczny tor. Przez lata zmagał się z depresją, uzależnieniem od alkoholu i leków. W miarę upływu lat kolory na jego obrazach szarzeją. W 1970 r., krótko po rozstaniu z drugą żoną, znaleziono go w mieszkaniu martwego z podciętymi żyłami.

Zdażyć przed końcem

W Musée d'Orsay po raz pierwszy wystawiono obrazy namalowane przez Vincenta van Gogha w ciągu dwóch ostatnich miesięcy życia. Artysta przeniósł się wówczas pod Paryż do miejscowości Auvers-sur-Oise, w której mieszkał dr Paul Gachet, lekarz specjalizujący się w leczeniu melancholii, załamań nerwowych, przyjaciel impresjonistów, kolekcjoner, malarz amator. Van Gogh zamieszkał w środku wioski i od maja do czerwca namalował 74 obrazy. Na wystawie można zobaczyć 40 obrazów ściągniętych z całego świata i około 20 rysunków z tego czasu. Malował pejzaże, sceny rodzajowe, kwiaty. Wtedy powstał m.in. słynny portret dr. Gacheta i obraz „Kościół w Auvers”. W ostatnich obrazach dużo jest koloru i światła. Dwa miesiące malarskiej płodności przerywa śmierć artysty. Z pleneru wrócił z raną postrzałową w brzuch. Twierdził, że sam się postrzelił. Dręczące go przez lata stany lękowe i neurozy były ceną, którą płacił za talent. Namalował 900 obrazów. Za życia sprzedał jeden. Wierzył, że w przyszłości jego obrazy zostaną docenione. Nie mylił się. **N**





N

magazyn

Newsweek^{POLSKA} LEARNING ENGLISH

W nowym numerze:

- Stressed about making small talk? Master the art with these expert tips.
- How big brands support unreliable AI-generated sites.
- Morgan Freeman: Black history is American history.

Szukaj w salonach prasowych, na Literia.pl i czytaj **w pakiecie**  **onet premium**

Edukacja do potęgi



TWÓJ RUCH

Oto nasza bransoleta Oyster z wyjątkowymi, niezwykle wytrzymałymi trójelementowymi ogniwami. Symbolizuje ona fundamentalne wartości i zasady, które przyświecają naszej pracy – funkcjonalność i formę, dyscyplinę i elastyczność, komfort i elegancję. Bransoleta opracowana w późnych latach trzydziestych ucieleśnia oryginalną wizję Hansa Wilsdorfa i jego

przekonanie o tym, że zegarek to narzędzie zdolne sprostać złożoności coraz bardziej nowoczesnego świata. Firma Rolex nie tylko opracowała kalibry zegarków, które przewyższyły panujące standardy zegarmistrzostwa, ale też stworzyła nowe wzorce bransolety, nadając jej własną tożsamość i przekaz. Bransoleta Oyster nie naśladuje ruchu. To ruch sam w sobie.

#Perpetual